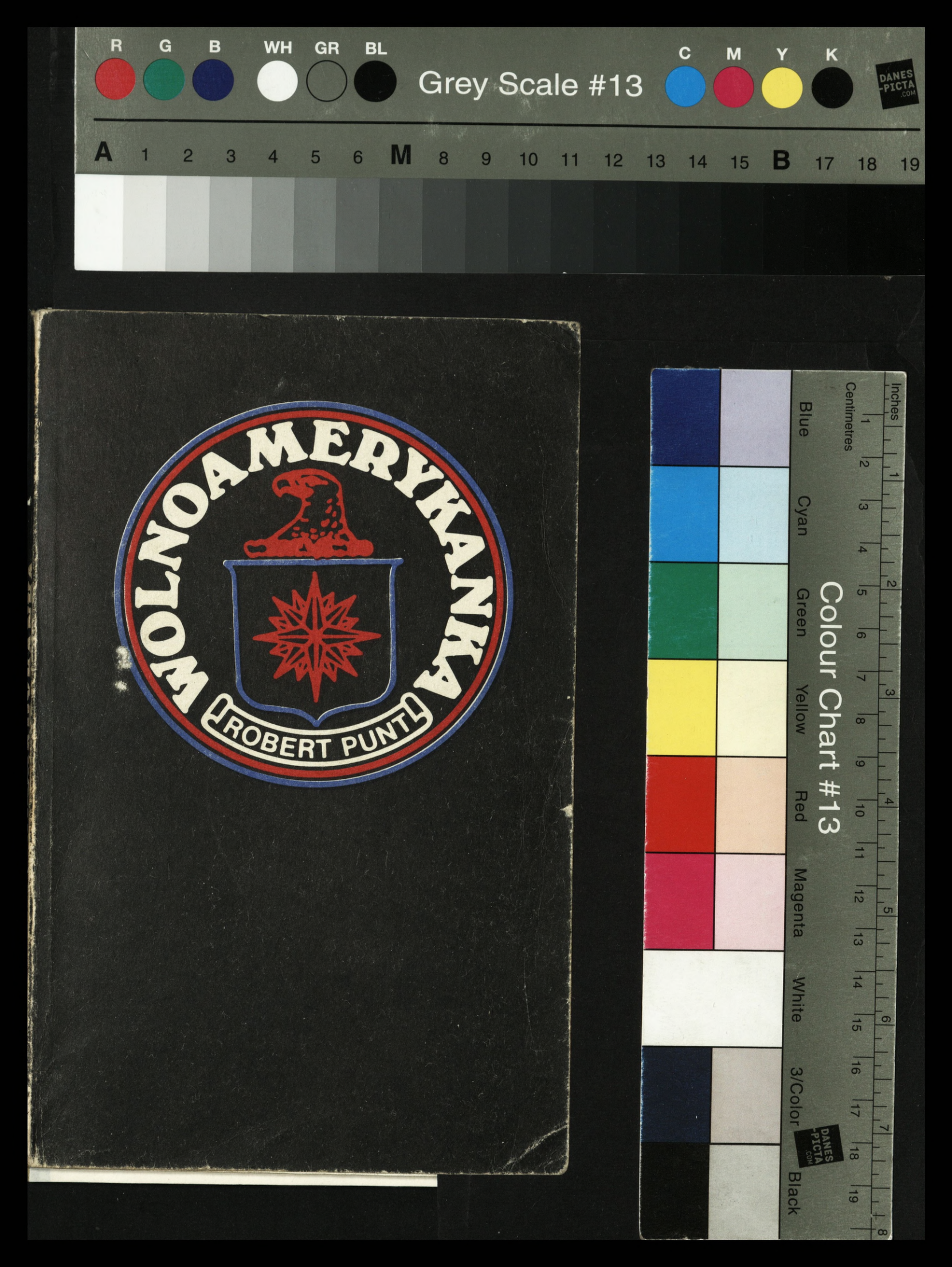

R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES PICTA .COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
WOLNOAMERYKANKA
ROBERT PUNT
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres
DANES PICTA .COM


WOLNOAMERYKANKA
ROBERT PUNT



RUNDA ZACHODNIA

RUNDA WSCHODNIA

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA GDAŃSK 1986

Projekt okładki i stron działowych: Piotr Kowalski
Korektor: Barbara Onak

© Copyright by Krajowa Agencja Wydawnicza, Gdańsk 1986

ISBN 83-03-01172-3

RSW „Prasa-Książka-Ruch"
Krajowa Agencja Wydawnicza
Gdańsk 1986
Wydanie I. Nakład 60 000+350 egz.
Ark. wyd. 12,36. Ark. druk. 13,0
Papier offset III 70 g rola 84
z Zakładów Celulozowo-Papierniczych w Kwidzyniu
Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe w Warszawie
Druk: Zakłady Graficzne w Gdańsku
Nr prod. XII-51/83 L-4



RUNDA ZACHODNIA

BIBLIOTEKA NAUKOWA ASP W...
Nr ...
(II)
Dział Zbiorów Ogólnych
33472

O ósmej rano, tuż po śniadaniu, otworzyły się drzwi celi nr 42 w budynku C więzienia przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie. Więźniowie przyjęli postawę regulaminową – na baczność. Jednemu ze stojących strażnik powiedział, że ma go zaprowadzić do pokoju widzeń, gdzie czeka adwokat. Więzień, łamiąc regulamin, rzucił tylko co umytą miskę na starannie zaścieloną pryczę. Strażnik spojrzał na krople wody obficie zdobiące podłogę i szarobury koc na pryczy, lecz nie zareagował.

Więzień wyszedł na korytarz. Był uśmiechnięty, gdyż nieplanowane spotkanie z adwokatem wróżyło nowinę, a w jego sytuacji każda mogła być tylko dobra. Nim drzwi zostały zamknięte skinął ręką kolegom z celi i ruszył długim korytarzem. Pochłonięty rozmyślaniami na temat spodziewanych wiadomości, nie od razu się zorientował, że minęli korytarz prowadzący do pokoju widzeń. Jego radosna niecierpliwość zaczęła topnieć dopiero wówczas, gdy osiatkowaną klatką schodową zszedł do wrót ze stali, prowadzących na małe, wewnętrzne podwórko. Odrętwiały nagle patrzył, jak strażnik mocuje się z zamkami.

Gdy wyszedł na zewnątrz i zobaczył więzienny star z bezokiennym nadwoziem, lodowata kula w gardle nie pozwoliła mu zadać pytania, na które już znał odpowiedź. Skucie rąk kajdankami trwało parę sekund i czterech strażników sprowadziło go do więźniarki.

Samochód przemieszczał się przez dwie ciasne bramy. Zablokował na chwilę chodnik, czekając na włączenie się do

ruchu. Przechodnie, zatrzymując się, obrzucali ciemnozieloną szafę obojętnymi spojrzeniami. Samochód więzienny wjechał na jezdnię. W tym momencie dołączyły jeszcze dwa wozy. W jasnozielonym fiacie 125p, prowadzonym przez kierowcę w cywilu, jechał kapelan i lekarz, w szarej nysce naczelnik więzienia, prokurator wojskowy i oficer WSW. Ten ostatni najdłużej znał pasażera więźniarki, ponieważ od początku prowadził sprawę. Konwój ruszył przez miasto, kierując się trasą N–S na północ. Dochodziła dziewiąta, gdy – nie dojeżdżając do Nowego Dworu – zjechał za Kazuniem z trasy E-81 na wyboistą, leśną drogę ku opuszczonym ruinom wschodniego bastionu twierdzy modlińskiej. Samochody wyraźnie zwolniły, wymijając kałuże wiosennych roztopów. Pasażerowie nyski poczęli dostrzegać między drzewami żołnierzy, szeroką tyralierą otaczających miejsce, do którego zmierzali. Tylko kapelan trwał w drzemce czy też nabożnej medytacji.

Po kilku minutach konwój zatrzymał się w kotlince o zboczach porośniętych kudłatą, brunatnolistną dąbrową i nagimi jeszcze krzakami olchy. Gdzieniegdzie pomarańczowymi plamami ciemniały ogryzki ceglanych murów. Tylko dwa przedmioty świadczyły o ludzkiej obecności: wojskowa ciężarówka ze starannie zasznurowaną plandeką i słup. Koło stara 66, stojącego po prawej stronie wjazdu, zatrzymały się samochody. W lewo kotlinka wydłużała się, tworząc wąwóz o stromych ścianach, zakończony prawie pionową trawiastą skarpą. Parę metrów przed nią stał wkopany w rozmiękłą ziemię świeżo okorowany dębowy pal. Od ziemi, aż do wysokości półtora metra biegł wzdłuż niego płaskownik przyśrubowany na końcach. Między stalą a drewnem na całej długości była trzycentymetrowa szpara.

Otworzono drzwi więźniarki, eskorta wyprowadziła więźnia, podtrzymując go za skute ramiona. Stanął niepewnie mrużąc oczy odwykłe od słońca. Rozejrzał się po kotlince.

Podczas jazdy przemyślał wiele. Oszołomienie i niedowierzająca pewność, że to już dzisiaj, z wolna ustąpiły obezwładniającej świadomości tego, co musi się stać niedługo. Nie widok prostego, wstrząsającego w swej celowości urządzenia, lecz właśnie owe bezlistne gałęzie, które pokryją się zielenią w czasie, który przestanie mu służyć, były przyczyną pęknięcia naprędce skleconych tam, chroniących go przed paniką.

Zanim zdążył pojąć to wszystko, podszedł naczelnik więzienia i zapytał, czy chce się wyspowiadać i jakie ma ostatnie życzenie. Nie on, lecz jego głos odpowiedział, że chce i że jego życzeniem jest napisanie listu do rodziny.

Strażnik odprowadził go do więźniarki, a po chwili wszedł tam kapelan, trzymający się dotąd na uboczu. Spędzili razem prawie czterdzieści minut. Potem naczelnik podał kartkę i długopis. Po dalszych trzydziestu minutach więzień wyszedł z samochodu i oddał list.

Eskorta podprowadziła go do słupa, ustawiając twarzą w stronę wyjścia z kotlinki. Nie było tam widać nikogo. Droga tuż za wałami skręcała i ginęła wśród drzew, a na wprost były tylko rude i szare pnie, stapiające się w bezkształtną ścianę. Strażnik zdjął mu kajdanki z jednej ręki, podciągnął ramiona do tyłu, przełożył łańcuch przez szparę między sztabą a słupkiem i znowu spiął ręce. Mógł teraz bez przeszkód przesuwać je wzdłuż słupa, aż do ziemi, nie mógł jednak pozwolić sobie na żadne inne ruchy. Spuścił wzrok na świeżo zdeptaną ziemię, metrową plamą okalającą słupek. Zauważył kolisty ślad ubijaka, dwa zeschnięte źdźbła trawy, po których mrówka usiłowała wygramolić się z pułapki. Podniósł głowę, gdy do słupka zbliżył się prokurator. Widział jak z aktówki wyjmuje pojedynczą kartkę papieru, jak ją rozkłada i zaczyna czytać, miarowo poruszając ustami. Słuchał nie rozumiejąc. Dopiero ostatnie zdanie trafiło w czynne jeszcze zakamarki mózgu, tracąc jednak po drodze wszelki sens. „Wobec nie skorzystania przez Radę Państwa z prawa łaski wyrok podlega wykonaniu" – kołatało jak echo, gdy prokurator, schowawszy kartkę, odwrócił się i zaczął odchodzić. Kiedyś, jeszcze w szkole czytał coś o względności czasu. Niewiele z tego zrozumiał i sądził, że czas można cofnąć. Lub chociaż zatrzymać. Gdyby można było powrócić do tamtej, dawnej, jedynej chwili, w której decydowało się wszystko i móc powiedzieć „nie"... Czas jednak był bezwzględny. Gdyby odwrócić plecy prokuratora... Zawołał żeby podszedł, bo ma coś ważnego do powiedzenia. Tamten odmówił – rozmawiali ze sobą wiele razy i wszystko już zostało powiedziane. Patrzył na plecy odchodzącego i nie zauważył, że stojący obok strażnik wyciągnął czarny kawałek materiału. Na skinienie naczelnika zasłonił mu oczy.

Wtedy dopiero do kotlinki wkroczył pluton egzekucyjny.

Siedmiu żołnierzy dowodzonych przez porucznika, uzbrojonych w pistolety maszynowe, ustawione na pojedynczy ogień. Stanęli szeregiem w odległości dziewięciu metrów.

– Ładuj!

Rozległ się szczęk odciąganych zamków.

– Cel!

Obecni mogli zauważyć jak skazany napiął mięśnie, broniąc dostępu tym paru kawałkom ołowiu obszytego stalą. Niedługo to trwało, bo zaraz padła komenda: „Salwą, ognia!"

W porośniętej łozami kotlince huk strzałów zabrzmiał sucho, płasko, a echo odbiło się o ścianę drzew i szybko zamarło.

Do leżącego przy słupie ciała przystąpił lekarz. Sześć pocisków trafiło w klatkę piersiową, siódmy zgruchotał obojczyk. Stwierdził, że akcja serca ustała i powiadomił o tym naczelnika więzienia.

Dopiero wtedy porucznik wydał odpowiednie rozkazy i pluton egzekucyjny zniknął między drzewami.

Naczelnik zlecił strażnikom dalsze czynnosci. Podeszli do ciężarówki, po odpięciu plandeki wyjęli zbitą z desek trumnę i dwie łopaty. Podczas gdy oni unieśli trumnę i ruszyli w stronę słupa, dowódca konwoju spojrzał na zegarek i zaczął wypełniać formularz przez kalkę. Pisał dużymi literami, aby wszystkie egzemplarze były czytelne. Przy słupie jeden ze strażników schylił się, rozplątywał niepotrzebną już czarną opaskę. Dwaj inni przekręcili ciało i zdjęli kajdanki. Czwarty wykopywał słupek. Dźwignęli trupa i położyli w trumnie. Przykręcili śrubami wieko i zanieśli do ciężarówki. Wykopany słupek znalazł się obok trumny. Przygotowany w worku piasek okazał się niepotrzebny, gdyż na ziemi nie było śladów krwi. Strażnicy znikli w więźniarce, naczelnik podsunął obecnym do podpisania zakończony protokół. Kiedy ruszyli do Warszawy, w lesie nie było już wart. Na szosie kierowca nyski włączył radio, ale ofuknięty przez naczelnika, zaraz je zgasił. Mimo to pasażerowie samochodu zdążyli wysłuchać kilka słów wiadomości. Mówiono o tym, że Barry Goldwater staje do wyborów prezydenckich, o wizycie Marleny Dietrich w Warszawie. Parę chwil temu minęła właśnie godzina jedenasta.

★
★ ★

Trzy dni później wielki, czarny lincoln continental sunął zatłoczonymi ulicami Waszyngtonu. Na tylnym siedzeniu, oddzielonym od kierowcy szybą, siedział starszy, dystyngowany pan o starannie zaczesanych, srebrzystoszarych włosach. O takim odcieniu mówi się „salt and pepper". Obok niego na siedzeniu spoczywała aktówka z czarnej, cielęcej skóry. Były w niej trzy kartki papieru, egzemplarz gazety z zakreślonym flamastrem komunikatem umieszczonym u dołu drugiej strony oraz przypięte spinaczem tłumaczenie tekstu na język angielski. Jego treść sprawiła, że starszy pan myślał intensywnie, a nie były to myśli wesołe.

Podczas długich lat pracy nauczył się jednak kontrolować wyraz twarzy i postronny obserwator nie potrafiłby orzec, o czym tak głęboko rozmyśla. Chyba, że ktoś z bliskich współpracowników, na przykład kierowca. Ten jednak zbyt był zajęty omijaniem wszędobylskich Murzynów na rowerach, wciskających się między auta, by przyglądać się twarzy szefa.

Wreszcie stanęli przed czynszowym domem o surowej elewacji. Kierowca nie zdążył otworzyć drzwi. Pasażer nimi trzasnął i energicznie ruszył w stronę wejścia, przeskakując po dwa stopnie, jakby nagromadzona w nim energia potrzebowała ujścia. Srebrnoszary przełożył aktówkę z ręki do ręki i nacisnął klamkę. Dwóch mężczyzn, opartych niedbale o kolumny przy wejściu zesztywniało z szacunkiem, po czym jeden z nich przeprowadził właściciela aktówki do windy i wsiadł z nim, a drugi pozostał na dole. Oparł się znów wygodnie. Badawczym spojrzeniem regularnie omiatał hall i wejście do budynku. Tymczasem winda zatrzymała się na ósmym piętrze. Z korytarza na prawo i na lewo – szereg drzwi, wszystkie identyczne, pomalowane na zielono, bez liczb i tabliczek. Przewodnik zapukał do jednych z nich wybijając nieskomplikowany rytm. Po chwili szczęknął zamek, drzwi się otwarły i stanął w nich potężny mężczyzna, bez marynarki, z podwiniętymi rękawami koszuli. Ujrzał „salt and pepper" i skłonił się skwapliwie.

– Dzień dobry panu – wymamrotał i usunął się, robiąc przejście.

– Cześć, Bernie. Są wszyscy?

– Tak, proszę pana.

Szli teraz długim korytarzem w kierunku dwuskrzydłowych drzwi z mlecznego szkła.

– Zgodnie z pańskim poleceniem – skinął głową. – Wesoło to im nie jest... – dodał zupełnie niepotrzebnie i zaraz tego pożałował.

Srebrnoszary pan spojrzał na niego uważnie. Po chwili kiwnął głową, jakby podjął jakąś decyzję, a może tylko dziękując za odprowadzenie, po czym wszedł do pokoju. Bernie wrócił na posterunek, przeklinając w duchu swój zbyt obrotny język.

Zebranych w pokoju widok szefa poderwał z miejsc. Rozmowy ucichły w pół słowa, gaszono pośpiesznie papierosy. Starszy pan nie znosił dymu. Podszedł do ściany, ustawił klimatyzator na maksymalne obroty, po czym stanął u szczytu stołu, kiwnął ręką i wszyscy usiedli.

– Wracam z Białego Domu – zaczął bez wstępu.

Mówił cicho, ale miał pewność, że każde jego słowo będzie słyszane.

– Doradca prezydenta bardzo się zmartwił, gdy mu opowiedziałem o przygodzie naszych brytyjskich kolegów. Sporo czasu musiało upłynąć, zanim przekonałem go, by nie leciał z płaczem do prezydenta. Zapewniłem, że naszym ludziom absolutnie nic nie grozi. Ale, do diabła – tu podniósł nieco głos – skąd mam wiedzieć, że tak jest naprawdę? Przecież to, co ich spotkało – wyjął z aktówki gazetę i uderzył w nią wierzchem dłoni – może przytrafić się również nam.

Urwał i przyjrzał się obecnym. Siedzieli nieruchomo, wpatrzeni w niego wyczekująco. Najwidoczniej nie wiedzieli, do czego zmierza. Ogarnęło go na moment zniechęcenie, ale szybko je pokonał. W końcu to tylko ludzie. Sprawdzeni, przebrani, najlepsi z najlepszych fachowców, ale tylko ludzie. Nie można się po nich spodziewać niczego więcej niż tego, czego zostali nauczeni. A od nauczania i kierowania był on. Wyjął z aktówki trzy kartki papieru i zaczął je przeglądać.

– A wiecie dlaczego? – podjął po chwili. – Dlaczego w każdym momencie może nam się przytrafić to samo, co spotkało Anglików? Mam tu krótki, rutynowy raport – podniósł rękę z trzema kartkami – jeden z tych, jakie sobie od czasu do czasu przesyłamy. Dotyczy właśnie ich ostatniej wpadki. Mieli swego człowieka w Węźle Łączności Radiowej MON w Warszawie.

Radiotelegrafistę. Złote jabłko! Nic dziwnego, że chodzili koło niego na paluszkach. Zastosowali najsurowsze rygory bezpieczeństwa. Martwe skrzynki, całą gamę znaków kontrolnych, wszelkie rozmowy w sprawdzonym i w zagłuszanym wnętrzu wyłącznie za pomocą stetoskopu tubowego i masę innych zabezpieczeń. I co? Polacy zdjęli go, zdjęli też Anglików, którzy prowadzili faceta. W końcu musieli ich puścić, bo mieli paszporty dyplomatyczne, ale przecież tym większa chryja. Ogłosili całą sprawę, a kilka dni temu wykonali wyrok – stuknął palcem w gazetę z komunikatem PAP-u.

Zebrani w pokoju słuchali uważnie.

Srebrnoszary podniósł wzrok i spojrzał na obecnych.

– Nie jest to jednak istotne, panowie – podjął po chwili. – Dramat polega na czymś zupełnie innym. Całe szczęście, że doradca nie zorientował się, w czym rzecz, bo bym go nie powstrzymał przed zawiadomieniem prezydenta. W każdej chwili może się jednak połapać. Dlatego nie mamy czasu. Ale zaraz – starszy pan z niedowierzaniem spojrzał na salę – czy naprawdę nikt z obecnych nie wie do czego zmierzam?

Wszyscy w milczeniu przetrawili jego słowa. Nie było chętnych do zabrania głosu.

Mówca odczekał jeszcze chwilę.

– Przecież to jasne, panowie – rzekł z ledwo uchwytną nutką rezygnacji w głosie – dramat polega na tym, że nasza technika pracy w Polsce jest niemal identyczna. Innymi słowy w każdej chwili może nas spotkać to samo, co Anglików. Musimy zmienić system pracy, bo w tym pękło ogniwo. Nie wiemy jakie, a więc nie wiemy również, co trzeba zmienić.

Złożył kartki i schował je do aktówki. Na sali panowała cisza.

– Aby rozwiązać ten problem – podjął po chwili, gdy stało się oczywiste, że nikt nie zamierza mówić – trzeba było postawić kilka pytań i znaleźć na nie odpowiedzi. Odpowiedzi bezbłędne. Wydaje mi się, że znam te pytania. I – jak sądzę – znam również odpowiedzi.

Przy stole zapanowało lekkie poruszenie. Srebrnoszary odczekał chwilę i podniósł lekko dłoń uciszając obecnych.

– Zaznajomię panów nie z tokiem, lecz jedynie z końcowym efektem mojej analizy problemu – rzekł, gdy zrobiło się cicho. – Mam nadzieję, że będzie to dla panów równie pouczające, jak i zobowiązujące.

– Koniec świata – szepnął jeden z siedzących u końca stołu do ucha swego sąsiada. – Boss robi się coraz skromniejszy. Te jego retoryczne pytanka...

– Shut up! (Zamknij się!) – odpowiedział tamten ledwo poruszając wargami.

– Przeanalizowałem parę naszych starych spraw pod tym kątem – srebrnoszary mówił miarowo i widać było, że zanosi się na dłuższy wykład. – Uważam, że istnieje wyjście z sytuacji. Oczywiście po spełnieniu pewnych warunków. A więc, po pierwsze: dlaczego zawsze, podkreślam z a w s z e, prędzej czy później każdy nasz człowiek wpada? Mimo ostrożności, mimo nakładów finansowych, mimo przeszkolenia agenta w zakresie bezpieczeństwa pracy... – zawiesił głos, by wziąć głębszy oddech. – Nie tylko dlatego, że Polacy mają coraz sprawniejszy kontrwywiad. Na podstawie różnych opracowań, zarówno naszych, jak i Departamentu Stanu doskonale wiemy, że oni nie wszyscy kochają ustrój czy władzę, co jest czynnikiem korzystnym w naszej pracy. Umiejętnie prowadzeni, zatracają resztki instynktu samozachowawczego, resztki lojalności wobec swego narodu, za grosze dają materiał niekiedy wprost bezcenny. Kupieni przez nas Polacy działają w warunkach znacznie bezpieczniejszych niż nasi agenci w Bułgarii czy Czechosłowacji, nie mówiąc już o Rosji czy wschodnich Niemczech. Dlaczego? Proste. Ten naród podczas półtora wieku zaborów został wykastrowany z szacunku do władzy państwowej. To, co dla Brytyjczyka czy Francuza jest obywatelskim obowiązkiem (na przykład dzielenie się wiadomościami z Intelligence Service czy Securité) Polakom wydaje się rzeczą brudną. Polish jokes mają w sobie ziarno prawdy. Zarazki anarchii, która doprowadziła do upadku wielki i ludny kraj w XVIII wieku, mają we krwi.

– Od razu widać, że stary niedawno zrobił doktorat z historii Europy – żartowniś z końca znów pochylił się do swego kolegi, ale ten tym razem udał, że nie słyszy.

– Tak więc panowie, oto przyczyna – najwyraźniej pierwsza część wypowiedzi miała się ku końcowi – naszego szczególnego zainteresowania Polską – najwięcej rdzy na tym ogniwie łańcucha. Miejmy nadzieję, że nie zmądrzeją i że – wykorzystując polish senselessness przyczynimy jeszcze wielu kłopotów naszemu wrogowi number one...

Milczał przez chwilę, hamując rozpędzone myśli, i nie bez

wysiłku wrócił do podstawowego tematu.

– A jednak, mimo tej korzystnej sytuacji, wpadają jeden po drugim. Dlaczego? Panowie! O wszystkim decyduje czynnik ludzki. Pamiętajmy o tym, że każda działalność pozostawia ślady. Ślady, umiejętnie zebrane, prowadzą do sprawcy. Jeśli to obywatel polski, jego fizyczna strata nie jest dla nas istotna – koszt paru tysięcy dolarów. O wiele ważniejsze staje się to, że trzeba odbudowywać kanał, co zabiera dużo czasu, a dopływ informacji potrzebny jest stale. Są to rzeczy ogólnie znane, więc nie będę się powtarzał. Wpadli dlatego, że zostawili ślady tym wyraźniejsze, im byli ludźmi mniejszego kalibru. Albo wygadali się po pijanemu, albo robili szwindle na boku, albo z kompletnym brakiem wyobraźni, z bezsensowną fantazją zaczynali nagle szastać forsą. Biorąc pod uwagę to, że za cenę biletu autobusowego w Nowym Jorku można w Polsce kupić butelkę wódki, nie mogło to być niezauważone. Co więc powinniśmy zrobić, aby do minimum zredukować możliwość dekonspiracji?

Zawiesił głos, by zwiększyć wrażenie, i rzucił im w twarze trzy słowa:

– Szukać superagenta. Superszpiega – powtórzył. – Musi to być człowiek, który bez przeszkód i zwracania na siebie uwagi może często wyjeżdżać z kraju. Powinien zarabiać oficjalnie tyle, by szastanie pieniędzmi nie budziło podejrzeń. Musi mieć dostęp do ciekawych dla nas informacji. Musi (z powodów zawodowych czy towarzyskich) obracać się w centrum elity władzy. Musi być inteligentny, by kojarzyć nawet ćwierćniedyskrecję, wypowiedzianą w jego otoczeniu, a więc wśród samych swoich. Jeżeli te warunki zostaną spełnione... to nie zostawi śladów i... nikt nigdy i nigdzie go nie złapie...

Srebrnoszary skończył. Siedzący przy stole mężczyźni mieli skupione twarze, świadczące o tym, że słowa szefa wywarły wrażenie. Tylko ten, który miał zastrzeżenia co do skromności przełożonego, szepnął kpiąco:

– Najlepiej, żeby jeszcze był perfumed pansy (co mogło oznaczać zarówno perfumowany fiołek, jak i pedała skropionego wodą „Chanel" nr 5).

Tym razem sąsiad udał nie tylko, że nie słyszy, ale i nie widzi.

Szef pedantycznie zapiął aktówkę i wstał z zajmowanego

miejsca. Ruchem ręki powstrzymał wstających.

– Zdaję sobie sprawę, że warunki, które wymieniłem są wyśrubowane, by nie rzec – nierealne. Ale – podniósł wskazujący palec w górę – doświadczenie uczy, że k a ż d y człowiek jest do kupienia. To tylko kwestia ceny, choć nie zawsze wyrażonej w dolarach. Radzę panom jak najszybciej zabrać się do wertowania ankiet personalnych, które macie w swoich archiwach. Wybierzcie mi kilku kandydatów, spełniających warunki. Ja zdecyduję, na którego konia postawimy. Czekam na teczki z waszymi opiniami za dwa dni, w piątek. To wszystko. Są pytania?

Pytań nie było.

★
★ ★

W roku 1947 punktem zwrotnym w centralizacji amerykańskich organów wywiadowczych stała się Ustawa o Bezpieczeństwie Państwa, powołująca (w miejsce Centralnej Grupy Wywiadu i Rady Wykonawczej) nowe instytucje wywiadu totalnego: Radę Bezpieczeństwa Narodowego oraz Centralną Agencję Wywiadowczą. Rada Bezpieczeństwa Narodowego stanowi wierzchołek skomplikowanej struktury najrozmaitszych, jawnych i tajnych organów wywiadu, a jej zadaniem jest udzielanie prezydentowi rad i informacji zebranych najrozmaitszymi kanałami, pomocnych w ustalaniu zamierzeń i działań w zakresie polityki międzynarodowej.

W skład Rady wchodzą: prezydent, wiceprezydent, sekretarz stanu, sekretarz obrony, dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej, dyrektor Biura do Spraw Mobilizacji Cywilnej i Obronnej, przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów oraz dyrektor Agencji Informacyjnej. Potoczna opinia utożsamia CIA z całym wywiadem amerykańskim. To jest tylko jedno z wielu ogniw wywiadu USA. Być może na tę opinię CIA zapracowała rzetelnie, dokonując szczególnie spektakularnych akcji we wszystkich częściach świata, w brutalny sposób ingerując w wewnętrzne sprawy innych państw, by USA w taki czy inny sposób odniosły z tego korzyści. Zazwyczaj wywiad każdego państwa działa na korzyść interesów tegoż państwa, rzecz w tym, że CIA nie przestrzega żadnych norm, postępując według

zasady, że cel uświęca środki. Do opracowania szczególnie „skutecznych" środków została powołana specjalna komórka, którą sami pracownicy CIA nazywają „departamentem brudnych trików", co mówi chyba samo za siebie.

Istnieje jeszcze wiele innych „firm" wywiadowczych, może mniej sławnych: co nie oznacza, że mało aktywnych. I tak, obok CIA działa: Agencja Wywiadowcza Obrony (Defence Intelligence Agendy – DIA), a w niej: Drugi Oddział Sztabu Wojsk Lądowych (G–2), Biuro Wywiadu Morskiego (Office of Naval Intelligence – ONI), Biuro Wywiadu Sił Powietrznych (A–2).

Oddzielne organizacje stanowią: Krajowa Agencja Bezpieczeństwa (National Security Agency – NSA), Biuro Wywiadu w Amerykańskiej Agencji Atomowej, Biuro Wywiadu i Badań Departamentu Stanu (BIR), Federalne Biuro Śledcze (FBI).

Do niedawna głównym koordynatorem owych służb była wspomniana już Rada Bezpieczeństwa Narodowego, lecz ostatnio pewne jej funkcje przejął Sztab Doradczy prezydenta.

Tylko kilka osób, na samym szczycie władzy, wie, ile właściwie osób pracuje w CIA, jaki jest jej budżet oraz gdzie i co jej agenci robią.

Od czasu do czasu na skutek błędu, niedyskrecji czy świadomego „przecieku" opinia publiczna dowiaduje się paru szczegółów dotyczących działalności Agencji – szczegółów, delikatnie mówiąc, bulwersujących. W USA i na świecie odbywają się burzliwe demonstracje, Kongres powołuje specjalne komisje, prasa zachłystuje się sensacjami, rzecznicy dementują, po czym... Po czym wszystko wraca do normy, Agencja robi swoje, czasami tylko, w szczególnie ciężkich przypadkach składając w charakterze kozła ofiarnego jakiegoś pechowego urzędnika.

Według ostrożnych, nieoficjalnych szacunków sprzed kilku lat roczny budżet Agencji sięgał trzech miliardów dolarów, a liczba etatowo zatrudnionych wynosiła blisko czterdzieści tysięcy ludzi. Nietrudno się domyślić, że liczby te nie mają tendencji spadkowych.

Za czasów prezydentury Reagana Agencję umieszczono pod szczególnie szczelnym kloszem, uniemożliwiając podanie bardziej precyzyjnych liczb, motywując to oczywiście „względami bezpieczeństwa narodowego".

Mimo oszałamiającej techniki, mimo środków pozwalających

sfinansować właściwie każdą operację w dowolnym zakątku świata najważniejszy pozostaje tzw. „czynnik ludzki". Pod koniec każdego roku akademickiego kadrowcy Agencji rozjeżdżają się po całych Stanach, docierając do najbardziej nawet prowincjonalnych uniwersytetów i college'ów. Podczas nieobowiązującej pogawędki z niektórymi profesorami, prowadzonej w pełnej wzajemnego zrozumienia atmosferze, do rąk emisariuszy trafia kartka z wypisanymi nazwiskami najzdolniejszych, kończących naukę, którzy – zdaniem uczonych – mogliby zasilić szeregi pracowników Agencji. Po skrupulatnym sprawdzeniu niektórzy kandydaci zapraszani są na rozmowy. Tylko niewielki procent się nie zgadza. Do większości przemawia wysoka płaca i gwarancja stałej pracy, bowiem Agencja – jako jedna z nielicznych instytucji w USA – nie przewiduje w najbliższej przyszłości redukcji.

Ważkim argumentem na rzecz podjęcia pracy jest również fakt stosunkowo krótkiego czasu, po którym można otrzymać wysoką i wolną od podatków emeryturę. Nic dziwnego, że każdy jesienny zaciąg dostarcza CIA nowych, wykształconych i pełnych młodzieńczej energii pracowników, sprawdzonych pod każdym względem. W tej ostatniej zwłaszcza sprawie szefowie Agencji zdają się nie mieć najmniejszych wątpliwości.

★
★ ★

W piątek rano szef wkroczył do swego gabinetu w chwili, gdy sekretarka kończyła układanie w wachlarzyk kilkunastu różnokolorowych teczek na biurku. Zadowolona z efektu, uśmiechnęła się promiennie, skinęła głową i bez słowa opuściła pokój. Srebrnoszary chrząknął z satysfakcją. Już od paru lat nie cierpiał szczebiocących, rozgadanych sekretarek, które niczym stadko różnobarwnych ptaków obsiadały stoliki kafeterii w czasie lunchu, zagłuszając wszystkich podnieconym gwarem. Żywiły niczym nieuzasadnione przekonanie, że obcisłe sweterki przy braku biustonoszy mogą rekompensować niedostatki w sprawności wykonywanych poleceń. Nie cierpiał również gadatliwych mężczyzn. Tym bardziej cenił sobie milczącą, kompetentną Jane.

Stał chwilę przy oknie, ustawiając odpowiednio żaluzje i kon-

templował rozległy widok na kompleks budynków Centrali w Langley. W promieniach niskiego słońca lśniły marmurową bielą, ostro kontrastującą z zielenią trawników długie gmachy, pozornie rozrzucone bez ładu, upstrzone monotonnymi szeregami okien. Dopiero z dużej wysokości, gdy ogarniało się całość jednym rzutem oka, dawała się zauważyć logika rozlokowania poszczególnych zabudowań, tworzących w sumie zamknięty układ, szczelnie izolowany zasiekami i posterunkami.

Westchnął leciutko. Czekała go wytężona praca, od wyniku której zależało przecież tak wiele. Zasiadł za biurkiem, spojrzał na rozłożone teczki i po chwili wahania nacisnął klawisz interkomu.

– Jane – zaczął nie czekając na jej głos, pewny że go słyszy. – Za godzinę poproszę o dzbanuszek kawy. Dopilnuj, by kierownicy sekcji, którzy przynieśli teczki, byli w każdej chwili do odszukania. Możliwe, że będę potrzebował od nich wyjaśnień. Poza tym nie ma mnie dla nikogo. Oczywiście poza dyrektorem. To wszystko, dziękuję.

Wyłączył interkom i zabrał się do pracy. Teczek było siedemnaście.

Gdy po godzinie Jane wkroczyła do gabinetu z metalicznie połyskującym dzbankiem, srebrnoszary był dopiero po pierwszym, pobieżnym przeglądzie, w wyniku którego tylko jedna teczka została definitywnie odłożona na bok.

– Niech pani powie Adamsowi – sapnął – że jeszcze nie mam sklerozy.

Twarz Jane nie drgnęła. Znała szefa i jego sposób mówienia.

– Ten dureń przyniósł teczkę człowieka, który umarł tydzień temu. Czy on nie czyta polskich gazet?! Było pół strony nekrologów! To już naprawdę...

Jane mimo woli uniosła brwi do góry. Takiego lapsusu jednak się nie spodziewała. Starszy pan obserwował ją uważnie. Pierwszy raz od czasu, gdy pracowała u niego, dostrzegł inną reakcję niż standardowy uśmiech, był to dla niego widok godny zapamiętania.

Zmusił się do myślenia o tym, co by się stało, gdyby wieść o wciągnięciu na listę płac człowieka, który od kilku dni spoczywa na cmentarzu, dotarła do dyrektora. Spojrzał jeszcze raz na Jane.

– Co z tym Adamsem zrobić?

Sekretarka ledwo dostrzegalnie wzruszyła ramionami.

– Jak zwykle ma pani rację – oboje wiedzieli równie dobrze, że Adamsa nie można ruszyć.

Protekcje tego człowieka od czasu ostatnich wyborów sięgały w pobliże Białego Domu. Nieźle musieli się nagłowić, by znaleźć mu stanowisko, na którym nie będzie zbytnio przeszkadzał. Wydawało się, że funkcja kierownika jednej z sekcji archiwum wydziału będzie w sam raz dla niego. A tu proszę...

– Wiesz co, Jane? – znów zwrócił się do niej po imieniu, co oznaczało, że ochłonął. – Zasugeruj mu, by pomyślał o zajęciu bardziej odpowiadającym posiadanym kwalifikacjom. Oczywiście równorzędnym. Albo nawet w formie awansu, byle tylko przestał tutaj bruździć. Mogę na ciebie liczyć?

Skinęła głową, odwróciła się i wyszła. Zupełnie już uspokojony wrócił do lektury. Wiedział, że rzeczywiście może na nią liczyć. Tą cząstką władzy, jakiej jej czasami użyczał, operowała niczym lancetem – czysto, skutecznie i pod miejscowym znieczuleniem.

Mijały godziny – Jane jeszcze dwukrotnie przynosiła kawę. Za drugim razem przyniosła również tackę z sandwiczami. Srebrnoszary ciągle czytał. Na czystej kartce papieru stawiał mazakiem niezrozumiałe znaczki. Taca z sandwiczami pozostała nie ruszona. Stary miał obsesję na punkcie szkodliwego wpływu obciążonego żołądka na pracę umysłową. Jane – zanim została zwolniona do domu – zdążyła zastąpić sandwicze pomarańczami i kefirem.

Gmach opustoszał, ciszę zakłócały jedynie kroki strażników patrolujących korytarze. Całkowicie zabazgraną kartkę papieru zastąpił kolejny arkusz, powoli zarastający gąszczem hieroglifów. Przerwał pracę, by obejrzeć wieczorny dziennik w telewizji. NBC rozwodziło się szeroko na temat jakiegoś incydentu w Zatoce Tonkijskiej i jego ewentualnych następstw... Tonkin... to gdzieś w Wietnamie... nie jego rejon. Przełączył na ABC. „Wolna trybuna wolnego świata" – trzy lesbijki (jedna niczym dragon i dwie cycate mimozy) wybrzydzały na mężczyzn. Co to się w tym kraju wyrabia... jeszcze dziesięć lat temu za taki program szefowie telewizji znaleźliby się na bruku, jeśli nie w pudle... Obrzydlistwo. Nacisnął guzik i barwne fantomy znikły, wessane w szybko ciemniejący punkcik na środku ekranu.

A jak tam z przyjaciółkami Jane? Sprawdzić – zanotował w pamięci.

Wrócił do ankiet. Pokonywanie zmęczenia przynosiło mu pewien szczególny rodzaj przyjemności. Było dowodem, że w tej dziedzinie ma jeszcze siły młodzieńcze. Nazywał to dla siebie „erekcją mózgu".

Gdy wzeszło słońce, podniósł się ociężale i nie widzącymi oczyma patrzył przez okno na różowawe, odrętwiałe po nocy budynki, na opustoszałe parkingi. Na biurku zostały tylko dwie teczki. Odetchnął głęboko, zasiadł z powrotem w fotelu i zapadł w sen. Ocknął się na kilkanaście minut przed przyjściem Jane. W łazience przylegającej do gabinetu zdążył wziąć tusz i ogolić się.

Ledwo znowu siadł za biurkiem, weszła Jane. Trzymała w ręku kopie depesz oraz poranne wydania dzienników. Jeżeli nawet zdziwił ją widok szefa, pracującego najwidoczniej całą noc, to nie dała nic poznać po sobie.

Skinęła głową, gdy zamówił becon and eggs i owsiankę na śniadanie. Nim weszła ponownie z tacą, zdecydował. Znalazł kandydata. Z przyjemnością zatopił zęby w chrupiącej grzance i popił kawą.

★

★ ★

Za oknami gabinetu, przysłoniętymi burożółtymi firankami, widać było dachy kamienic stojących przy splątanych uliczkach Powiśla, a dalej cztery metalowe dinozaury instalacji oświetleniowej pochylały swe paszcze nad michą stadionu Legii. W gabinecie stało biurko z umieszczonym nad nim godłem państwowym, wyrośnięta palma o wyjątkowo świeżej zieleni, na uboczu dwa fotele przy stoliku, na którym czerniała rzeźba z węgla, przedstawiająca fedrującego górnika oraz długi konferencyjny stół tworzący z biurkiem literę T, z malutką poprzeczką i nieproporcjonalnie długą podpórką.

Siedziało przy nim kilkanaście osób. Gospodarz na czołowym miejscu za biurkiem, skąd mógł widzieć wszystkich obecnych. Wszak była to oficjalna odprawa, a nie prywatna, nieobowiązująca pogawędka. W tym gabinecie zdarzały się i takie. Zdarzało się też i mnóstwo innych rzeczy. Mężczyzna w mun-

durze pułkownika prowadził odprawę spokojnym, miarowym głosem, odhaczając kolejno omówione punkty. Po godzinie dotarł w końcu do ostatniego.

– A teraz, panie i panowie – zaczął postukując rytmicznie długopisem o rozłożony notatnik – rzecz niezmiernie ważna, ale i delikatna. Chodzi o kontakty z Polonią. Jak wiecie, zmienił się nasz stosunek do osiadłych za granicą Polaków. Ostatnie dyrektywy mówią wręcz o zacieśnianiu więzów emigracji ze Starym Krajem. Bo cóż – zawiesił na chwilę głos – na pewno podczas pobytu w Stanach spotkacie się z zaproszeniami ze strony przedstawicieli Polonii. Polecam nie uchylać się od kontaktów, na spotkaniach dbać o serdeczną atmosferę, unikać jednak polityki. – Przerwał na chwilę i powoli zamknął skorowidz. – Dyrektywy dyrektywami, ale nie wolno wam zapominać, że istnieją różne odłamy Polonii.

Rozejrzał się po twarzach siedzących w gabinecie kobiet i mężczyzn. Czy ci młodzi ludzie będą w stanie, na pierwszy rzut oka, odróżnić wzruszonego Polonusa od zajadłego, ale skrytego wroga? Czy nawet od kogoś, kto nie przyszedł się wzruszać, a odwalić cuchnące obowiązki służbowe? Na dobitkę skasowano grupowe poruszanie się za granicą w czasie wolnym, a w pojedynkę niedoświadczonego przecież łatwiej usidlić. Wszystko możliwe. A tu jeszcze te dyrektywy... Pułkownik starannie stłumił westchnienie.

– A więc pamiętajcie – podniósł się zza biurka. – Serdeczność serdecznością, ale ostrożność nie zawadzi. Będziecie reprezentować Polskę. Będziecie starannie obserwowani i każde wasze potknięcie będzie stanowić łakomy kąsek dla różnych, nieciekawych osób i instytucji. Oni nie przebierają w środkach. O każdym wątpliwym przypadku meldujcie kierownictwu. To wszystko. Życzę sukcesów.

Rozległ się rumor odsuwanych krzeseł.

Niewielkiego wzrostu łysiejący blondyn o bystrych, szarych oczach z trudnością ukrył pogardliwy wyraz twarzy. Zawsze to samo, za każdym razem, gdy wyjeżdżali na Zachód, te same rady i ostrzeżenia. Obsesja na punkcie skandalu albo szpiegowania. Traktują ich jak dzieci. Wszędzie węszą podstępy i prowokacje. Tyle razy wyjeżdżali i co? Zawsze spotykali się z niezmienną życzliwością, a gdy odnosili sukcesy, to wręcz z entuzjazmem.

Nie wątpił, że w razie czego da sobie doskonale radę. A już w

Stanach nie ma się czego obawiać. Amerykanie lubią Polaków... Kościuszko, Pułaski i ten, no... kto tam bił się jeszcze. Pewnie, że rządu naszego nie kochają, ale co mogą mieć do zwykłych obywateli? Zresztą, w razie czego, bez trudu załatwi sprawę. Ci kowboje muszą się jeszcze dużo uczyć, by rozgarniętego Polaka przyprzeć do muru. A ten tu każe meldować...

– Zaczekaj jeszcze chwilę – ręka pułkownika opadła mu na ramię, gdy zamierzał, w ślad za innymi, opuścić gabinet.

Gdy zostali sami, pułkownik zaprosił go gestem, by usiadł przy stoliku z rzeźbą, a sam podszedł do biurka i zaczął przewracać leżące na nim papiery.

– Franek powiedział, że jego ministerstwo nie będzie ci stawiać przeszkód – rzekł z niewielką kartką w dłoni. Tu masz telefon. Zadzwoń, powołaj się na mnie. Załatwią ci to. Zadowolony?

Blondyn kiwnął głową. Mogą pomóc człowiekowi, jak im się chce. Musiał przyznać, że kiedy chodziło o niego, to chciało im się zawsze. Z satysfakcją schował karteluszek do portfela. Pułkownik usiadł obok, a na stoliku pojawiły się pękate kieliszki ze złocistym płynem na dnie.

– No, to za zwycięstwo – zadźwięczało cichutko szkło. – Nie spraw nam zawodu. Wiesz jak na ciebie liczymy.

Blondyn umoczył usta, hamując irytację.

– Czy kiedykolwiek zawiodłem? – odstawił kieliszek. – Po co mi to mówisz?

Pułkownik klepnął go w kolano.

– Nie gniewaj się. Skrzywienie zawodowe. Każdemu to powtarzam przed wyjazdem, no i z rozpędu... Tobie rzeczywiście nie muszę. No, rozchmurz się. Drażliwy jesteś jak hiszpańska infantka.

Blondyn się uspokoił. „Liczą się tu ze mną, to fakt. A ten poczciwy chłop, da się lubić... No, i załatwił w ministerstwie".

Stali już przy drzwiach ściskając sobie dłonie.

– A więc, jedź i baw się dobrze – powiedział pułkownik puszczając wreszcie jego rękę. – Tylko pod ten numer zadzwoń jeszcze przed wyjazdem. Wiesz jaka to gratka. Ktoś się zakręci i może wskoczyć na twoje miejsce.

Blondyn skinął głową, uśmiechnął się jeszcze raz i zamknął za sobą obite dźwiękoszczelną poduchą drzwi.

W parę minut później znalazł się kilka pięter niżej w przestronnym westybulu. Przed gmachem zastał jeszcze całą grupę w

komplecie. Kierownik ustalał ostatnie szczegóły, przypomniał o terminie zbiórki na Okęciu, kazał czule się pożegnać z rodzinami i wśród żartobliwych uwag siadł za kierownicą nowiutkiego wartburga.

Blondyn pomachał pozostałym ręką i poszedł w stronę swego samochodu. Mimo że ruszył w dobre parę sekund za kierownikiem, wyprzedził go bez trudu, zanim dojechał do skrzyżowania. Zatrąbił przeraźliwie wielotonowym klaksonem, które właśnie zaczęły wchodzić w modę, ściął zakręt i jak jasnokremowa błyskawica runął ulicą Rozbrat. Milicjant z drogówki odskoczył od krawężnika w momencie, gdy go mijał, po czym zaczął gorączkowo wyciągać pióro i notatnik. Blondyn nie zwrócił na niego większej uwagi. Nim milicjant postawił pierwszą kreskę, samochód już był na Książęcej.

Po kilku minutach zatrzymał się przed swoim domem, olbrzymią secesyjną landarą przy ulicy prowadzącej do placu Powstańców Warszawy. Ciepło szczęknął zamek mercedesa i blondyn poklepał wóz po masce. Parę latek ma, ale ciągle nie do zdarcia.

Przeskakując po kilka stopni dotarł na trzecie piętro i zatrzymał się przed drzwiami. Drzwi otworzyły się, zanim znalazł klucze. Stała w nich uśmiechnięta, ładna blondynka o okrągłej, trochę kociej twarzy. Porwał ją w ramiona i zakręcił kilka razy, śmiejąc się głośno.

– Załatwione, Iwonko! – wykrzyknął wesoło, gdy wreszcie postawił ją na ziemi. – Byłem pewien, ale wiesz jak to jest...

– Cicho, wariacie – powiedziała niby to poważnie, ale oczy jej się śmiały. – Wejdź do domu, bo wrzeszczysz na całą klatkę.

Wziąwszy ją pod rękę ruszył w głąb mieszkania. Ochłonął nieco, gdy usiedli w jadalni w wygodnych fotelach ustawionych przy jednym z wysokich, weneckich okien.

– Co ci przywieźć z Nowego Jorku? – Lubił ten moment, czuł się wtedy trochę jak wschodni nabab.

Iwona jednak za każdym razem uparcie żądała tylko jakiegoś drobiazgu, który, na dobrą sprawę, można kupić w pierwszym z brzegu sklepie PeKaO.

– Czy ja wiem? – teraz też była niezdecydowana. – Może taki ołówek do brwi – Heleny Rubinstein, numer zdaje się 0125.

Uśmiechnął się w duchu. Zawsze to samo. Najpierw niby nie wie, a potem precyzyjne opisanie jakiegoś drobiazgu.

BIBLIOTEKA ... Oddział Zbiorów Ogólnych

– Ależ, kochanie – powiedział prosząco – naprawdę się nie krępuj. Tyle lat jeżdżę i pies z kulawą nogą nie zajrzał mi do bagażu.

– Raz ci zajrzał – przerwała mu nadspodziewanie ostro.

Skrzywił się, wzruszył ramionami.

– No i co z tego? – zapytał. – Wystarczył jeden telefon i po krzyku. A tego biednego nadgorliwca wywalili. Pamiętasz, jak przychodził prosić. Porządny chłopak, a jego szefowie przesadzili. Drugi telefon i wrócił do roboty. Martwisz się o moje interesy?

Iwona wstała.

– Nie podoba mi się ta historia. Zawsze mi się nie podobała – rzuciła oschle. – Idź się pakować, a ja podam obiad – dodała i już jej nie było.

Blondyn westchnął cichutko. No i proszę, cały nastrój diabli wzięli. A tak się cieszył na ostatni wspólny wieczór. Niestety, coraz częściej zdarzały się im takie nieporozumienia. Iwona nie może uwierzyć, że jest pupilem wszystkich, że na jego widok wszyscy uśmiechają się z sympatią, Nawet tam, na samej górze... Może robić to, co innemu nie uszłoby na sucho. Ubrdała sobie, że nie należy przekraczać przepisów, bo to brzydko. Naiwna! Po pierwsze tak znów bardzo nie przekracza. Po prostu korzysta ze swej pozycji. Gdy przywoził jej podarki z zagranicznych wojaży, o wiele kosztowniejsze niż zamówiła, dziękowała, była uradowana, a jednak... A jednak gdzieś na dnie jej oczu pulsowało nieme pytanie, które w miarę rosnącego powodzenia i coraz droższych prezentów, zamieniło się w ledwo skrywaną obawę. Jak długo to będzie trwać? I jak się to wszystko skończy? W takich chwilach z trudem skrywał rozdrażnienie.

Ściągnął z pawlacza niewielką walizkę ze świńskiej skóry z okuciami w kolorze złota i podszedł do szafy. Otworzył ją i przejrzał zawartość. Nie było tego dużo, nie lubił wydawać pieniędzy na stroje. Miał zresztą przydziały służbowe, czy jak to się nazywa... Tak, wszystkiego cztery garnitury...

Pochylił się i zaczął metodycznie pakować.

Wiszący tuż obok mundur kapitana piechoty pozostał na wieszaku.

★
★ ★

Boeing 707 wisiał samotnie pod lazurową kopułą nieba i tylko gdzieś głęboko w dole widać było morze, pokryte znieruchomiałą łuską fal, migotliwie połyskującą w promieniach słońca. Czasami monotonię oceanu zakłócał statek, podobny do ułamka zapałki, zostawiający za sobą spienioną linię kilwateru. Blondyn odsunął się od okna. Siedział o kilka rzędów od swoich, irytowało go bowiem z trudem skrywane podniecenie tych, którzy pierwszy raz mieli okazję przelatywać nad Atlantykiem. Wyciągnął się wygodnie i przymknął oczy.

Przesuwały mu się pod powiekami bezładnie przemieszczane obrazy z rutynowej, okraszonej uśmiechami odprawy celnej na Okęciu, równie pobieżnej na Orly, miła scenka w Banku Lyońskim, galop z resztą ekipy po Avenue des Champs-Elyseés, gdzie jak przewodnik pokazywał co elegantsze sklepy... Obrazy wirowały coraz prędzej, aż zapadł w sen.

Dopiero na kilka minut przed lądowaniem na lotnisku Kennedy'ego w Nowym Jorku ocknął się i wyjrzał przez okienko. Morze jakby spęczniało, było teraz o wiele bliżej samolotu, a liczne statki już nie przypominały zapałek, lecz obłe długopisy z rozlewającym się w wachlarz jasnym tuszem śladu torowego. Spojrzał w kierunku lotu i na horyzoncie zobaczył niewyraźną, nastroszoną plamę Manhattanu.

Z daleka wyglądała jak skrawek niebieskawego materiału z powtykanymi na sztorc, metalicznie połyskującymi igłami wieżowców. Z tyłu rozległy się chóralne westchnienia. Samolot wszedł łagodnie w zakręt i wyspa – niegdyś kupiona od Indian za dwadzieścia parę dolarów plus paciorki – znikła z oczu.

Poczuł zmianę ciśnienia. Odrzutowiec szybko obniżał lot, schodził szybko do lądowania. Przełknął parę razy ślinę, ale mimo to słyszał wszystko jak przez watę, warkot silników zmienił się w nieokreślone mruczenie i tak to już trwało, aż nagle pod skrzydła wyskoczył brzeg, jakieś domki, autostrada, po której żwawo poruszały się całkiem spore samochody, a gdy nad nią przemknęli zaczęły się lampy sygnalizacyjne oraz ustawione w skomplikowany szyfr – znaki. Pojawił się pas startowy, popstrzony czarnymi krechami niezliczonych lądowań, silniki ścichły i w tym momencie lekki wstrząs potwierdził kontakt z amerykańską zie-

mia, skwitowany poruszeniem wsrod pasazerow.

Samolot zwalniał bieg. Z głośnika rozległ się ociekający miodem głos stewardesy, który informował, dziękował, życzył i przypominał, że tylko linie TWA... W końcu pasa odrzutowiec zawrócił, kołował jedną ze ścieżek w stronę dworca. Blondyn ujrzał jeszcze jak do samolotu zbliża się rozwarta jama wysuwanego korytarza i wstał, aby dołączyć do swojej grupy.

Gdy wynurzyli się wreszcie z przeszklonej klatki budynku przylotowego, pierwszą rzeczą, jaką zauważyli, to stojące na zarezerwowanych miejscach parkingu dwa czarne, luksusowe plymouthy z przyciemnionymi oknami. Ciągle jeszcze oszołomieni nowymi widokami, odgłosami, a przede wszystkim zapachami – nie od razu spostrzegli, że z pierwszej limuzyny wysiadł potężnie zbudowany mężczyzna, który szeroko rozłożywszy ręce, z kordialnym uśmiechem na twarzy ruszył w ich stronę.

Gdy się wyjaśniło, kto zacz cała grupa zajęła miejsca w autach i rozpoczął się skomplikowany dojazd do miasta. Przemknęli przez Queens i – po przejechaniu tunelu pod East River – zwolnili. Byli już na Manhattanie. Przecięli Park Avenue obok Centrum Rockefellera, przeskoczyli przez 5. aleję i skręciwszy w prawo, dotarli aż do 59. ulicy Zachodniej, stanowiącej od południa granicę Central Park.

Na rogu 7. alei i 59. ulicy stał siedemnastopiętrowy budynek. Do pierwszego piętra był wyłożony płytami sztucznego białego marmuru, a wyżej ciemnoczekoladowym piaskowcem. Na wysokości czwartego piętra, od strony 59. ulicy umieszczone były dwie płaskorzeźby z fantazyjnymi herbami, których na próżno by można szukać w heraldyce Europy.

Od ulicy, pod herbami znajdowało się główne wejście do budynku, ocienione półkolistym daszkiem z dwiema flagami – jedną amerykańską, a drugą z jakimś zawijaskiem i wachlarzykowato umieszczonymi literami N.Y.A.C. Tu właśnie zatrzymały się plymouthy.

Dostał pokój na dziesiątym piętrze, z oknem wychodzącym na Central Park. Mieszkał tu już kilka razy i dlatego nie musiał wysłuchiwać grzecznego, ale stanowczego instruktażu, którym poczęstowano nowicjuszy z jego grupy. A więc cisza od dziesiątej, zakaz wstępu dla Żydów i Murzynów, goście mogą być wyłącznie przyjmowani w kawiarni na parterze, żadnych kobiet w pokojach. Życzymy przyjemnego pobytu.

Blondyn uśmiechnął się. Na szczęście, poza gmachem panują zupełnie inne obyczaje. Otworzył walizkę i począł metodycznie rozwieszać ubrania w szafie.

★
★ ★

Ogłuszający ryk głośników sprawiał, że trudno było usłyszeć nawet własne myśli, a o porozmawianiu w ogóle nie było mowy. Nikomu zresztą to nie przeszkadzało. Zbita masa gości podrygiwała w takt muzyki tak beznamiętnie, jakby odrabiała zadane do domu ćwiczenia. Pulsujący tłum powoli, lecz nieubłaganie spychał go pod ścianę. Wisiała tu ciężka, pluszowa zasłona odgradzająca salę tańców od pozostałej części mieszkania. Rozchylił tkaninę i po krótkiej walce z kilkoma jej warstwami znalazł się w zaciemnionym pokoju. Muzyka dochodziła tu nieco stłumiona, będąc tłem, a nie pierwszoplanowym efektem. Jedynym źródłem światła był prostokąt ekranu, na który cicho szemrzący projektor rzucał kolorowe obrazy, entuzjastycznie przyjmowane przez rozłożonych na dywanie kilkunastu widzów płci obojga. Film był amatorską wersją bajki o wilku i trzech świnkach, w wydaniu tylko dla dorosłych.

Pod samym ekranem siedziała grupka osób złożona z trzech dziewczyn i jakiegoś brodacza, nie szczędząca sobie szczególnie hałaśliwych wyrazów uznania. Gdy odwracali się po szklanki whisky, rozpoznał aktorów grających główne, i zresztą jedyne, role w oglądanym właśnie filmie. Brodaty wilk, ciężko dysząc, zagonił trzy świnki do luksusowego domku, z olbrzymią łazienką oraz nie mniejszą sypialnią i zaczął je konsumować, co wywołało na widowni szczery aplauz. Gdy w końcu nadelektował się nimi, projektor umilkł, rozbłysły kinkiety, skąpo oświetlając salę rubinowymi refleksami i wszyscy sięgnęli po napoje.

Jedna z aktorek ruszyła w jego stronę. Z rosnącym uznaniem spoglądał na okrągłości podrygujące w miarę jak przeskakiwała przez leżących. Ubrana była w dziwacznego kroju tunikę z lejącego się materiału o kwiecistym wzorze tak nieprawdopodobnie sztucznym, że jedwab musiał być prawdziwy. Zatrzymała się przed nim i niecierpliwym gestem odgarnęła platynowy tajfun z czoła.

– Jestem Viola – oznajmiła mu i podała szklankę napełnioną w trzech czwartych whisky ze śladową ilością wody. – Planujemy całą serię takich bajeczek. Podobało ci się?

Blondyn kiwnął z zapałem głową.

– To wspaniale – jakby w roztargnieniu trąciła go piersią w łokieć, aż poczuł mrowienie. Łyknął pośpiesznie z ofiarowanej mu szklanki.

– To fantastycznie – ciągnęła dalej nie dając mu dojść do słowa. – Zaraz poproszę Marka, on ci wszystko opowie. Ale na razie walnij łyka.

Dopiero teraz zauważył z jednej strony szklanki rozmazaną mgiełkę bezbarwnej szminki. Dostrzegła to.

– Co jest, Tom? Chyba nie brzydzisz się pić po mnie? – Patrzyła mu z prowokującym uśmiechem prosto w oczy, czuł się jak samiec modliszki. Spuścił nieco wzrok na niedbale rozchylony dekolt wdzianka, prezentujący znakomitą część tego, co w całości mógł oglądać na ekranie. Ciągle jeszcze sztuka filmowa ustępuje trójwymiarowej, atakującej wszystkie zmysły rzeczywistości. Łyknął jeszcze raz.

– Nie nazywam się Tom – wykrztusił wreszcie.

Prowokujący uśmiech znikł bez śladu jak ekspres w tunelu.

– To ty nie jesteś Tom Warner? – Nie wiadomo kiedy rozcięcie tuniki zamknęło się. Miała teraz tyle sexappealu, co czapka kanalarza.

– Niestety nie. Nazywam się... – Ale Viola nie czekała na ciąg dalszy. Wyjęła mu szklankę z dłoni, odwróciła się i odeszła.

Przygaszono światła. Widzowie poczęli zabierać się do wypróbowania niektórych propozycji filmowych.

Zgęstniały mrok wypełniły szelesty, piski i śmiechy.

Po omacku trafił do wyjścia, przedarł się przez pluszowy labirynt i znowu zalał go grzmiący ocean dźwięku. W tej części mieszkania, na ostatnim piętrze nowoczesnego budynku przy West Ende, niedaleko 86 ulicy przyjęcie dobiegało końca. Ledwie widoczne zza obłoków dymu grupki gości rozglądały się niepewnie, w oczekiwaniu na dalszy ciąg zabawy i rozkwit szampańskiego wieczoru. Pod ścianą ujrzał Violę, jak tokowała w kącie, zablokowawszy swym dorodnym ciałem jakiegoś, rzeczywiście trochę podobnego doń faceta. Najwyraźniej urzeczony jej wdziękami, w jednej ręce trzymał tę samą szklaneczkę, w drugiej pierś Violi. Kiwał głową i zgadzał się na wszystko.

Blondyn ruszył w przeciwnym kierunku, w stronę okna sięgającego od podłogi do sufitu i oparł czoło o chłodną, połyskliwą szybę. Rozciągał się stąd widok na Hudson River pełną tajemniczych światełek, w tle zaś brzeg New Jersey można było rozpoznać tylko po przerywanych liniach lamp autostrad i dalekich, mgławicowych reklamach. Razem wyglądało to jak nieznana galaktyka, do której zbliżał się zagubiony kosmolot z nim samotnym na pokładzie.

Okno z ginącymi w mroku ramami tylko potęgowało to wrażenie. Wyprostował się, poszukał papierosa. Przypomniał sobie, że zostawił paczkę w płaszczu i ruszył do przedpokoju. Ze stosu okryć wyciągnął jasny prochowiec i po gruntownym przeszukaniu znalazł w końcu wymięte opakowanie z nadłamanym papierosem. Z zasady nie palił, ale od czasu do czasu lubił otoczyć się kłębem pachnącego dymu. To co znalazł w zupełności mu wystarczyło.

Rzucił płaszcz z powrotem na stos odzieży i wrócił do pokoju. Zabawa miała się ku końcowi. Ktoś ściszył magnetofon i po chwili rozpoczęły się pierwsze pogwarki prowadzone ze sztucznym ożywieniem. Viola ze swą ofiarą już znikła. Może za kotarą? Zdusił papierosa i spojrzał na zegarek. Trzeba będzie wracać. Musi solidnie wypocząć, pojutrze pierwsze spotkanie.

Nie znał tu nikogo. Zaprosiła go, nieco z rozpędu, jakaś krewna czy znajoma faceta, który ich witał na lotnisku. Wpadła na nich, gdy podchodzili do recepcji. Zaraz na początku przyjęcia został sam. Poza przywitaniem przez gospodynię, która z widocznym pośpiechem i roztargnieniem wręczyła mu drinka, przez cały wieczór z nikim nie zamienił właściwie ani słowa. Incydent z Violą postanowił wykreślić z pamięci. Do takiego traktowania nie był przyzwyczajony. Goście z wolna zaczęli wychodzić i tylko kilku maruderów błąkało się jeszcze po zaśmieconym pokoju, poszukując resztek nie wypitych alkoholi i ostatnich nie zajętych kobiet – w nadziei, że może jeszcze coś się zdarzy.

Obecne w tej części mieszkania panie, które nie otrzymały zaproszenia za kotarę, były teraz poobstawiane przez wygłodniałych panów, mających przez alkohol i „trawkę" zdecydowanie przytępioną ostrość widzenia. Blondyn uśmiechnął się w duchu. Można mu zarzucić wiele, lecz różnego rodzaju podniecające używki nigdy mu nie były potrzebne, a o narkotykach

nawet nie ma co wspominać. Żył wystarczająco intensywnie bez sztucznych wspomagań.

Znalazł się w przedpokoju w chwili, gdy zamykały się drzwi za kolejną grupką ostatnich gości. W resztce pozostałych okryć bez trudu wypatrzył swój, brutalnie sponiewierany prochowiec. Pod lewą pachą dostrzegł nawet naddartą podszewkę. Z westchnieniem założył płaszcz na siebie. Komentarz Iwonki na widok rozdarcia i okoliczności z nim związanych trudno będzie zaliczyć do przyjemności. Trzeba kupić jej coś jeszcze, oprócz tego śmiesznego ołówka. Co prawda, i tego jeszcze nie znalazł.

Zjechał na parter i – gdy znalazł się na ulicy – głęboko odetchnął chłodnym, pachnącym wilgocią powietrzem nocy. Znad Hudson River ciągnął lekki wietrzyk. Postanowił wrócić do siebie pieszo. Ruszył West Endem w kierunku 59. ulicy powoli, nie śpiesząc się. Oddychał miarowo, dokładnie oczyszczając płuca z nadmiaru wchłoniętego na przyjęciu dymu. Było pusto i cicho. Przedstawienia w teatrach, teatrzykach i kabaretach – licznie tu rozlokowanych – skończyły się już dawno i tylko martwe odblaski szły od oświetlonych gablot na asfaltowy chodnik. Cichy odgłos jego kroków zakłócił od czasu do czasu dolatujący od rzeki niski, urywany jęk syren.

Gdy dochodził do skrzyżowania z 72. ulicą usłyszał za sobą rosnący szum motoru. Po chwili auto zwolniło i zaczęło podążać za nim, utrzymując tę samą, niewielką odległość. Zaniepokoił się. Przyszły mu na myśl różne historie, jakie co noc zdarzają się w tak wielkim tyglu, jakim jest Nowy Jork. Zauroczony pogodną nocą, na śmierć zapomniał, że nie ma przy sobie odpowiedniej kwoty na zwyczajowy okup, który musi być natychmiast wręczony, by nie denerwować trzymającego broń alkoholika czy narkomana. Sytuacja stawała się naprawdę poważna, gdy w użyciu był samochód. Tu na paru dolarach może się nie skończyć, może natomiast na dnie niedalekiej rzeki.

Skręcił w lewo – w kierunku Broadwayu, gdzie o każdej porze panuje ruch, obejrzał się ostrożnie i odetchnął z ulgą. O jakieś trzydzieści metrów za nim sunął powoli i z wygaszonymi światłami czarno-biały, popstrzony napisami i odznakami nowojorski wóz policyjny. Uspokojony tym widokiem, już miał się odwrócić, gdy samochód raptownie przyspieszył. Z piskiem opon zatrzymał się tuż obok niego. Drzwi gwałtownie pchnięte, odskoczyły

z obu stron wozu. Wyskoczyło trzech policjantów, którzy podbiegli do blondyna. Obrócili go z rozmachem w kierunku auta i popchnęli tak, że musiał obiema rękami oprzeć się na masce. Jednocześnie energicznymi kopnięciami rozstawili mu nogi. Bez odrywania rąk i długiego balansowania nie mógłby złapać równowagi. Trwało to jakieś trzy sekundy, po których znieruchomieli wszyscy jak na żywym obrazie i zapadła cisza.

Dopiero po chwili dał się słyszeć lekki szelest. Policyjnego chryslera opuścił jeszcze jeden policjant. Cichutko posapując okrążył samochód i znalazł się po drugiej stronie maski. Nosił mundur z dystynkcjami sierżanta. Oparł zwaliste ciało o karoserię, a złota gwiazda inkrustowana niebieską emalią migotała w skąpym świetle nocy w rytm jego oddechu.

– Sprawdźcie, czy nie ma broni.

Poczuł jak sprawne ręce przesuwają się wzdłuż całego ciała.

– Czysty, szefie.

Sierżant potrząsnął głową.

– To się jeszcze zobaczy – odparł. – Ej, ty! Stań normalnie i wykładaj wszystko, co masz w kieszeniach.

Oszołomiony blondyn ściągnął nogi i lekko drżącymi rękami zaczął wykładać nieskomplikowaną zawartość – chusteczkę, scyzoryk, trochę bilonu, kartonowe zapałki, klucze...

– To wszystko? – głos sierżanta był beznamiętny, jakby nie przykładał większej wagi do odpowiedzi.

Blondyn skinął głową, ciągle niezdolny wymówić słowa.

Sierżant spojrzał przelotnie na rozłożone, na masce przedmioty.

– Dobra. A teraz sprawdźcie go po naszemu.

Ręce jeszcze raz zaczęły wędrówkę wzdłuż ciała, lecz tym razem o wiele dokładniejszą. W pewnej chwili policjant obmacujący płaszcz znieruchomiał, jego dłonie miętosiły tylko lewą połowę płaszcza.

– Szefie, tu coś chyba jest – powiedział, napinając materiał aby uwidocznić kształt.

– Nie ruszaj – ostrzegł sierżant. – Zawieziemy klienta na komisariat.

– Ależ, panowie, o co tu chodzi? – blondyn w końcu odzyskał głos.

Policjant skrzywił się pogardliwie.

– To tak zawsze – rzekł do swego kolegi, ciągle jeszcze trzymającego połę prochowca. – Zawsze, cholera, udają, że nie wiedzą o co chodzi. Ale truć ludzi, to wiedzą jak. Rzygać się chce. Pakuj go do wozu.

Blondyn ze zdenerwowania stracił swój nie najgorszy dotąd akcent.

– To jakaś pomyłka, nic nie rozumiem. Jestem...

Policjant nie dał mu skończyć.

– Pewnie, że pomyłka. Nosisz tam cukier puder? Cholerny cudzoziemiec. Przyjechał truć nasze dzieciaki. Kapitan lubi takich. Wpychaj go, bo mnie szlag trafi i jeszcze mu przyłożę.

Zaczynającego rozumieć Polaka wsadzili do wozu, który niespiesznie zawrócił i ruszył w kierunku komisariatu mieszczącego się na 110. ulicy, przy północnym końcu Central Parku.

W trakcie jazdy próbował jeszcze raz protestować, ale dostał potężną sójkę w bok i od tej chwili zapadł w ponure milczenie. Po kilku minutach wóz zatrzymał się przed jasno oświetlonym wejściem.

– Kapitan jest? – zapytał opasły sierżant starszego, łysego jak kolano policjanta w dyżurce, pracowicie zapisującego kolejne kartki papieru. – Mamy zagraniczny prezent. Ucieszy się jak cholera.

Łysy kiwnął obojętnie głową i pokazał brodą drzwi za barierką. Z celi dla pijaków dochodził ochrypły głos wyśpiewujący irlandzką pieśń.

– Jest – mruknął, nie przestając pisać.

Sierżant pchnął barierkę i poczekał aż drugi policjant razem z blondynem znajdą się przed drzwiami gabinetu, potem puścił ją i zapukał we framugę. Odezwał się stłumiony głos i sierżant otworzył drzwi.

Kapitan był wysokim mężczyzną o zaczesanych do góry włosach i o twardym spojrzeniu zimnoniebieskich oczu. Zdawał się nimi przewiercać blondyna na wylot, kiedy wyprężony sierżant składał raport o zatrzymaniu na West Ende w pobliżu 72. ulicy podejrzanie zachowującego się osobnika. Ponieważ istnieje domniemanie, że zatrzymany posiada przy sobie narkotyki – zaniechano dalszych czynności na miejscu – zgodnie z zarządzeniem naczelnego inspektora policji miasta Nowy Jork – i przewieziono zatrzymanego do komisariatu. Oporu władzy nie stawiał, jest prawdopodobnie cudzoziemcem.

Kapitan wstał zza biurka, obszedł je i znalazł się tuż przed zatrzymanym.

– Poproście jakiegoś świadka – rzucił sucho. – I niech ktoś zapisuje to, co się będzie działo. Proszę siadać – zwrócił się do blondyna, wskazując mu solidny, drewniany fotel, stojący na środku pokoju.

Zanim zdążył go zająć, sierżant wrócił już z dwoma policjantami i protokolantem, dźwigającym maszynę do pisania. Ustawił ją na małym stoliczku przy ścianie i zamarł w pozycji wyrażającej gotowość.

– Mike i Spencer skończyli właśnie służbę – rzekł sierżant, nie zwracając się wprost do nikogo.

Kapitan kiwnął niecierpliwie głową.

– Dobra, kończmy. Popatrzcie uważnie, co będę robił i sprawdzajcie, czy dokładnie to opisuję. A wy – zwrócił się do protokolanta – macie to zanotować. Potem wszyscy podpiszemy. Jasne? Data, godzina i zaczynamy.

W gabinecie rozległ się beznamiętny głos kapitana, a cykająca w jego tle cichobieżna maszyna stanowiła monotonny akompaniament.

– Polecam zdjąć zatrzymanemu płaszcz, jasnobeżowy prochowiec zagranicznej produkcji, co zatrzymany wykonuje bez protestu. Na samym skraju lewej poły wyczuwam palcami elastyczny prostokąt o wymiarach mniej więcej dwa i pół na trzy i pół cala. Dostrzegam w miejscu wszycia lewego rękawa rozprucie podszewki o długości mniej więcej czterech cali. Sięgam przez to rozdarcie w głąb płaszcza. Wyczuwam pod palcami gładki przedmiot o grubości około jednej czwartej cala. Chwytam go i wyciągam. Jest to plastikowe, przezroczyste opakowanie, podobne w kroju do koperty, zaklejone szczelnie taśmą przylepną, bezbarwną, typu scotch. W kopercie znajduje się około dwóch trzecich uncji miałkiego proszku. Ostrożnie odklejam taśmę klejącą, uchylam wieczko koperty, zwilżam śliną palec i lekko dotykam zawartości. Kilka drobinek przykleja się do palca. Podnoszę rękę do ust i dotykam palcem język... Wyczuwam charakterystyczny gorzkawo-słonawy smak, który według mego rozeznania oznacza wysoko oczyszczoną heroinę. Wobec tego precyzyjne zbadanie zawartości torebki znalezionej przy zatrzymanym zleca się wyspecjalizowanemu laboratorium policyjnemu. Koniec.

Blondyn siedział nieruchomo, jak w stanie katalepsji. Nie reagował. Zaczął przychodzić nieco do siebie dopiero wówczas, gdy świadkowie – po złożeniu podpisów – wraz z protokolantem opuścili pokój, w którym został sam na sam z kapitanem. Zaczęła do niego docierać groza sytuacji, w jakiej się znalazł. Dominujące dotychczas uczucie zdumienia i nierealności całej tej historii zaczęło ustępować panice.

– Panie kapitanie, na Boga, o co... – Zaczął piskliwie i wstał, ale kapitan obrócił się na pięcie i podszedł do biurka.

– Proszę siadać – warknął przeglądając jakieś papiery – to potrwa trochę dłużej. Zanim sprawdzą w laboratorium... Mogę zobaczyć jakiś pański dowód tożsamości?

Wyjął i podał mu przez biurko paszport. Kapitan wziął, obejrzał bez szczególnego zainteresowania i wrzucił do szuflady. Zamknął ją z rozmachem, wyciągnął się wygodnie w swym, podobnym do dentystycznego fotelu i zatopił w blondynie nieruchome, ciężkie spojrzenie. Milczenie przedłużało się. Ciszę mącił jedynie przytłumiony śpiew niezmordowanego pijaka. Blondyn jeszcze raz próbował coś powiedzieć, ale w tym samym momencie kapitan pochylił się lekko i nacisnął klawisz interkomu.

– Pat? – odezwał się, gdy głośnik zachrypiał. – Zabierzcie go stąd i zamknijcie. Jeżeli macie wolną, to w pojedynce.

Przysunął fotel do biurka i zaczął ponownie studiować papiery. Otworzyły się drzwi i – zanim blondyn zdążył cokolwiek powiedzieć – dwóch policjantów wzięło go pod ramiona, wyprowadziło z gabinetu. Za barierką poszli w lewo długim korytarzem z drzwiami do poszczególnych cel. Minęli celę Irlandczyka, skąd bez przerwy dochodził śpiew. Zatrzymali się na samym końcu korytarza. Jeden z nich brzęknął kluczami, otworzył drzwi i skinął głową. Blondyn poczuł pchnięcie i zanim się zorientował, był sam w pomieszczeniu trzy na trzy metry, a z tyłu dochodził zgrzyt przekręcanego klucza.

W celi znajdowała się prycza ze zwiniętym, piankowym materacem i dwoma kocami w wesołych kolorach, kontrastujących z brudnobrązową barwą ścian, oświetlonych żółtawym światłem żarówki umieszczonej nad drzwiami w kraciastej obudowie. Blondyn rozłożył materac i usiadł na łóżku opierając się o zimną ścianę... Próbował dokonać na chłodno analizy sytuacji, w jakiej się znalazł, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Czuł

kompletną pustkę, wypełnioną przez powracające fale paniki. Wizja skandalu sprawiła, że kolejny przypływ okazał się najdotkliwszy. Może dlatego nagle coś w nim pękło, powrócił spokój i zdolność koncentracji. Po raz pierwszy od chwili zatrzymania zaczął myśleć. I myślało mu się znakomicie. Nawet irlandzki śpiewak wyczuł powagę sytuacji, bo w końcu ucichł.

Gdy po prawie trzech godzinach otworzyły się drzwi celi, wiedział dokładnie, co ma mówić i robić.

Zaprowadzono go do pokoju przylegającego do gabinetu kapitana. Za nieco mniejszym biurkiem siedział mężczyzna w średnim wieku, chudy i o pociągłej twarzy. Trzymał w ręku polski paszport.

– Nazywam się John Grabarczyk – oznajmił. – Kieruję brygadą do spraw narkotyków w tym komisariacie. Poinformuję pana o sytuacji i prawach, które panu przysługują. Ilość wysoko oczyszczonej heroiny, jaką przy panu znaleziono, według prawa federalnego jest zagrożona karą więzienia od lat ośmiu do dwudziestu pięciu. Jutro rano odbędzie się rozprawa wstępna, na której, ponieważ jest pan cudzoziemcem, zostanie pan przekazany pod jurysdykcję sądu federalnego. Ze względu na specyfikę, zwolnienie za kaucją nie wchodzi w grę. Może pan wezwać swego adwokata. Zostanie panu udostępniony telefon, z którego może pan skorzystać tylko raz. Do czasu przybycia adwokata nie musi pan odpowiadać na żadne pytania. Wszystko jasne?

Poczuł zimną strużkę potu, spływającą po kręgosłupie.

– Ależ to koszmarna pomyłka – wyjąkał i później opowiedział cały przebieg wieczoru. Opowieść szła coraz sprawniej, a chudzielec nie przerywał mu ani razu.

– Sądzi pan, że to na tym przyjęciu wsunięto panu ten pakiet? – zapytał Grabarczyk, kiedy blondyn skończył mówić. – Oczywiście, adres pan pamięta?

– Oczywiście... – zaczął i urwał.

Był tam pierwszy raz w życiu i to przez kogoś zaprowadzony. West Ende, niedaleko 86. ulicy... Spuścił głowę. Grabarczyk obserwował go uważnie. W tej chwili zadzwonił telefon. Wysłuchał w milczeniu tego, co przez aparat miano mu do zakomunikowania, nie spuszczając oczu z blondyna.

– Wie pan co? – odezwał się, gdy odłożył słuchawkę. – To wszystko nie trzyma się kupy. Ale niewykluczone, że coś w tym

jest. Proszę tu jest papier i niech pan stara się wszystko dokładnie opisać. Z najdrobniejszymi szczegółami. Jak pan tam trafił, opis mieszkania i tak dalej. To przecież może mieć znaczenie, prawda? – coś w rodzaju ćwierćuśmiechu zagościło na twarzy inspektora.

Sięgnął po papier i z nadzieją zabrał się do roboty. Grabarczyk wstał i po cichu opuścił gabinet. Został sam. Pisał bez przerwy, zapełniając stronę po stronie równym, mocno pochyłym pismem. Nawet nie zauważył, że po godzinie wsunął się policjant i postawił przed nim tekturowy kubek kawy. Dopiero gdy skończył, podniósł naczynie z zimnym płynem do ust. Zawartość kubka przypominała istotnie kawę. Gdy odstawił go na stół, ledwie skosztowawszy, otwarły się drzwi i do pokoju weszli kapitan z Grabarczykiem. Kapitan trzymał w ręku jakiś papier. Uśmiechnięty Grabarczyk poklepał go po ramieniu.

– Idzie ku dobremu, chłopie – pokazał kartkę, którą trzymał kapitan. – Zdaje się, że mamy w archiwum ten adres. Ostatnie piętro, duże okno, tak? Ano widzisz. Niewykluczone, że się z tego wyplączesz. W każdym razie przez najbliższy tydzień nie wyjeżdżaj z Nowego Jorku. Zajmiemy się tą sprawą. Podpisz tylko kapitanowi ten papier i biegnij do hotelu. Już świta.

Podpisał, co mu podsunęli, ciągle nie wierząc szczęściu. Grabarczyk odprowadził go do wyjścia.

– Nie masz pojęcia, jak się cieszę, szepnął mu po drodze. – W końcu mój ojciec pochodził z Nowego Targu.

Oszołomiony nieoczekiwanym zwrotem sytuacji i nagłą serdecznością Grabarczyka znalazł się na zewnętrznych schodach komisariatu. Inspektor pomachał mu na pożegnanie uprzejmie dłonią i łysawy blondyn został sam. Na chwiejnych nieco nogach ruszył w kierunku gmachu ozdobionego flagą amerykańską i tą drugą, z napisem N.Y.A.C.

Już po kilku metrach cała ta historia wydawała mu się dziwacznym snem, gotów był niemal przyznać, że to efekt różnych dymów, których mimo woli nawdychał się na tym cholernym przyjęciu. Słowem, to co się stało, właściwie nie miało miejsca.

Kilka minut później gratulował już sobie zimnej krwi i zręczności, z jaką wywinął się niebezpieczeństwu... wyimaginowanemu, oczywiście.

Nie minęło pół godziny marszu przez budzące się do życia

miasto, kiedy zdecydował, że o całej tej śmiesznej historii nikomu nic nie powie. Przecież nawet nowojorskiej policji zdarzają się pomyłki. On, światowiec w jakimś zaplutym komisariacie?! To by się dopiero śmiali. Teraz już tak łatwo nie wplączą go w tę sprawę... Trzeba się trzymać grupy... A zresztą... Nie było żadnej sprawy.

O jasnym świcie – zmęczony, ale już uspokojony – dotarł wreszcie do gmachu z flagami. Gdy w kilka godzin później obudził się, gotów był dać głowę, że był to tylko głupi sen.

★
★ ★

Kapitan z komisariatu przy 110. ulicy na sen pozwolić sobie jeszcze nie mógł. Siedział za biurkiem i spoglądał co kilka chwil na zegarek. Przed nim leżał elaborat blondyna. Przeczytał go jeszcze raz, bardzo uważnie. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku. Wyjął z szuflady książkę w barwnej okładce i czytał ją przez parę minut, po czym znów spojrzał na zegarek. Zamknął książkę, wstał i poszedł przejść się po komisariacie. W kilka chwil wszyscy zorientowali się, że stary jest naładowany i że lepiej schodzić mu z drogi. Wrócił w końcu do gabinetu i zmusił się do czytania.

Gdy minęła ósma, zamknął książkę w szufladzie, wykręcił numer i zaczął mówić. W jego głosie nie było śladu rozdrażnienia, które tak dało się we znaki jego podwładnym. Mówił ściszonym, pełnym szacunku głosem, a gdy wziął do ręki leżący na biurku papier, jego głos zniżył się jeszcze o kilka tonów.

★
★ ★

W niecały tydzień później było już po wszystkim. Odnieśli wspaniały sukces; a zwłaszcza on. Jak zwykle zresztą. Zblazowana i wymagająca amerykańska publiczność kilka razy nagradzała oklaskami niektóre jego zagrania. Bo, trzeba przyznać, wypadło wszystko świetnie. Zrobili dobrą robotę. Ambasador, który ich przyjął na zakończenie, przyznał to i serdecznie gratulował.

Mieli kilka dni do wyjazdu i czas ten – nie licząc rutynowej

odprawy, nieoszczędzonej im przez kierownictwo – był właściwie czasem wolnym.

Na dzień przed odjazdem siedział w swoim pokoju nad otwartą walizką i zastanawiał się właśnie, jak zdoła w niej to wszystko zmieścić, gdy zadzwonił telefon. Męski głos, kaleczący język polski należał do niejakiego pana Kowalskiego. Pan Kowalski serdecznie mu pogratulował sukcesu, przedstawił się jako reprezentant starej emigracji. Ojciec przyjechał tu na saksy, jeszcze przed wojną. Pierwszą, oczywiście. Poprosił o zaszczyt zjedzenia lanchu razem z mistrzem.

Nie bardzo miał czas i ochotę, ale pan Kowalski nalegał. Gdy oświadczył, że wybrał miejsce w pobliżu i że nie zajmie to dużo czasu – wiem jak mistrz jest zajęty – zdecydował się. Umówili się za pół godziny w Café de la Paix, na parterze hotelu „St. Moritz". Mieści się przy tej samej 59. ulicy, tylko o jedną przecznicę dalej, przy Avenue of the Americas. Trafi mistrz bez trudności. To do szybkiego – i odłożył słuchawkę.

Przed wyjściem przebrał się w oficjalny garnitur. Polonia, to Polonia. Poszedł do łazienki, uczesał się i po raz któryś z rzędu stwierdził, że czynność ta zabiera mu coraz mniej czasu. Uśmiechnął się leciutko. Wrócił do pokoju trzymając w ręce grzebień. Podszedł do biurka, na którym leżały notatki, papiery i notesy. Ostrożnie zdjął zaplątane w grzebieniu włosy i delikatnie umieścił je między kartkami.

Następnie wysunął szufladę i na leżących tam drobiazgach ustawił pionowo pudełko zapałek. Delikatnie i powoli wsunął ją z powrotem. Gdy ktoś będzie chciał zajrzeć, pudełko przewróci się, a on wróciwszy i ostrożnie uchyliwszy szufladę – będzie o tym wiedział.

Zawsze, ilekroć był w Stanach stwierdzał, że szperał ktoś ciekawski w jego pokoju i – choć z początku bulwersowało go to – przyzwyczaił się w końcu do istnienia szperaczy i uznał ich za coś naturalnego. Widać muszą. Urządził sobie z tego nawet pewien rodzaj zabawy i z ciekawością obserwował, kiedy znów pudełko będzie przewrócone lub zabraknie włosów w papierach. Tym razem, mimo że zbliżał się termin wyjazdu, jeszcze ani razu jego rzeczy nie były przeglądane.

Hotel „St. Moritz" znajdował się w olbrzymim, rozłożystym dwudziestoczteropiętrowym gmachu. Udekorowane flagami wejście ocieniał prostokątny baldachim, ozdobiony nazwą ho-

telu. Tuż obok zaczynała się długa markiza, w biało-czerwone pasy, ocieniająca okna Café de la Paix.

Minął mosiężną tablicę z nazwą hotelu, wypisaną archaizowaną czcionką i wszedł do środka. Miał teraz na wprost siebie recepcję, na lewo wejście do restauracji, a na prawo do kawiarni. W hallu było cicho i uroczyście. Obok recepcji znajdował się kiosk z kwiatami. Mężczyzna w wieku trzydziestu paru lat, o krępej budowie ciała i krótko ostrzyżonej, dużej głowie, wyłonił się zza róż i szałwii, idąc w jego kierunku.

– Witam pana – rzekł po angielsku wyciągając rękę. – Pan Kowalski już czeka. Proszę za mną.

Odwrócił się i pomaszerował w kierunku kawiarni. Blondyn, nieco zdziwiony, ruszył za nim.

Sala była podłużna, z trzema rzędami stolików, przykrytych obrusami w biało-czerwoną kratę. Półmrok, spotęgowany markizami, rozjaśniały małe lampki umieszczone na każdym stoliku. Osłonięte biało-czerwonymi abażurkami oświetlały tylko blaty stolików.

W kawiarni było pustawo. Gdy weszli rozbłysła jeszcze jedna lampka, przy ostatnim stoliku w środkowym rzędzie. Zanim się zatrzymali, na ich powitanie wyszedł zza stołu wysoki mężczyzna zdradzający swoim zachowaniem byłego wojskowego. Szerokim gestem zaprosił swego gościa do zajęcia miejsca.

– Cieszę się, że zechciał pan przyjść. Proszę siadać. Nie, nie tu. Tutaj, jeżeli pan pozwoli.

Coraz bardziej zdziwiony, przesiadł się na wskazane miejsce. Teraz nie było widać jego twarzy, zarówno z ulicy, jak i od strony wejścia do restauracji. Obaj mężczyźni usiedli naprzeciw niego. Kowalski podał kartę.

– Polecam sole á la weronique. Jest naprawdę świetna. A, prawda, panowie jeszcze się nie znają. To pan Willman. John Willman. Też Polak z pochodzenia.

Uścisnęli sobie dłonie.

Do stolika podszedł kelner, ubrany w biało-czerwony smoking i przyjął zamówienie od blondyna. Kowalski i Willman najwidoczniej uczynili to wcześniej, bo poprzestali na bacznym obserwowaniu.

– Jak się panu podoba Nowy Jork? – Kowalski niezbyt oryginalnie rozpoczął rozmowę.

Westchnął w głębi duszy. Zawsze to samo. Ilekroć poprzed-

nio spotykał się z Polakami, osiadłymi w Stanach, zawsze domagali się zachwytów nad ogromem miasta, jego rozmachem, w którym prawie wszystko było naj... Największe domy, największy ruch, najwięcej pieniędzy. Orientował się doskonale, że czasami takie pytania były zadawane rodakowi z kraju po to, aby odpowiedzi po raz któryś z kolei utwierdziły ich samych w przekonaniu, że kiedyś, dawno temu, oni czy ich rodzice uczynili dobry wybór i że nie ma czego żałować.

Wiedział też, że wielkim głosem zaprzeczyliby, gdyby myśl tę wypowiedział na głos. Cóż, kiedy on Nowego Jorku właściwie nie znosił. Był tu już kilkanaście razy, zawsze na krótko, lecz wystarczająco długo, by stwierdzić jak rozpaczliwie samotny jest człowiek w tym mieście-molochu, w którym nie ma krewnych, znajomych, a poza tym, gdy nie ma się za wiele pieniędzy.

Myślał więc, jak dyplomatycznie umknąć przed pytaniem, gdy sam Kowalski – uznawszy widać, że odpowiedzi nie dostanie – zmienił temat.

– Widziałem pańską walkę finałową. Coś fantastycznego – mlasnął. – Jak pan to zrobił?

Dwóch kelnerów uwijało się, rozstawiając skomplikowane nakrycia, a on cofnął się myślą o niecałą dobę wstecz...

...W smolistej czerni maski, bielejący w ostrym, górnym oświetleniu pomost zdawał się wisieć w otchłannej pustce, wyrwany z sali, z tłumu, z oklasków i gwizdów, jakby nic na świecie nie istniało, tylko biała wstęga, o dwumetrowej szerokości i on. I jeszcze ten drugi, stojący naprzeciw niego. Włoch. Gulio Montano. Przed chwilą udało mu się i jest, niestety tylko 4:4. Jeszcze pięć sekund temu zwycięstwo było w zasięgu ręki. Teraz... Teraz musi skoncentrować się, bo każde pojedyncze trafienie kończy walkę. Jak zawsze w takich momentach, włączał mu się nadbieg myślowy, wrażenia z niesłychaną szybkością wpadały w tętniący mózg, tu podlegały obróbce tak błyskawicznie, że z poszczególnych jej etapów nie zdawał sobie nawet sprawy i tylko po ułamku sekundy spływało rozwiązanie sytuacji. I teraz też już wiedział, co ma zrobić, ponieważ ostatnio oberwał w lewą stronę, podczas gdy sam atakował prawą. Rzucił się do przodu, markując uderzenie w prawo i gdy Montano – myśląc, że to przygotowanie do właściwego ciosu w lewo – niedbale odbił markowanie, szykując się do właściwej

obrony i zadania decydującego trafienia, on właśnie z całą mocą natarł w prawą część majaczącej przed nim sylwetki...

Plansza gdzieś z kosmosu powróciła na ziemię, do tej hali wypełnionej ryczącym entuzjastycznie tłumem. Ręka, bez najmniejszego udziału woli, zdarła maskę i rzuciła wysoko, gdzieś pod sam sufit, a jego samego strumień ludzkich rąk porwał z planszy i poniósł – śmiejącego się i wywijającego nogami – w kierunku polskiej ławki. Kątem oka dostrzegł jeszcze samotnie schodzącego Gulia, który już nigdy nie będzie na jego miejscu, bo wszechświat był dla niego niełaskawy. Potem spłynął na ziemię i znikł pod pokrywającymi go uściskami i całusami.

Sole á la weronique była świetna.

Śniadanie miało się ku końcowi. Rozmawiali jeszcze o pogodzie, o jego przyszłych startach, o tym co słychać w kraju. Coraz częściej jednak zapadały chwile milczenia. Kiedy podano wreszcie kawę i koniak, Kowalski wyprostował się i blondyn instynktownie wyczuł, że dopiero teraz wyjawi powód spotkania. Cisza trwała dłużej niż zwykle, aż stała się żenująca.

– Wie pan, zaprosiliśmy pana, bo my interesujemy się panem już od dawna – rzekł Kowalski grzejąc w dłoniach kieliszek. – Dlatego chcieliśmy z panem porozmawiać.

– Proszę bardzo – zgodził się. – Ale właściwie o czym?

Kowalski przeniósł spojrzenie ze swego kieliszka na twarz blondyna.

– Jesteśmy z amerykańskiego wywiadu. No, niech pan się nie boi – dodał, widząc minę zaproszonego gościa.

– Nie boję się – blondyn wzruszył ramionami – tylko mnie ten wasz wywiad czy kontrwywiad w ogóle nie interesuje.

– Czy pan wie, że wiemy o panu sporo?

Kowalski zmienił się nie do poznania. Przestał być zafascynowanym kibicem. Przystąpił do pracy.

– Znamy pańskich przełożonych w Inspektoracie, wiemy sporo o pańskich niektórych grzeszkach – zawiesił głos.

Słuchał oniemiały.

Doskonale wiemy, że lubi pan Stany Zjednoczone, że lubi pan Amerykanów.

– Ale pan jest przecież Polakiem – przerwał blondyn.

– Tak – po chwili wahania przyznał Kowalski – lecz od wojny w Ameryce. To jest kraj... Ani przez chwilę nie żałowałem wyboru. Co za warunki, jaki dobrobyt... Jakie perspektywy... Oczywiś-

cie, dla człowieka z inicjatywą.

– Po co pan to wszystko mówi?

Kowalski dopiero po chwili odpowiedział, starannie ważąc słowa.

– Nie chcemy nadużywać naszych możliwości, ale chcemy, aby pan z nami współpracował.

– To niemożliwe – żachnął się.

Kowalski ani na chwilę nie przestał obserwować leniwie wijącej się smugi dymu z trzymanego w ręku papierosa.

Niech pan się nie obawia – powiedział po chwili – przecież nie chodzi o żadne nadzwyczajności. Ot, po prostu, od czasu do czasu jakaś przyjacielska pogawędka przy kieliszku czegoś dobrego...

– Ale ja nie mam dostępu do żadnych informacji ciekawych dla wywiadu – blondyn mimo woli przyjął narzucony styl rozmowy.

– Tylko się panu wydaje – Kowalski nawet mrugnięciem oka nie dał poznać po sobie, jak bardzo odpowiada mu ta sytuacja.

– Człowiek z pańskimi znajomościami, kontaktami na pewno wie więcej od człowieka z ulicy. Doskonale wiemy – dodał podnosząc rękę, gdy chciał coś powiedzieć – że w Inspektoracie zjawia się pan właściwie tylko po pensję. Wojskowe sprawy nas nie obchodzą. Nas interesują: atmosfera polityczna w kraju, konflikty w elicie rządzącej, sytuacja gospodarcza – wyliczał, zaginając palce lewej dłoni. – Sam pan widzi, że możemy właściwie to wszystko uzyskać normalną drogą, przez analizę oficjalnych opracowań czy dokumentów lub w końcu lekturę prasy, ale lepiej by było otrzymać rzeczowe informacje poddane już wstępnej analizie przez inteligentnego obserwatora. No i co, czy to takie straszne?

Z uporem pokręcił przecząco głową.

– My doskonale wiemy, że pan nie chce się za bardzo angażować – podjął Kowalski.

Willman nie odzywał się i przez cały czas nie spuszczał oczu z blondyna.

– Naprawdę nie musi pan niczego się obawiać. Co jakiś czas, gdzieś w wolnym świecie, spotkamy się na śniadaniu i porozmawiamy. Nikt o niczym nie będzie miał zielonego pojęcia. Nie musi pan decydować się od razu – dorzucił widząc, że

ma w dalszym ciągu do czynienia z człowiekiem nie przekonanym. – Spotkamy się jeszcze i porozmawiamy.

– Wolałbym... – zaczął blondyn, ale Kowalski nie dał mu dojść do słowa.

– Nie mówmy już o tym. Niech pan się zastanowi, przemyśli. Która to godzina? Czy pan jest z kimś umówiony na obiad? Nie? To świetnie. Zapraszam do najlepszej restauracji w Nowym Jorku. Był pan tam może? Nazywa się „Four Seasons".

Uregulował rachunek, chowając blankiet do kieszeni. „Służbowe śniadanko" – mimo woli pomyślał blondyn.

Gdy znaleźli się w hallu, Kowalski poprosił go, aby stanęli razem opodal stoiska z kwiatami, a Willman podszedł do czerwono-białego portiera zamówić taksówkę. Po kilku chwilach rozległ się gwizdek, taksówka podjechała na ocieniony podjazd, a wtedy Kowalski szybkim krokiem przeszedł przez hall i wsiadł do pojazdu. Willman, rozglądając się nieznacznie dookoła, polecił mu również szybko wsiąść do taksówki, a sam znikł za kwiaciarnią.

– Ale się pilnują – przemknęło przez głowę blondynowi, gdy zamknął za sobą drzwi auta.

Przez całą, kilkuminutową zaledwie podróż nie zamienili ani słowa.

„Four Seasons" zajmowała rozległe, czteropoziomowe pomieszczenie w nowoczesnym budynku. Jak mógł się zorientować, było to przy 48. ulicy. Każdy z poziomów restauracji był urządzony w innym stylu, odpowiadającym jednej z pór roku. Oddali płaszcze i kelner zaprowadził ich do stolika w najwyższej, udekorowanej na lato, sali. Mogli zupełnie swobodnie obserwować wszystkie, niżej położone sale, natomiast ewentualny obserwator musiałby zadzierać głowę do góry. Ludzi było sporo.

– Dlaczego nie chce pan się zgodzić? – zaczął bez ogródek Kowalski, gdy tylko zajęli miejsca. – Czego pan się boi?

Nie zdążył odpowiedzieć, ponieważ nadszedł kelner, by przyjąć zamówienie. Obaj zamówili befsztyki z rusztu. Kelner odszedł, a Kowalski nagle zmienił temat.

– Wie pan, co mnie najbardziej drażni? – zapytał szermierza skoncentrowanego jeszcze na głównym temacie rozmowy. – Najbardziej denerwują mnie stereotypy. Taki, wie pan, rutynowy sposób myślenia. Jak agent – to zaraz krótkofalówka, tajnopisy,

szyfry i koniecznie kapsułka z cyjankiem. Gdy tu się pisze o Polsce, to często o białych niedźwiedziach ganiających po ulicach. A wy nie jesteście bez grzechu. Gdy piszecie o Polonii, to prawie zawsze jest to przymierający głodem prostak, który – oszukany obrzydliwą amerykańską propagandą – zamiast wracać do kraju, szoruje tutaj garnki w podrzędnych restauracjach. Tak może i było, ale bezpośrednio po wojnie. Upłynęło dwadzieścia parę lat. Polonia okrzepła, pnie się w górę, zdobywa wpływy. Mamy już kilku kongresmenów polskiego pochodzenia, jest senator, kilku sędziów, burmistrzów. Zarabiamy coraz lepiej, a garnki szorują prawie wyłącznie kolorowi.

Przerwał na chwilę, bo podeszło dwóch kelnerów niosących zamówione dania. Gdy zakończyli skomplikowany ceremoniał rozkładania talerzy, talerzyków, kieliszków i sztućców oddalili się z godnością. Kowalski podjął przerwany wątek.

– Weźmy na przykład mnie. Czy byłoby do pomyślenia jeszcze kilka lat temu, żebym robił to co robię i dostawał za to pieniądze, jakie dostaję?

– Czym pan się zajmował, zanim...

– Nieważne – uciął zły, że rozmówca pomieszał mu szyk myśli. – O czym to... aha, a pański znajomy? Też zrobił karierę?

– Jaki znajomy?

– Grabarczyk. Nie pamięta pan? Ten policjant. Jak pan myśli, dlaczego ta sprawa rozeszła się po kościach? Dlatego, że nasze, to znaczy Polaków, wpływy rosną? Jeden telefon, poręczenie. Panu może się wydaje, że łatwo można się wywinąć? Że pierwszy lepszy, bez kaucji, bez znajomych byłby się z tego pasztetu wykaraskał? Choćby z tego powodu winien nam pan wdzięczność i gotowość do współpracy. Pańskie zdrowie!

Blondyn siedział, czując kompletną pustkę w głowie.

– Wie pan co? – powiedział w końcu cicho, Kowalski skwapliwie nachylił się.

– Tak, słucham.

– A mnie się wydaje, że pan mnie chce szantażować.

Kowalski wyprostował się gwałtownie i spojrzał z wyrzutem.

– No wie pan. Co też panu przyszło do głowy? Ja, szantażować? Czym? Naczytał się pan koszmarnych powieścideł. Niech pan zapamięta raz na zawsze – pochylił się z powrotem

ku blondynowi i spojrzał mu nieustępliwie w oczy – że my nigdy, powtarzam, nigdy nie stosujemy takich metod. Już dawno przekonaliśmy się, że praca z ochotnikami jest o wiele wydajniejsza. Ale przede wszystkim jest to przecież niemoralne – zakończył niespodziewanie.

Mimo napięcia blondyn uśmiechnął się.

– Tu już pan przesadził, panie Kowalski. Mówić w wywiadzie o moralności?

– A właśnie tak! – Kowalski zaperzył się. – Panu wydaje się to dziwne, ale tak właśnie jest. Mamy nawet specjalną komisję – urwał przyglądając się sceptycznej minie rozmówcy. – Aaa, to i pan nałapał się stereotypów? Jak wywiad amerykański, to zaraz zbiry z rękami unurzanymi po łokcie we krwi niewinnych niemowląt? No wie pan... Ile ma pan garniturów? – zapytał nagle.

Blondyn, zaskoczony, zamrugał rzęsami.

– Nie wiem – bąknął. – Chyba... chyba cztery.

Kowalski wybuchnął śmiechem.

– A ja, proszę pana, choć nie jestem tak sławny jak pan, mam czterdzieści. Czy wyobraża pan sobie siepacza i zbira, mającego czterdzieści garniturów? No, sam pan wie, że to bzdura – zakończył pojednawczo widząc, że blondyn siedzi urażony. Czym?

– Inna sprawa – podjął po chwili – że ta pańska historia z narkotykami może się jednak wlec za panem. Dziennikarze są u nas wścibscy. Ale niech pan się tym nie martwi. Będziemy robić wszystko, aby nie doszło do komplikacji. Kiedy ma pan następne zawody?

– Za miesiąc, w Padwie.

– Świetnie. Znajdziemy tam pana. Będzie nas więcej. Pogadamy sobie. Jestem pewien, że pan się zgodzi.

– Nie przypuszczam.

Kowalski zamachnął rękami.

– Niech się pan nie zarzeka – powiedział stanowczo. – My nie popuścimy. Jak trzeba będzie, to wszędzie pana znajdziemy – był zmieniony nie do poznania.

Głos przedtem uprzejmy i spokojny, przeszedł nagle w ostre, szczekliwe frazy.

– Jak nie we Włoszech, to gdzie indziej. W końcu niech pan nie zapomina, że to wywiad najpotężniejszego państwa świata,

a nie operetkowego księstwa na Bałkanach.

Nawet nie zdawał sobie sprawy, że mimo starań i obowiązkowej lektury prasy polskiej – ten ostatni zwrot nieomylnie wskazywał, że kontakt z krajem stracił na długo przed wojną, pierwszą wojną światową.

Obiad miał się ku końcowi.

– Wiem, że wy tutaj jesteście bez pieniędzy – rzekł Kowalski, gdy wstali od stołu.

Jego głos miał znów przyjemne, spokojne brzmienie. Wyjął portfel, a z niego dwadzieścia dolarów.

– Niech pan to weźmie.

Blondyn zaczerwienił się i począł odpychać jego rękę. Dziada z niego robi?!

– Dziękuję. Nie potrzebuję pańskich pieniędzy.

– Ale niech pan weźmie – Kowalski patrzył, niczego nie rozumiejąc. – To moje prywatne, nie służbowe.

– Tyle ile mam, w zupełności mi wystarczy.

– Przecież – Kowalski położył banknot na stole – doskonale wiem, że pan nie ma dewiz.

– Tyle ile mi potrzeba, to ja zawsze... – blondyn zniecierpliwił się. – Sprzedam sprzęt czy coś innego i te dwadzieścia dolarów, a nawet więcej zawsze będę miał.

– To może potrzebuje pan więcej? – Kowalskiemu wydawało się, że zrozumiał.

– Nie, dziękuję – uciął. – Nie mówmy już o tym.

Wstali od stołu.

– Podwieźć pana?

Incydent z dwudziestodolarówką uznał za zakończony.

– Dziękuję. Przejdę się do hotelu, to niedaleko.

Ruszyli do szatni.

– Niech pan dobrze się zastanowi – mówił Kowalski, gdy zakładali płaszcze. – To poważna sprawa. Bardzo na pana liczymy.

– Jak mnie w tej Padwie odnajdziecie? – zapytał nie licząc na odpowiedź, lecz tylko po to, by wypełnić czas pozostały do pożegnania.

O dziwo, Kowalski odpowiedział bez wahania.

– Nic prostszego. Po prostu zatelefonuję do federacji i będę miał terminy i miejsca wszystkich pana startów. No, to na razie, do zobaczenia w Padwie.

Podali sobie dłonie i blondyn ruszył w kierunku 5. alei. Szedł nieśpiesznie, a w głowie huczało mu od nadmiaru myśli.

I co teraz? To właśnie klasyczny przykład sytuacji, przed którą tak nas ostrzegali. Swoją drogą, Amerykanie strzelają z grubej rury. Dobierać się akurat do mnie? Co im strzeliło do głowy? Trzeba będzie zameldować, w końcu to nie przelewki. Ale co ja właściwie powiem?

Wyobraził sobie minę przełożonego, mniej lub bardziej sensowne pytania. Najgorsze jednak to, że już prawie na pewno nie wypuszczą go nigdy za granicę na jakiekolwiek zawody. Chyba że do KDL-ów. I co wtedy. Aby zdobyć upragnioną liczbę punktów, musiałby w takich warunkach stracić co najmniej dwadzieścia lat. Nie ma mowy, aby tak długo mógł utrzymać formę. Za mało organizuje się u nas turniejów międzynarodowych, a tylko tam można zaliczyć owe punkty.

Dojście do hotelu „New York Atletic Club" trwało czterdzieści minut.

Czy przez czterdzieści minut można podjąć jakąkolwiek decyzję?

★

★ ★

Parogodzinny przelot nad Atlantykiem w niczym nie zmienił sytuacji. Siedział jak zwykle milczący, oddalony o kilka rzędów od swoich, a myślami jeszcze bardziej daleki. I w czasie, i w przestrzeni. Nie wiadomo kiedy luźny bieg myśli i skojarzeń zaprowadził go do początku kariery, jakby w tamtych, odległych już czasach mógł znaleźć rozwiązanie dręczącego problemu. Czy znajdzie? Wiele zależeć będzie od tego, czy posiada niezwykle rzadko spotykaną umiejętność właściwego oceniania zdarzeń z perspektywy czasu, zacierającej nieistotne szczegóły, a tym wyraźniej podkreślając rzeczy najważniejsze.

Wszystko zaczęło się od dołu na śmieci. Był rok 1948. Mieszkał wtedy z matką na Grochowie. Właśnie skończyła się pierwsza powojenna olimpiada w Londynie. Polska wysłała wtedy skromniutką ekipę, bardziej ze względów prestiżowych niż sportowych, bo jakże szkolić mistrzów olimpijskich w zniszczonym wojną kraju. A jednak... Szesnastoletniemu chłopcu na zawsze zapadł w pamięć fascynujący tytuł: „Austriackie klingi

pryskają na polskich szablach". I właśnie wtedy matka kazała mu wykopać dół na śmieci. Kopie. Nagle... Co za szczęście! Znajduje prawdziwą, najautentyczniejszą szablę... Rzuca łopatę, próbuje wyciągnąć stal z pochwy. Długo nie może sobie poradzić, ale w końcu klinga, miejscami tylko lekko pordzewiała, błyszczy w słońcu, oślepiając chłopca. Grupkę kolegów od wspólnych zabaw ogarnął prawdziwy szał szermierczy. Na ceglanych wzgórzach ruin toczą się zacięte potyczki, niejedna kropla krwi polała się z rozciętych palców, niejeden siniak świadczył o zaciętości walki.

Któregoś dnia kolega z sąsiedniej ulicy – bardziej niż zwykle poturbowany przez szczęśliwego posiadacza białej broni – poradził mu, aby zapisał się na szermierkę do klubu. Może chciał zająć opuszczone w ten sposób miejsce mistrza w podwórkowych zmaganiach? Tego nie dowiedział się nigdy, bo w lutym 1949 roku zobaczył pierwszy raz prawdziwą sportową szermierkę i od tej pory koledzy podwórkowi przestali dla niego istnieć. Zaczyna ćwiczyć. Po śmiesznie krótkim czasie, bo już po dwóch miesiącach, w kwietniu 1949 roku decyduje się wziąć udział w Pierwszym Kroku Szermierczym. I wygrywa.

W nagrodę otrzymuje belgijski floret z rękawicą. Trenuje dalej. Potem Puchar Targów Poznańskich. Bije mistrza Polski w szpadzie, Mroczka, 5:0! Trenuje w dalszym ciągu, wciąż nie mogąc zdecydować się na typ broni. Wobec tego ćwiczy we wszystkich. Jest już rok 1950. Zdobył pierwsze klasy w dwóch broniach, co daje mu prawo do startu w mistrzostwach Polski. Nie do wiary – po rocznym zaledwie treningu zostaje wicemistrzem Polski seniorów! Trafia do kadry szablistów. Zaczyna być o nim głośno w szermierczym światku. Coraz częściej mówi się o talencie Jerzego Pawłowskiego. Niektórzy z radością, inni – a tych jest więcej – z dobrze ukrytą zawiścią.

Nie przejmuje się tym, ćwiczy. Wkrótce pierwsze międzynarodowe spotkanie. Polska–Węgry w szermierce! Startuje w szabli i we florecie. Węgrzy to przecież mistrzowie świata! Polska przegrywa wprawdzie 7:9, ale jak na debiut międzynarodowy, wynik doskonały.

Trenuje w dalszym ciągu. Za dwa lata olimpiada! Polski Związek Szermierczy zaczyna nawiązywać kontakty zagraniczne, bo dla wszystkich jest zrozumiałe, że bez takich spotkań młoda drużyna wiele na olimpiadzie nie zdziała. Po raz pierwszy za

granicę! Długie, ponad miesięczne, wyczerpujące tournée po Związku Radzieckim. Walczy i ćwiczy po dziesięć godzin dziennie. Wkrótce potem wyjazd na Węgry. I tu treningi, spotkania, treningi. Do olimpiady w Helsinkach coraz bliżej! Wtedy pierwszy raz poczuje czym jest przetrenowanie. Ale jest młody i ma silny organizm, który wkrótce poradzi sobie ze słabością. Obozy treningowe i zgrupowania. Wreszcie upragniona chwila. Wyjazd na olimpiadę!

Jadą pociągiem przez Związek Radziecki. Rozpoczyna się turniej i od razu pierwsza sensacja! Młody, jeszcze nie znany Pawłowski dochodzi do półfinału! Jego koledzy, młodziutcy jak i on, a zwłaszcza Wojtek Zabłocki, również radzą sobie znakomicie. Wprawdzie spotyka ich klęska w finale z niepokonanymi przez nikogo Węgrami, ale po dramatycznej przeprawie. Na jedenaście walk, dziewięć przegrali tylko do czterech. To po tej olimpiadzie prasa światowa zaczęła pisać o „cudownych dzieciach".

Po powrocie do kraju trenuje zaciekle i do ostatniego tchu. Jest ambitny. Postanowił, że będzie najlepszym szermierzem wszechczasów i olimpiada przekonała go, że to nie jest niemożliwe. Po treningu wali się jak nieżywy na ławkę, a plansza wygląda tak, jakby ją ktoś polał wodą. To pot.

Są i pierwsze porażki. Na mistrzostwa świata juniorów w 1953 r. w Paryżu pojechali: Zabłocki, Rydz i on. Był też trener i sędzia międzynarodowy. Pierwszy raz w Paryżu. Oszołomienie miastem. Turniej wygrywa Zabłocki, on jest czwarty. Dopiero czwarty. Dopiero? A ilu jest zawodników, którzy w całej swojej karierze nigdy nie przedostali się, na poważnych zawodach, do pierwszej dziesiątki? Czwarte miejsce, ale na świecie! Możliwe, a jednak dla niego to klęska. Musi być pierwszy. Trenuje jeszcze zacieklej. W tym samym roku mistrzostwa świata seniorów w Brukseli.

Od początku idzie mu jak z płatka. Bije Węgrów, Włocha, Francuza. Jest już w półfinale! Oczyma wyobraźni widzi złoty krążek na piersi. Upojony marzeniami dostaje dotkliwą nauczkę. Potem będą pisać, że młody, niedoświadczony, że zżarła go trema. Ale wie, że to nie to. Za szybko zlekceważył przeciwnika. Ilekroć później to się zdarzało, efekt był zawsze taki sam. Dekoncentracja i w efekcie przegrana. Sporo czasu upłynie, zanim zrozumie tę prostą zależność. Czy teraz, kilkanaście lat póź-

niej, jest naprawdę dojrzały i doświadczony?

Miejsce w finale mistrzostw świata dla niedawnego juniora to i tak olbrzymi sukces. Tak uważa telewizja i prasa – polska i zagraniczna. Przyjemnie czytać o sobie miłe rzeczy. Wraca w glorii. Teraz idą już zawody jedne po drugich w kraju i za granicą, przerywane długimi okresami obłąkańczego treningu. Naokoło coraz zgodniejszy chór przyznaje mu cechy idealnego szermierza, a szczególnie ową nieustępliwość i zażartość, tak bliską wybuchowi wściekłości. To nie przypadek, że dobrzy szermierze podczas walki zachowują się jak zadzierzyste koguty, a nawet wykrzykują na planszy. To naturalny zawór bezpieczeństwa dla nerwów napiętych jak struny i wyostrzonych zmysłów.

Ale on ma dodatkowy impuls, o którym nie wiedzą koledzy i trenerzy. Owo postanowienie, że zostanie mistrzem wszechczasów w szabli. A potem w ogóle w szermierce. To cała tabela skomplikowanych przeliczeń, punktów zdobywanych za zajmowanie pierwszych miejsc w prestiżowych zawodach. Nie ma do tego głowy, ale jedno wie. Musi jak najwięcej startować i zwyciężać, a wtedy...

Na razie jest rok 1954. Znów mistrzostwa, tym razem w Luksemburgu. Jedzie odrobinę zdegustowany. Przez te parę lat zdążył zjeździć całą Europę. Prowincjonalny Luksemburg nudzi go, ale to przecież mistrzostwa świata. Zdobywa brązowy medal i kilkunastocentymetrową ranę klingą Berczellego, tego niesamowicie szybkiego, leworękiego Węgra. „Przegląd Sportowy" drukuje na pierwszej stronie jego fotografię. Zebrał pierwsze punkty do klasyfikacji mistrzowskiej.

A na razie – jak tylko wydobrzał – znowu treningi, obozy, wyjazdy, ćwiczenie fleszy, cięć, parad, ripost... Aż do chwili, gdy staną się automatyczne, szybkie jak myśl, którą trening ma zastąpić, bo podczas walki ledwo wystarczy na myślenie o taktyce, a dumanie o precyzji szybko ruguje z planszy. Precyzja dosłownie w milimetrowej skali.

Trenuje, ćwiczy, wyjeżdża.

Na horyzoncie rysuje się z wolna nowy szczyt. Mistrzostwa świata w Rzymie! Czuje się nie najlepiej. Któregoś dnia przychodzi zawrót głowy, upadek. Diagnoza lekarza jest krótka i stanowcza: „Do szpitala! Żółtaczka". Badania, analizy... Poziom bilirubiny we krwi zastraszająco wysoki. Czeka go długa kura-

cja i ścisła dieta. To najgorsze ze wszystkiego. Już po miesiącu leżenia ma dosyć.

Zamęcza lekarzy, ale oni nie chcą nawet słyszeć o puszczeniu go, zanim ta nieszczęsna bilirubina nie opadnie. Co drugi dzień zanudza pielęgniarki, by robiły mu badania. Przeleżał kilka miesięcy. W końcu lekarze godzą się wypuścić go pod warunkiem, że będzie systematycznie przychodził na kontrole. Skacze po trzy stopnie w dół, ku wyjściu.

Z początku trenuje oszczędnie – głównie elementy techniczne. W dalszym ciągu jest na diecie. A jednak zakwalifikowano go na wyjazd do Rzymu! Zdążył. Będzie walczył we florecie i szabli. Drużynowo i indywidualnie. Były to pierwsze mistrzostwa z floretem elektrycznym. Inna technika, inny sposób prowadzenia walki. Gdzie miał się tego nauczyć? Wylądował w finale i na tym koniec.

W szabli też nie lepiej, bo zajął raptem piąte miejsce. Osłabienie dało znać o sobie. Mimo płynących zewsząd gratulacji jest zły. Taka okazja do zdobycia punktów. Na szczęście za rok olimpiada w Melbourne. Może tam będzie lepiej?

Na razie jeździ tu i tam, odbywa spotkania z Włochami, Węgrami. Przede wszystkim jednak trenuje. Jak zwykle zapamiętale. Olimpiada coraz bliżej. Oczywiście zakwalifikował się do reprezentacji bez problemu. Jest w tej chwili najlepszym polskim szermierzem. Nareszcie wyjazd! Wtedy przelot do Australii, to nie była taka prosta sprawa. Do tej pory tłukł się po Europie, teraz kolej na cały świat. Trasa podróży może przyprawić o zawrót głowy. Warszawa–Amsterdam–Rzym–Chartum–Karaczi–Bangkok–Manila–Darwin i wreszcie Melbourne.

Pierwszy raz był wtedy w Afryce i w Azji. Obywatel świata. Na wstępie klimatyzacja. I – jak na złość, tuż przed turniejem olimpijskim – pierwsza zasadnicza kłótnia z Keveyem – trenerem, który prowadził go od początku. Być może świat zawirował mu w głowie, ale właśnie wtedy zdecydował się nie słuchać uwag opiekuna. Taka sytuacja nie może się dobrze skończyć. Ledwo porósł w piórka, a już podskakuje? W porządku.

Zaczyna turniej od serii porażek, głupich i jeszcze głupszych. Kevey uśmiecha się półgębkiem. Jemu pewnie też przykro. I wtedy po raz pierwszy odezwało się w nim to, co później będzie zachwycać niezliczone rzesze kibiców, rywali, trenerów, dziennikarzy. Jego fenomenalna zdolność koncentracji w sytua-

cjach podbramkowych. Publiczność to uwielbia. A zwłaszcza dziennikarze. To tak ubarwia relacje. Walczy wspaniale. Nie może już, niestety, odrobić strat z pierwszej fazy turnieju, ale zdobywa drugie miejsce. Drugie! Dostaje pierwszy w życiu medal olimpijski. Na razie srebrny. Poczekamy, zobaczymy.

W kraju witają naszych medalistów jak bohaterów. Krzesińska, Sidło i on.

– To zupełny wariat – szepczą znajomi, kiedy wyrwawszy się z tłumu reporterów chyłkiem podąża w kierunku hali, na trening.

Rok później mistrzostwa świata, znowu w Paryżu. I tu, tu wreszcie zostaje mistrzem świata! Po raz pierwszy Mazurek Dąbrowskiego grany jest dla niego.

Wyglądało to na początek okresu szczytowej formy, okresu kolejnych zaszczytów i medali. Miłosierny los sprawił, że wtedy, w paryskiej hali, gdy poprzez łzy słuchał hymnu śpiewanego przez rodaków na trybunach, ani przypuszczał, że sporo czasu upłynie nim ta sytuacja się powtórzy.

Siedem lat chudych. Czy rzeczywiście?

W 1958 roku po raz pierwszy pojechał do Ameryki. Swary szkoleniowe w drużynie dały o sobie znać. W Finlandii na mistrzostwach świata był dopiero czwarty. A może szczyt ma już za sobą? W maju 1959 roku mija dziesięć lat od chwili, gdy zajął się szermierką. Co robić?

Jak to co? Trenować dalej. I trenuje. Przecież za rok mistrzostwa świata w Budapeszcie, a za dwa olimpiada w Rzymie. Mistrzostwa w Budapeszcie, w jaskini lwa. A co to dla nas? W 1959 roku po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat Węgrzy stracili tytuł drużynowego mistrza i to na korzyść Polaków.

Co za szczęście! Tym większe, że w euforii nikt nie zwrócił uwagi na jego słabiutki występ w turnieju indywidualnym. Chude lata w całej pełni. A co będzie za rok w Rzymie? Po mistrzostwach w Budapeszcie wszyscy są jednej myśli. Musimy zdobyć tytuł drużynowego mistrza olimpijskiego. A także medale indywidualne.

To już postanowione we władzach i kropka. Nie mówmy o tej nieszczęsnej olimpiadzie. Zajął ledwo punktowane miejsce, a drużyna zdobyła medal srebrny. Po raz pierwszy nie chce mu się trenować. Robi długą przerwę, odpoczywa. Przecież, do diabła, na szermierce świat się nie kończy. Trwa to prawie rok. Na

szczęście tyle czasu starczyło, by stwierdzić, że może świat na szermierce się nie kończy, ale z pewnością się zaczyna. Ze świeżymi siłami wraca na planszę, do treningu.

Jest już rok 1961. Wtedy, jak grom z jasnego nieba spada na niego zaproszenie na coroczne zawody o puchar ufundowany przez firmę „Martini Rossi" z Nowego Jorku. Jednak ktoś gdzieś pamiętał! Pierwszy raz leci Boeingiem 707. Siedem godzin i już Nowy Jork. Tam jest trzeci.

Ciągle nie może jeszcze złapać formy, ale najważniejsze, że wróciła mu chęć do walki. Może go jeszcze zaproszą, to pokaże co potrafi. Nie ma obawy, zaproszą. Startuje w wielu turniejach. Czasami wygrywa, częściej przegrywa. Przez cały rok uzbierał ledwo sześć punktów do klasyfikacji mistrzowskiej. Cóż to znaczy wobec kilkunastu uzbieranych przez Węgrów? Kto by chciał rozmyślać o czwartym miejscu na turnieju w Turynie? Mimo że drużynowo znów zdobyli mistrzostwo świata. Mimo że dostaje swój pierwszy złoty medal „Za wybitne osiągnięcia sportowe".

Co tu dużo gadać, idzie kiepsko. A raczej szło. Czyżby ten ostatni sukces w Nowym Jorku oznaczał przełamanie passy? Bo właśnie minęło siedem lat chudych... Za miesiąc turniej w Padwie.

Wyciągnął się wygodnie i kątem oka obserwował białe pole chmur, które niczym bita śmietana w olbrzymiej, lazurowej kadzi rozciągało się pod skrzydłem samolotu. A co z Amerykanami, z tym cholernym Kowalskim? Trzeba przecież powiedzieć o tym szefom i komu należy. Trzeba? Zobaczymy. A może uda się coś od nich wyciągnąć? Byłoby zręczniej przyjść z jakimś smakowitym kęskiem. Przymknął oczy, niezdecydowany. Co robić? Zdawał sobie doskonale sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie się naraża, ale to tylko podniecało ambicję. Już on ich wykołuje. A jeśli nawet nie, to co mu zrobią? Zabawa może być dobra.

Mimo tych samouspokojeń, gdzieś tlił się mały, ale drażniący płomyczek niepokoju. To jednak poważna sprawa. Zdecydował. Nikomu o tym nie powie. Chodzi przecież o zagraniczne starty. Ale i odmówi Amerykanom. Kto wie zresztą, może mu w ogóle dadzą spokój? Zaczęło się to wszystko od dołu na śmieci. A na czym się skończy?

Samolot drgnął. Pawłowski otworzył oczy. Wylądowali na Okęciu.

★
★ ★

Miesiąc później samolot Air France z Paryża lądował na Aeroporto Marco Polo w Wenecji. Samo lotnisko znajdowało się na brzegu laguny, przy drodze łączącej Triest z małą mieściną o nazwie Mestre, gdzie droga się rozwidlała. Na lewo przechodziła w Ponte della Liberta, most prowadzący przez wody laguny do tonącej z wolna Wenecji, a na wprost zaczynała się autostrada prowadząca do Padwy.

W Mestre opuścili lotniskowy autobus, by przesiąść się do eleganckiej furgonetki, przysłanej przez organizatora turnieju, Franco Luxardo, właściciela znanej rozlewni win i wódek. Organizowanie takiego turnieju jest przecież formą reklamy. O tyle korzystną, że koszty odlicza się od podatku i wszyscy są zadowoleni. Jeżeli w turnieju biorą udział znani sportowcy, „publicity" jest zapewniona doprawdy minimalnym kosztem. On właśnie jest taką sławą i dlatego Franco przysłał ten mikrobusik.

Z bocznej kieszeni torby wyciągnął gazety, kupione w ostatniej chwili na Okęciu. Autostrada była równa jak stół, więc bez przeszkód zagłębił się w drukowane maczkiem notki agencyjne na sportowej kolumnie. Wpadła mu w oko kilkuwierszowa notatka o wyniku Klockowskiego w rzucie dyskiem. Pięćdziesiąt pięć metrów i siedemdziesiąt cztery centymetry. Do tego stopnia nie interesował się innymi sportami, że nawet nie wiedział, czy to dużo, czy mało. Pewnie dużo, jeżeli o tym piszą. Odwrócił stronę. „Unia Zanzibaru z Tanganiką". Ależ tam się kotłuje. Ani chwili sobie nie odpuszczą. „McNamarra: USA będą wysyłać nadal samoloty nad Kubę". Ci też rozrabiają. Ale co się dziwić, mają taki wrzód pod bokiem. „Comety na trasie Londyn–Warszawa". Jakiś nowy samolot? Zabiera osiemdziesiąt dziewięć osób. Dwie i pół godziny lotu. To rozumiem, cokolwiek szybciej niż ta nasza landara. Kiedyś trzeba będzie się przelecieć. Złożył gazetę i rzucił na siedzenie obok. Dojeżdżali do Padwy.

Mikrobus zwolnił, skręcił na prawy pas i wsunął się na wąską szosę prowadzącą do śródmieścia. Zaraz zaczęło kiwać, droga była jeszcze przedwojenna i dawno nie odnawiana. Przejechali przez szczątki murów obronnych, skręcili w lewo i ostrożnie zagłębili się w kręte uliczki.

Uważał Padwę za jedno z najpiękniejszych miast, jakie wi-

dział. Po wielkich, pełnych rozmachu i zgiełku metropoliach delektował się senną ciszą wypełniającą malownicze zaułki, patrzył na leniwie wygrzewające się domy, podobne do tych na warszawskiej Starówce, ale mające jednak naprawdę te pare setek lat. Po chwili wynurzyli się z ospałego labiryntu i pojechali nieco bardziej współczesną Via S. Massimo. Za skrzyżowaniem z Via Fallopio – Via Ospedale, po lewej zostawili duży szpital miejski, od którego ulica wzięła swą nazwę i już byli przed hotelem.

Zajmował narożną parcelę przy Via S. Francesco. Był to niewielki czteropiętrowy budynek otynkowany na żółto, wciśnięty niczym parweniusz między dostojnych sąsiadów. Nie robił miłego wrażenia, ale czasem pozory mylą. Pawłowski mieszkał tu już kiedyś i wiedział, że pod byle jaką fasadą kryją się bardzo, jak na Padwę, przyzwoite pokoje. Byle tylko dostał od podwórza, bo nawet w Padwie dawał się już we znaki samochodowy hałas.

Na szczęście recepcja stanęła na wysokości zadania. Rzucił torbę na obszerne łóżko i podszedł do okna. Po chwili otworzył je i z czwartego piętra kontemplował widok, który nie zmienił się od paru wieków, pomijając oczywiście maszty anten telewizyjnych. W promieniach porannego słońca nieregularna szachownica dachów padwańskich kamieniczek mieniła się wszelkimi odcieniami ceglastej czerwieni, ochry i palonej sjeny. Gdzieniegdzie – ustawione pod najdzikszymi kątami – płaszczyzny cętkowane dachówkami otaczały nieregularnym wielokątem ciemniejsze jamy podwórek. Wszystko to razem przywodziło na myśl ilustrację do zapomnianej dawno bajki z dzieciństwa, w którą się mocno wierzyło, bo w niej dobry zawsze zwyciężał.

Zadzwonił telefon. To szef grupy umawiał wszystkich na śniadanie.

Dwa dni później rozpoczęły się zawody. Tym razem obsada nie była zbyt mocna, więc z umiarkowanym zainteresowaniem słuchał relacji z walk eliminacyjnych w innych broniach. Nawet nie poszedł na salę. Zawody w szabli miały się zacząć po florecie, więc wolny czas wykorzystał na łażenie po nie znanych sobie jeszcze zakamarkach Padwy.

Pół dnia spędził na placu przed bazyliką św. Antoniego Padewskiego. Ruch samochodowy, stłoczony w wąskich ulicach, tu jakby rozwadniał się. Z rzadka przejeżdżały skutery furgonet-

kowe i Jerzy mógł bez przeszkód przeciąć wyłożony betonowymi płytami plac, by znaleźć się przed pomnikiem bohatera Padwy, generała Gattamelaty dłuta Donatella. Zajrzał na chwilę do Museo Civico, zamykającego plac od południa, przez Via Umberto I i przez Via Roma dotarł do najstarszego budynku Padewskiego Uniwersytetu, pospacerował jego podcieniami i zaczął się nudzić. Na szczęście, już jutro zaczną się walki. Odwrócił się na pięcie i powędrował do hotelu.

Walki eliminacyjne rozpoczęły się o dziewiątej rano. Zaraz po śniadaniu całą grupą udali się na miejsce zawodów. Odległość nie była duża, zresztą w Padwie nigdzie nie jest daleko, więc pomaszerowali piechotą, budząc sensację wśród przechodniów swym wystającym z worków ekwipunkiem. Gdy dochodzili do nowoczesnej hali – przypominającej blaszaną beczkę, przeciętą wzdłuż i ułożoną na ziemi – towarzyszyła im już spora grupa najmłodszych wiekiem padewskich kibiców. Wśród wiwatów wkroczyli do środka. Wewnątrz była spora sala z dwoma tysiącami miejsc, prysznice i mały bufecik przy końcu hali. Wszystko skromne, ale funkcjonalne i wyczyszczone na najwyższy połysk.

Jerzy, przechodząc do szatni, rzucił okiem na widownię. Pora była wczesna, rozpoczynały się dopiero walki eliminacyjne. Nie było w tym nic dziwnego, że widzów zebrało się niewielu. Rozumiał to, ale zawsze przecież większa publiczność podaje z sali tę elektryzującą iskierkę, dzięki której tak znakomicie się walczy. A teraz, niestety, czeka ich mniej lub bardziej mechaniczna rąbanina. Westchnąwszy, poprawił worek ze sprzętem i zniknął w szatni wskazanej przez organizatorów.

Ubrany już w biały kombinezon siedział na metalowym krzesełku obok kierownika grupy i obserwował poczynania Staszka. Jak na dołączonego niedawno do kadry narodowej radził sobie zupełnie nieźle z olbrzymim Włochem, Gaetano. Oczywiście, wiele musi się jeszcze uczyć. Wygrał zaledwie jednym trafieniem i to już w eliminacjach, ale i z niego będzie w przyszłości pociecha. Uśmiechnął się na wspomnienie własnych początków. Jemu szło o wiele łatwiej. Może dlatego, że ma talent?

Sięgnął po maskę. Z Francuzem, Laroux walczył wielokrotnie, znał go na wylot i wiedział, że nie będzie miał większych problemów. Ciekawiej może być dopiero w finale.

Ruszył w kierunku planszy, zakładając maskę. Kręcił głową, dopasowując ją do twarzy, gdy wzrok jego przypadkowo padł na trybuny z nielicznymi grupkami kibiców. W trzecim rzędzie siedział samotny entuzjasta szermierki, który widząc, że Jerzy mija go wzrokiem uniósł się nieznacznie i z uśmiechem złożył ledwo dostrzegalny ukłon. Z niedowierzaniem rozpoznał w nim krótko ostrzyzonego, gorylowatego Willmana. Na ten widok krew odpłynęła mu z głowy. Przez miesiąc, a zwłaszcza podczas pobytu w Padwie dokonywał cudów, by tylko nie myśleć o tym, co może go spotkać. Gdy przez pierwsze kilka dni nikt od Amerykanów się nie pojawił zaczął myśleć, że niebezpieczeństwo minęło. Przekonywał sam siebie, że zrażeni jego postawą w Nowym Jorku, nie pofatygują się tu i dadzą mu spokój.

Może kiedyś, w Stanach spróbują go jeszcze zaczepić, ale tu, w Europie? Jakoś nie mógł w to uwierzyć. A teraz obecność Willmana położyła kres naiwnym spekulacjom. Kiwnął machinalnie głową i wkroczył na planszę. Przegrał w pierwszej eliminacji. Po raz pierwszy od lat.

★

★ ★

Dopiero teraz zdołał się oderwać od reszty ekipy i niczego nie rozumiejącego kierownika, który żądał wyjaśnienia nieprzyjemnej sensacji. Rzucił się w pokoju hotelowym na tapczan i zapatrzył bezmyślnie na spacerującą nad nim niewielką muszkę.

Dzwonek telefonu wyrwał go z bezmyślnej kontemplacji sufitu.

– Hotel znajduje się na Via Santa Sofia – usłyszał w słuchawce. – To dwie przecznice od pana. Jeśli pójdzie pan przez Via Battisti wyjdzie pan akurat na frontowe wejście. Czekamy jutro o dziesiątej rano. Nie nawali pan, prawda? – Kowalski odłożył słuchawkę.

Pawłowski spojrzał na aparat i znów wyciągnął się na łóżku. Dopiero teraz przekonał się, że oni nie żartują i są zdecydowani doprowadzić swoje zamierzenia do końca, ogarnął go strach. Jak mógł pomyśleć, że zdoła ich podejść, oszukać? Naczytał się różnych książeczek w młodości. Tylko że to już nie literatura, a życie, którego nie da się zamknąć i odłożyć na półkę, by

sięgnąć po coś innego. Gorzko wyrzucał sobie, że jeszcze wtedy – w Nowym Jorku – nie zawiadomił o aferze kogo trzeba. Jak teraz wytłumaczy się ze swej opieszałości? Znał przypadki, że za znacznie błahsze rzeczy zdarzały się odmowy paszportu.

Myśli kłębiły się pod czaszką. Już nie jest tu potrzebny, przegrał przecież. Może dać nogę. Uciec na własną rękę? Albo udać się do jakiejś polskiej placówki i tam wszystko opowiedzieć? Ze zwłoki jakoś by się wytłumaczył. Tylko gdzie te placówki? Ambasada dopiero w Rzymie, a najbliższy konsulat w Mediolanie. Tysiąc rzeczy może mu się wydarzyć, zanim dotrze.

Czy ktoś tu chodził za mną? Nie był pewny. Nikogo takiego nie zauważył, ale po prawdzie specjalnie się nie rozglądał. Powiedzieć kierownikowi ekipy? Znał go dobrze. Wiedział, że nie uwierzy, że pomyśli iż jest to oryginalna metoda usprawiedliwiania porażki. Sam przecież kilkakrotnie już w podobny sposób robił z niego balona. Umył się pospiesznie i wślizgnął pod wilgotną kołdrę. Czekała go pierwsza od dawna nie przespana noc. Od bardzo dawna, chyba od nocy przed egzaminem dojrzałości.

Natarczywy, nie milknący dzwonek telefonu z trudem wyrwał go z drzemki, w którą zapadł dopiero wtedy, gdy pierwsze promienie słońca poczęły ogrzewać dachy. Mimo wielogodzinnego myślenia efekt bezsennie spędzonych godzin okazał się żałosny. Poza kategoryczną, nieliczącą się z konsekwencjami odmową lub karkołomną ucieczką nie przyszło mu nic na myśl, co mogłoby wyciągnąć go z kabały w jaką się władował.

Z głową obolałą, jak po pijaństwie, podniósł wreszcie słuchawkę.

– No, co się z panem dzieje? – Kowalski nawet nie próbował być uprzejmy. – Czy pan wie, która godzina? Od kwadransa czekamy. Niech pan się zbiera i raz dwa przychodzi. Aha, jeszcze jedno – dodał, jakby czytał w jego myślach. – Niech pan nie próbuje uciekać. Dworce są obstawione.

– Bluff – bąknął.

– Gdyby pan spróbował – odparł zimno Kowalski – to miałby pan okazję przekonać się. Naprawdę będzie lepiej, jak pan tu przyjdzie. Czekamy.

Gdy mijał kościół św. Katarzyny, wydawało mu się, że idący za nim dwaj mężczyźni to nie turyści spragnieni porannych widoków Padwy, ale... Ale w końcu skręcili w pasaż prowadzący

do Via Aristide Gabelli i nie zauważył już nikogo, kto by go eskortował. Co prawda, miejsce spotkania już blisko i nie ma żadnych więcej przecznic, którymi mogłby ewentualnie ominąć skrzyżowanie z Via Santa Sofia.

Nie bardzo wiedząc po co, zamiast w kierunku budynku z napisem „Hotel Padova" ruszył w przeciwną stronę, stopniowo się od niego oddalając. Szedł niespiesznie i dlatego w porę zauważył dwóch rzekomych turystów skręcających ku niemu z Via Aristide Gabelli. Byli w odległości kilkudziesięciu metrów, doskonale widoczni w pełnym blasku porannego słońca, on natomiast, schowany w cieniu po drugiej stronie ulicy, nie był jeszcze przez nich zauważony. Nie łudził się jednak, że gdy dystans zmaleje ów cień na nic się nie zda i dostrzegą go. Odwrócił się i nieco szybszym krokiem podążył ku hotelowi. Nie oglądając się już za siebie doszedł do rzeźbionych w dębie drzwi opatrzonych solidną mosiężną gałką. Po obu stronach błyszczały witryny z białymi okiennicami, biegnącymi wzdłuż frontowej ściany hotelu, z namalowaną na szybach nazwą.

Ledwo dotknął gałki, a drzwi doskonale naoliwione uchyliły się, zapraszając do środka. Mimo półmroku zauważył, że wnętrze jest o wiele większe niż to, które opuścił przed kilkunastoma minutami. „Hotel Padova", niepokaźny od frontu, ciągnął się w głąb zabudowań, a jego hall wąski i ciemnawy dalej rozszerzał się, tworząc foremną salę, której prawą ścianę zajmowała recepcja cała wyłożona ciemnym drzewem, a z lewej strony znajdowały się szerokie schody z wykonanymi, z tego samego drzewa poręczami, prowadzące do pokojów na piętrach.

Jeszcze bardziej na lewo, za schodami znajdowały się przeszklone wahadłowe drzwi, za którymi widać było przykryte brunatnymi obrusami stoliki. Do tej części hallu skąpe światło od ulicy już nie dochodziło i z panującymi tu ciemnościami ledwo dawały sobie radę zwisające z sufitu lampy, z matowymi abażurami, siłą światła i wyglądem przypominające swe naftowe poprzedniczki.

W hallu było pusto, hotel sprawiał wrażenie wymarłego. Nawet w recepcji nie było nikogo. Spojrzał ku wyjściu i przez zamalowane do połowy szyby dojrzał dwóch turystów stojących po drugiej stronie ulicy, i z zajęciem oglądających fasadę budynku.

Gdy odwrócił się, hall nie był już pusty. W przejściu do

restauracji, obok schodów stał Willman i kiwał ręką. Ruszył więc w jego stronę. Gdy zbliżył się, Willman postąpił o dwa kroki, chwycił jego rękę, uśmiechnął się promiennie bez słowa i nie puszczając dłoni pociągnął go pod schody.

Była tu niewielka nisza, utworzona od góry przez drewniane stopnie, a z dwóch boków przez ściany sali. Na ścianie równoległej do schodów wisiał niewielki kinkiet z abażurem, z żółtawego szkła, oświetlający okrągły stół w niszy i cztery fotele, z których dwa były zajęte.

Jednego mężczyznę znał. Był to Kowalski, teraz pochylony i szepczący coś z szacunkiem drugiemu. Przyjrzał się ciekawie temu nowemu, gdyż widział go pierwszy raz w życiu. Był to starszy mężczyzna, niskiego wzrostu, ubrany w garnitur idealnie dobrany do koloru niewielkiej ilości srebrnoszarych włosów, starannie zaczesanych na błyszczącej, opalonej czaszce. Miał odrobinę wyłupiaste, lecz bystre oczy, których nie spuszczał z niego, gdy Kowalski zerwawszy się zaczął dokonywać prezentacji.

– Szefie, to pan Jerzy Pawłowski, jeden z najlepszych...

– Wiem, wiem – mężczyzna uniósł się lekko i wyciągnął rękę. – Kto by nie znał naszego mistrza? – uśmiechnął się, ale oczy pozostały chłodne, taksujące. – A ja nazywam się Lunqvist. Też kiedyś byłem sportowcem. Proszę siadać. W swoim czasie pasjonowałem się rajdami samochodowymi. Oczywiście, jeszcze przed wojną, kiedy pana pewnie nie było na świecie. – Mówił powoli i wyraźnie. – Teraz, rzecz jasna, zostało mi tylko kibicowanie.

Lunqvist był uprzedzająco grzeczny, ale Jerzy od razu wyczuł w tej układności niebezpieczeństwo. Trudno je było określić, ale nie ulegało wątpliwości, że pan Lunqvist był człowiekiem groźnym i że lepiej by było nie mieć w nim wroga. O jego niekwestionowanej pozycji wśród tej trójki przekonał się, kiedy po wstępnych uprzejmościach Kowalski dość obcesowo zaczął besztać Jerzego za spóźnienie. A raczej próbował zacząć, bo pan Lunqvist jednym warknięciem zatamował potok wymowy Kowalskiego, który momentalnie zaniemówił, ograniczając się jedynie do doraźnego tłumaczenia w momentach, kiedy angielszczyzna Jerzego nie wystarczała. Nastąpiło to dość szybko.

– Jak pan widzi – zaczął Lunqvist w parę chwil po uciszeniu

Kowalskiego – przyjechaliśmy jednak do pana.

– Widzę, tylko nie bardzo wiem po co. – Jerzy poczuł jak rośnie w nim napięcie.

– Niech pan nie żartuje – uśmiechnął się. – Sprawa jest poważna. Tak poważna, że zdecydowałem się przyjechać osobiście, choć nie tylko pana mam na głowie.

– Nic prostszego, dacie mi spokój i będzie mniej problemów. – Jerzy sam się zdziwił, skąd u niego taka dezynwoltura. – Najlepiej zapomnijmy o wszystkim, Wy róbcie swoje, a ja swoje. Jestem sportowcem, a nie...

– Zaraz, zaraz – Lunqvist podniósł rękę. – To nie takie proste. Pan sobie wyobraża, że pomówimy o pogodzie, wymienimy anegdoty i rozejdziemy się? Pan, zdaje się, zapomina z kim pan rozmawia. To chwilę potrwa. Whisky?

Jerzy poczuł się jak przekłuty balon. Oni rzeczywiście nie żartują. Kiwnął głową. Lunqvist dał znak ręką i milczący przez cały czas Willman ruszył w kierunku restauracji. Zostali we trójkę.

– Dlaczego nie chce się pan zdecydować? – zabrał głos Kowalski. – Przecież mówiłem panu w Nowym Jorku, na jakich zasadach odbywałaby się nasza współpraca. Bezpieczeństwo zagwarantowane.

Jerzy wzruszył ramionami.

– A ja panu mówiłem wtedy, pamięta pan, że niczego nie wiem, co mogłoby was interesować.

Urwał. Otworzyły się drzwi i Willman szurnął fotelem.

– Zamówiłem – mruknął siadając. – Kelner zaraz przyniesie.

Kowalski machnął ręką, aby nie przeszkadzał.

– Mówi pan, że nic pan nie wie? – powiedział świdrując go spojrzeniem. – A ja panu mówię, że jest pan w błędzie. Popatrzmy – wyciągnął zielonkawy notes i zaczął przewracać kartki. – Przecież jest pan zawodnikiem „Legii". To klub wojskowy. Poznał pan instruktorów, trenerów, działaczy. Niektórzy z nich pełnią funkcje społeczne, pracując w wojsku. W Warszawie jest tyle instytucji centralnych waszej armii. Zawsze się przecież może zdarzyć, że któryś coś chlapnie niechcący. I na pewno zdarzało się to do tej pory, tylko nie zwracał pan na to uwagi. Ja sam wiele razy brałem udział w spotkaniach i przyjęciach u naszych wojskowych. Gdybym chciał, to mógłbym Rosjan za-

rzucić ciekawostkami – zamilkł, gdy stawiano przed nimi wysokie szklanki, a na środku stołu salaterkę z lodem.

– Ciekawostki – podjął, gdy kelner cicho znikł za drzwiami. – One też są ważne, wszystko jest ważne. Trzeba mieć oczy i uszy otwarte. Przekona się pan, ilu ciekawych rzeczy pan się dowie.

– Salut! – Lunqvist uniósł szklankę.

Wypili.

– Niech pan zauważy – Lunqvist postanowił wyręczyć Kowalskiego – że pan nie popełnia żadnego przestępstwa. Po prostu korzysta pan z niedyskrecji otoczenia. A my – jak powiedział pan Kowalski – zapewniamy panu całkowite bezpieczeństwo.

Ta sztafeta nieustannego nacisku zaczęła już męczyć Jerzego.

– Idźmy dalej – podjął znów Kowalski. – My naprawdę o panu sporo wiemy. Na przykład od czerwca pięćdziesiątego czwartego roku był pan instruktorem sekcji szermierki klubu „Legia". Poznał pan szefów, kierownictwo, ludzi z centralnych władz sportowych. Ale to nie wszystko. Dokładnie od dwudziestego czwartego czerwca sześćdziesiątego trzeciego roku został pan – zaraz powiem dokładnie – pomocnikiem szefa wydziału w Inspektoracie Szkolenia Ministerstwa Obrony Narodowej. Prawda?

Skąd oni to wszystko...? Opróżnił szklankę do końca.

Lunqvist i Kowalski wymienili ze sobą spojrzenia.

Gdy Pawłowski odstawił szkło, Lunqvist przyglądał się mu i ani na chwilę nie spuścił zeń oka, Kowalski nie odrywał wzroku od notatek, a Willman siedzący najbliżej przejścia odchylił głowę i milcząc zerknął w kierunku drzwi.

– Jak pan widzi – rzekł w końcu Kowalski, zamykając notes – wiemy rzeczywiście sporo.

– Niech pan zrozumie – włączył się Lunqvist ponownie – że nam naprawdę na tym zależy. Przyszłość przed panem, wspaniała sportowa nieograniczona kariera. A my mamy duże możliwości. Przede wszystkim doskonałe stosunki z prasą, która zawsze idzie nam na rękę. Mogą pochwalić, mogą suchej nitki nie zostawić na człowieku. Paru ludziom – niekoniecznie sportowcom, ale i politykom – kariera niespodziewanie się urwała, choć myśleli, że nikt ich nie może ruszyć.

– Niech pan mnie nie straszy – Jerzy zebrał resztki odwagi. – Nie bardzo wierzę, aby cała prasa dała się wam wodzić za nos.

– Oczywiście, że nie daje się, jak pan to ujął, wodzić za nos – półuśmieszek znowu zagościł na twarzy Lunqvista. – Pewnie, że mogą wypisywać wszystko, co chcą. Ale doświadczenie uczy, że prędzej czy później każda niesubordynacja kończy się niedobrze. Mówię tu o tak zwanej prasie niezależnej, bo każda inna z natury rzeczy na figle nie może sobie pozwolić. Wie pan, że kto płaci, ten wymaga. Ale, ale odbiegliśmy od tematu. Niech pan powie na serio, dlaczego nie chce się pan zgodzić?

Niczym ogary, które osaczyły odyńca, bez przerwy naciskali go na zmianę zabierając głos. Jeżeli na chwilę zmieniali temat, to tylko po to, by tym mocniej zaatakować. Mówili długo i o różnych rzeczach. O karierze, o życiu w Polsce i w Stanach, o tym jaka wspaniała przyszłość go czeka, gdyby na zakończenie współpracy zdecydował się zostać u nich.

Kowalski do tego stopnia zagalopował się, że po raz wtóry wyliczył sztuki posiadanych garniturów.

Nadeszło południe, w hallu pojawiło się parę osób, lecz wydało się, że nikt nie zwraca na nich szczególnej uwagi. Jerzy nie wziął ze sobą zegarka, więc nie wiedział ile czasu go maglowano, był jednak zadowolony z siebie, że przetrzymał huraganowy napór, i że bogaty wachlarz argumentów, najwyraźniej im się wyczerpał, bo zapadła pierwsza od dłuższego czasu chwila ciszy. Willman zdawał się drzemać, lecz mimo to nie odwrócił twarzy od wejścia do hotelu. Kowalski ukradkiem wycierał chusteczką kark i tylko po Lunqviście nie było widać wysiłku.

– Pańska ostateczna decyzja? – zapytał.

– Nie.

– Okay! Trudno – Lunqvist sprawiał wrażenie pogodzonego z losem. – Przecież bić pana nie będę. Może rzeczywiście to nie ma sensu? No co, napijemy się jeszcze, czy będzie pan uciekał?

– Może strzemiennego – Jerzy nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu.

Wygrał! Przez parę godzin toczył bój i wygrał! Trzeba przyznać, że mają klasę. Nie udało się, to trudno. Nie wrzeszczą, choć Kowalski, gdyby był sam, pewnie by sobie pofolgował. Na szczęście nie jest sam, nie straszy więc wrzaskiem.

Willman nagle ocknął się i ruszył ze szklankami do restauracji. Jerzy odprężony wyciągnął się swobodnie w fotelu. Teraz, kiedy niebezpieczeństwo minęło, nie miał nic przeciwko temu, aby porozmawiać w towarzyskiej atmosferze. Przecież nie co dzień popija się razem z szyszkami amerykańskiego wywiadu.

Zaczęli rozmowę o sporcie. Lunqvist mówił o swoim pierwszym starcie w rajdzie Monte Carlo. Jerzy opowiedział o przyczynie porażki tu – w Padwie. Śmiali się jeszcze, kiedy Willman wrócił z pełnymi bursztynowego płynu szklankami Jerzy w ogóle pił mało, a zwłaszcza w samo południe. No, ale tym razem.

Przyjął ofiarowaną mu uprzejmie przez Willmana szklankę i pociągnął solidny łyk. Kątem oka zauważył jeszcze w spojrzeniu Lunqvista i Kowalskiego coś dziwnego, jakby oczekiwanie.

★

★ ★

W parę godzin później dopływał do seledynowego portu, łagodnie połyskującego w srebrzystej poświacie. Tu wyłoniła się nieoczekiwana trudność – port był na szczycie ogromnych schodów, które kończyły się okrągłym stołem zasłanym białymi kartkami papieru. Mimo że stół znajdował się wysoko i nie widział jego blatu, mógł bez przeszkód odczytać pojedyncze nazwiska wypisane flamastrem na niektórych kartkach. Jednak, gdy próbował skupić wzrok, napisy zamazywały się, a on znów tkwił u podnóża dziwnych schodów.

Był w pokoju ze szczelnie zasłoniętymi oknami, ale wyraźnie widział port z gmachem Inspektoratu na falochronie. Tuż obok znajdował się ogromny stadion pełen skośnookich mężczyzn wymachujących rytmicznie chorągiewkami na długich, cienkich drzewcach. Gdy wziął je wszystkie w rękę, okazało się, że to szpady, szable i floréty, które błyszczały w słońcu, odbijając jego promienie lśniącą powierzchnią stali. Wybrał najlepszą i zaatakował Lunqvista. Ten skinął ręką i Willman podał szklankę. Zanim wypił wszystko do końca, Kowalski natarł zupełnie bez przygotowania, ale mimo to poczuł na biodrze koniec ostrza jego klingi. Chciał zawołać, że cięcie jest nieważne, nie liczy się

atak we trzech na jednego, ale kierownik ekipy jednogłośnie przyznał zwycięstwo Kowalskiemu. A jego wrzucili do basenu portowego, gdzie pływał swobodnie, choć rana uwierała go w dalszym ciągu.

Lunqvist z Willmanem łagodnie wzięli go pod ręce i wyprowadzili na ulicę. Kazali pójść do hotelu i on ich posłuchał, bo tak chciał. Na szczęście fioletowe opary już znikły i bez trudu mógł rozpoznać Via Aristide Gabelli, mimo że zapadał wieczór. Ostatnie strzępki mgły w mózgu rozwiały się i po raz pierwszy od paru godzin miał znów przytomny wzrok. Chwiejnym krokiem ruszył w kierunku swego hotelu. Po kilku metrach poczuł znowu uwieranie w miejscu, gdzie zranił go Kowalski. Przystanął, sięgnął ręką do kieszeni. W skąpym świetle, rzucanym przez niewielką, zakratowaną witrynę jubilera błyszczało na otwartej dłoni coś podłużnego.

Podniósł dłoń do oczu. Był to złoty ołówek ze skuwką. Wzdłuż biegły niewielkie, srebrne literki. Przysunął twarz jeszcze bardziej. Był to ołówek Heleny Rubinstein, honey-brown, numer 0125.

W tym momencie krótki błysk światła rozjaśnił na chwilę mroki pamięci. Ujrzał wyraźnie pokój, okrągły stół, kartki papieru, które własnoręcznie pozapisywał różnymi nazwiskami, a na koniec tę jedną, na której było jego własne. To wtedy uśmiechnięty Kowalski wręczył mu mały upominek dla małżonki. I ona, i on już dawno o tym zapomnieli, a ci pamiętali.

Nagle przystanął, rozwarł palce i ołówek potoczył się po chodniku wprost do burzowca. Dopiero teraz dotarł do niego sens złożenia tamtego podpisu.

Ulica była pusta, oparł się o ścianę, przymknął oczy i jedna myśl tłukła mu się po głowie, jednoznaczna, jasna i bezwzględna jak żadna dotąd: „rany boskie, zostałem agentem!"

Dziwna rzecz, bo gdy ostatecznie pojął co się stało, nie odczuwał już napięcia ani paniki. Prędzej dziwny rodzaj ulgi, że stało się to, co się miało stać, choć bez jego wiedzy. Uczucie to bardzo szybko przemieniło się w nie znany mu dotąd rodzaj tępej rezygnacji. Tego wieczora nie przeprowadzał analizy stanów uczuciowych. To miało przyjść później. Miał ledwo tyle siły, by dowlec się do pokoju i runąć na zaścielone łóżko.

Gdy lądowali na Okęciu, zdążył się już oswoić z sytuacją do tego stopnia, że – kupiwszy zaraz na lotnisku gazetę – na widok

notatki o rekordowym, bo na głębokość ośmiu tysięcy dwustu metrów, zanurzeniu francuskiego batyskafu, zareagował ze smętnym humorem: „ja, w każdym razie, wpadłem głębiej".

Na olbrzymi tytuł w kolumnie sportowej: „Niewytłumaczalna porażka Jerzego Pawłowskiego" nie zwrócił uwagi.

★
★ ★

– Gratuluję panu, Lunqvist – powiedział niski, otyły mężczyzna, ledwo widoczny zza olbrzymiego biurka ginącego jednak w szerokich przestrzeniach rozległego gabinetu, z którego okien, zajmujących całą jedną ścianę, rozpościerał się kojący widok na pobliski, gęsty las, dłonią wskazując mu miejsce w przepaścistym fotelu.

Lunqvist usiadł, pilnie szukając w twarzy dyrektora wskazówek, w jakim kierunku potoczy się rozmowa. W głębi duszy uważał, że gospodarz nie dorósł do swej funkcji, na co dowody zbierał skrzętnie w małym, ściśle prywatnym archiwum, o którym wiedziała tylko Jane, choć i ona nie była poinformowana, co ono właściwie zawiera. Doskonale wiedział, że za nominacją na to stanowisko nie przemawiają kwalifikacje, a tylko polityka w najwyższych rejonach władzy, do których on, starzejący się fachowiec, nigdy nie miał i nie będzie miał dostępu. Ale cóż szkodzi być przygotowanym na taką ewentualność?

Grubas skończył już ograny trick z przekładaniem dokumentów, stary jak sama biurokracja, i spojrzał na Lunqvista.

– Czytam pański raport. Jest interesujący. Ten człowiek może być dla nas cenny. I to nie tylko ze względu na informacje, które może przekazać. Ważniejszy jest aspekt polityczny.

Lunqvist westchnął w duchu. Koniec z normalną rozmową. Dyrektor zagłębi się w dywagacje, z których, niestety, nic konkretnego nie wyniknie. Od dłuższego czasu wśród najwyższych funkcjonariuszy rządowych obserwował manię tłumaczenia wszystkiego polityką, jakby ta była niezawodną miksturą na wszystkie bolączki i niedociągnięcia, które przecież zdarzają się w każdej ludzkiej działalności, na co zresztą nikt dotąd nie znalazł skutecznej rady.

Zgadzał się, że polityka jest niezbędna, niekiedy konieczna, ale akurat nie w tej formie. Oni są praktykami i najlepsza poli-

tyka niewiele pomoże, gdy trzeba dowiedzieć się, co na przykład w wolnych chwilach porabia senator X czy ambasador Y. Proszę bardzo, uprawiajcie sobie politykę w Białym Domu czy w Departamencie Stanu, a nam zostawcie jej realizację.

Z leniwie toczących się myśli wyrwała go przedłużająca się cisza. Widocznie dyrektor zadał jakieś pytanie i teraz czeka na odpowiedź.

– No cóż – bąknął, nie wiedząc, co powiedzieć.

Na szczęście dyrektor uznał to za afirmację swoich rozważań.

– Cieszę się, że pan przyjmuje moje koncepcje.

Dobre sobie. Niech by spróbował się nie zgodzić.

– Prosiłbym pana dyrektora o pisemne instrukcje. To zawsze pomaga w rozmowach z innymi wydziałami.

– Otrzyma je pan. Nie wolno poszkapić sprawy z powodu jakichś głupich uprzedzeń i animozji w firmie – drugim konikiem dyrektora było scementowanie tych kilkudziesięciu tysięcy ludzi w monolit. Dyrektorem mianowany został niedawno, naczytał się różności w nieodpowiedzialnej prasie, która korzystając ze zmian w Białym Domu używała sobie ile wlezie, i postanowił zaprowadzić nowy ład na swym nowym podwórku.

Teraz liczył, że Lunqvist podzieli się z nim swymi kłopotami z tego okresu. Był dość inteligentny, by zauważyć, że nie wszystko w kierowanej przez niego instytucji idzie jak należy i rozpaczliwie potrzebował informacji. Wykorzystywali to kierownicy różnych wydziałów, kopiąc pod sobą dołki i forsując cele nie zawsze zgodne z zakresem ich działania.

Lunqvist uśmiechnął się w duchu. Był za starym lisem na takie dziecinne numery. Nigdy nie korzystał ze spotkań z dyrektorami (od czasów Hoovera przeżył ich już paru), aby przy tych okazjach załatwiać własne porachunki. Wyrobiło mu to w firmie opinię człowieka oddanego bez reszty pracy, nie zniżającego się do intryg.

Byli tacy, którzy brali to za słabość i próbowali za jego biurkiem umieścić siebie albo swego człowieka. Bardzo prędko okazywało się, że to przedwczesne pomysły. Po pierwszym, najgroźniejszym zamachu zorganizował to swoje archiwum i później mógł już z pobłażaniem obserwować kolejne, coraz żałośniejsze próby. Kilka lat temu ewentualni pretendenci na

następców poszli wreszcie po rozum do głowy i miał w końcu spokój.

– Niech pan w paru słowach powie o tym, czego nie ma w raporcie – dyrektor już parę razy miał okazję przekonać się, że Lunqvist z byle powodu nie wypłakuje mu łez w marynarkę i teraz też, choć niechętnie, przeszedł nad tym do porządku dziennego.

– Właściwie jest tam już wszystko, panie dyrektorze – w tej chwili Lunqvist zdecydował, że jednak wszystkiego nie powie. – Na podstawie analizy zeszłorocznych wydarzeń opracowałem nową koncepcję pracy agenturalnej. Moim zdaniem ma ona wszystkie możliwe zalety, z bezpieczeństwem pracy na czele, ale ma też i jedną wadę. Klasa i pozycja społeczna spełniających nasze kryteria agentów sprawiają, że na większą ich liczbę nie bardzo można stawiać. Chociaż – zastanowił się, a dyrektor słuchał go uważnie – ma to również swoją dobrą stronę. Jest ich mniej, za to informacje jakie mogą uzyskać z nadwyżką rekompensują braki ilościowe. Poza tym niewielka liczba zwiększa bezpieczeństwo i tak już przecież maksymalne. Co prawda, wypadki przy pracy zdarzają się zawsze, ale ich ewentualność zredukowaliśmy do minimum.

– A jak pan sądzi, ile warte jest to, co wam już powiedział?

– To dopiero pierwsze spotkanie. Nie chcemy go za bardzo przyduszać – odparł Lunqvist z namysłem. – Trzeba będzie posprawdzać, skonfrontować z innymi źródłami. Moi ludzie już zabrali się do tego. W każdym razie informacje o Inspektoracie są ciekawe. Pracuje tam od niedawna, ale...

– Jak to pracuje? Przecież jest sportowcem?

Lunqvist uśmiechnął się.

– Owszem, jest sportowcem. Amatorem.

– Nie bardzo rozumiem.

– Obawiam się – wzruszył ramionami – że u nas nikt tego nie zrozumie. Taki mają system. Pokazuje się w robocie raz na miesiąc, bierze pensję i potem zarabia na nią na planszy.

– To co może wiedzieć?

– Wbrew pozorom dosyć dużo. Niech pan nie zapomina dyrektorze, że on jest sławny. Zapraszają go na spotkania, wieczory autorskie. A ponieważ jest wojskowym, odwiedza również jednostki. Pracuje tam od kilku miesięcy, a już mógł nam podać – w ogólnym co prawda zarysie – schemat organizacyjny In-

spektoratu, niektóre nazwiska. Będzie z niego pociecha.

– Mam nadzieję – dyrektor wydawał się nie przekonany. – W każdym razie pilnujcie go jak oka w głowie. Pan osobiście odpowiada za to, Lunqvist.

– To zrozumiałe, panie dyrektorze – starannie ukrył irytację.

Czy on nie rozumie, że przy sprzyjających warunkach operacja ta może przerodzić się w największy sukces jego życia, ukoronowanie kariery! Rozejrzał się ukradkiem po gabinecie. Jeszcze nie wiadomo gdzie wyląduje, jeżeli odpowiednie władze docenią jego fachowość.

– Kiedy następne spotkanie?

Dyrektor zamknął teczkę z raportem i przysunął leżącą z boku gazetę. Podniósł na Lunqvista oczy.

– Za trzy miesiące olimpiada w Tokio. On tam na pewno będzie. My jednak nie pojedziemy.

– Dlaczego?

– Trzeba dać mu odsapnąć, to po pierwsze. Po drugie, za duża impreza. Na pewno ktoś od nich będzie dyskretnie obserwował kontakty. Nie możemy ryzykować. W bardziej kameralnych warunkach łatwiej sprawdzić bezpieczeństwo.

– Może ma pan rację – dyrektor potrząsnął trzymaną w ręku gazetą. – A na to, co pan powie?

Lunqvist wziął przesuniętą energicznym ruchem zadrukowaną płachtę i zaczął przeglądać.

– Nie bardzo rozumiem – powiedział spokojnie, podnosząc wzrok na dyrektora.

– Otóż to, nie rozumie pan polityki – stęknął, pochylił się nad biurkiem i nadspodziewanie delikatnym palcem u człowieka tej tuszy wskazał jedno miejsce trzymanego przez Lunqvista arkusza. – Co tu jest napisane?

– „Prezydent Johnson: Trzeba zakończyć beznadziejną awanturę wojenną w południowo-wschodniej Azji". – No i co?

– Jak to co? – dyrektor zdenerwował się. – Czy pan wie, co to oznacza?! Że wycofujemy się. Jeszcze jeden kawałek świata oddajemy komunistom! Na szczęście nie ja o tym decyduję, ale uważam, że stary przesadził. Kampania kampanią, wybory wyborami, ale wszystko ma swoje granice. Gdyby to ode mnie zależało, raczej rozniósłbym ten cały cholerny półwysep w strzępy niż oddał Czerwonym!

Lunqvist pierwszy raz widział dyrektora w takim stanie, ale nie zdziwił się specjalnie. W ogóle rzadko się dziwił. Ten mimowolny wybuch uzmysłowił mu jedną rzecz. Że nie tylko on, Lunqvist, myśli o wyższym stanowisku.

– Widzi pan – dyrektor tymczasem nieco ochłonął. – Dostajemy w kuper gdzie się da, a pan nie chce nasilać naszej pracy. Nie planuje pan spotkania w Tokio. To kiedy? Jak znowu wyjedzie na jakieś zawody? A jeżeli to będzie za rok?!

– No to rok poczekamy – Lunqvist postanowił bronić swej koncepcji. – Nie można, panie dyrektorze, dla błahych efektów, a takie na pewno będą w Tokio, zaprzepaszczać niepowtarzalnej szansy. Szykujemy robotę na lata. Wstrzemięźliwość opłaci się stokrotnie. Jestem gotów ręczyć, że każda próba spotkania w Tokio, musi zakończyć się fiaskiem i dekonspiracją agenta. Jestem do tego stopnia o tym przekonany, że jeśli pan dyrektor podejmie inną decyzję, będę czuł się zwolniony od wszelkiej odpowiedzialności za przebieg operacji i poproszę o dymisję.

Urwał, leciutko zadyszany. Stało się. Trochę go poniosło. Jak zareaguje stary?

– Zaraz, zaraz.

Dyrektor był prawie tak samo przerażony jak on, choć z innego powodu. Nie może przecież dopuścić do dymisji takiego fachowca, w dodatku pracującego na strategicznym kierunku.

– Co pan się tak zaperza? Przecież niczego panu nie każę. Trzeba to będzie dokładnie rozważyć.

A więc wygrał. Pierwsze od lat ryzykowne postawienie sprawy na ostrzu noża powiodło się. Był teraz pewien, że mimo pozorów będzie miał wolną rękę. To mu odpowiadało, choć wolałby, aby nie łączyło się to aż z takim ryzykiem. On ustąpił, ustąpię trochę i ja.

– Jeżeli z przyczyn politycznych tak panu na tym zależy, to...

– To co?

– To znajdziemy sposób, aby sprawę załatwić nie naruszając bezpieczeństwa naszego agenta.

– Jaki?

– Pomyślimy. Musimy dać mu odczuć, że jesteśmy, czuwamy, ale tak, by nikt nie połapał się o co chodzi. W delikatny sposób mocniej go ze sobą związemy. Przez rok mógłby rzeczywiście za bardzo zhardzieć.

– Dobrze.

Dyrektor wstał.

Lunqvist podniósł się również. Audiencja miała się ku końcowi.

– Niech pan robi, co pan uważa za stosowne. Przypominam jeszcze raz. Pan odpowiada za całość, Lunqvist.

Wyciągnął dłoń. Lunqvist liczył na większy entuzjazm i uznanie, co zdawał się zapowiadać początek rozmowy, ale dobre i to. Najważniejsze, że ma wolną rękę. Wyswobodził ją z dyrektorskiej dłoni i ruszył przez puszysty dywan koloru dojrzałego zboża.

– Lunqvist!

Przystanął i obrócił się.

– Jeżeli on nam się wymknie.

– Nie. Już nie ma odwrotu, panie dyrektorze.

Dziwne. Po raz pierwszy od dłuższego czasu zdarzyło mu się wyrazić jakąś opinię z tak dużym przekonaniem.

★

★ ★

Pokoik był malutki, klinicznie czysty, znajdowała się w nim tylko kozetka, mały stolik z krzesłem jak dla przedszkolaka i ledwie widoczna, wbudowana w ścianę szafa. Okna zdobiły żaluzje, w tej chwili ustawione tak, by nikt z zewnątrz nie mógł zajrzeć do pokoju. Nawet gdyby chciał to zrobić, musiałby dysponować nie lada wzrostem, gdyż pokój znajdował się na jedenastym piętrze.

O ile Jerzy mógł stwierdzić, to z tej strony, w odległości co najmniej kilometra, nie było innego, równie wysokiego budynku. A jednak. Jednak, mimo że wyposażenie pokoju nie dawało podstaw do najmniejszych przypuszczeń, bo białe płaszczyzny ścian skutecznie oddalały jakiekolwiek podejrzenia, czuł jakiś nieokreślony niepokój. Coś kłóciło się z raz na zawsze ustalonym porządkiem. Z trudem pohamował chęć ucieczki na nie zabudowaną przestrzeń, byle dalej od tego gigantycznego zespołu wieżowców, nazwanych jak na ironię wioską olimpijską.

Chodził niby w klatce – dwa kroki w tę i dwa z powrotem – aż w pewnej chwili poczuł, że nieuchwytne niebezpieczeństwo minęło. Nie mógł stwierdzić nawet, czy to męczące uczucie nie

było skutkiem zachwiania systemu nerwowego, bo ten ostatnio rzadko dawał mu odpoczywać. Po powrocie z Padwy minuta po minucie, godzina po godzinie, dzień po dniu spodziewał się dzwonka do drzwi, a za nimi...

W miarę upływu tygodni oswoił się z tą ewentualnością. Dwa miesiące później stwierdził z pewnym zdziwieniem, że już o tym nie myśli. Tylko od czasu do czasu nagłe przypomnienie burzyło spokój, wywalczony wolą, stonowany upływem czasu i zwiewnością pamięci.

Jego zwiększoną nerwowość, wybuchy gniewu na przemian z apatią wszyscy brali za skutek ostatnich niepowodzeń. Pokłócił się z Dropakiem, trenerem kadry po Keveyu, którego pozbył się już wcześniej. Teraz zamiast na treningach i obozach, obaj więcej czasu spędzali antyszambrując w sekretariatach i wygadując jeden na drugiego niestworzone rzeczy. Światek szermierczy huczał od plotek. Więcej szans w tej walce dawano Jerzemu – ma praktykę, ale nikt nie był pewny wyniku. W końcu stało się oczywiste, że w takiej atmosferze nie ma po co jechać na igrzyska. Dropak trenerem kadry pozostał, ale Pawłowskiemu pozwolono trenować według własnego planu. Na zgrupowaniu nad Balatonem niegroźnie zwichnął nogę i był to wspaniały pretekst, by nie pokazywać się na sali treningowej.

Przechodził kolejny kryzys. Znowu nie chciało mu się ćwiczyć. Na myśl o tym, jak w gruncie rzeczy niepoważne jest to zajęcie, któremu poświęcił kilkanaście lat życia, jak nic nie znaczy wobec spraw świata na serio – drewniał i szabla sama wypadała mu z ręki.

Zaczęto szeptać, że to coś poważniejszego, może jakieś kłopoty rodzinne. Szef klubu wezwał go nawet na przyjacielską pogawędkę, ale nie dowiedział się niczego. Kryzys pogłębiał się i nie wiadomo, czym by się to wszystko skończyło, gdyby właśnie nie ów Dropak. Zamierzenie czy niezamierzenie, udając, że nie widzi siedzącego w kącie Jerzego, powiedział na głos, że era Pawłowskiego już się skończyła i że ten na olimpiadę najprawdopodobniej nie pojedzie.

Zagranie było dziecinne – nie wiadomo nawet, czy Dropak kiedykolwiek zdał sobie sprawę z wagi tych słów – ale to spowodowało, że Jerzy postanowił utrzeć mu nosa. Nagle zaczął trenować i – jak za dawnych lat – odnosić sukcesy. Na olimpiadę zakwalifikował się bez trudu. Wśród uśmiechów, poklepy-

wań i gratulacji czuł, że jeszcze jest coś wart, on i jego ambicja. Pojawiające się od czasu do czasu na horyzoncie widmo Padwy stawało się coraz bardziej zwiewne i wyblakłe. Stosunki z Dropakiem były zimne, lecz poprawne. Żaden nie ryzykował ostatecznej rozgrywki. Nie stwarzało to najlepszej atmosfery nawet tu, w Tokio, ale na szczęście gorączka przedstartowa zepchnęła wszystko na dalszy plan.

Uspokoiwszy się nieco poszedł do mikroskopijnej łazienki, wziął tusz, po czym ułożył się na kozetce i momentalnie zapadł w sen.

Ranek przyniósł wyjaśnienie wczorajszych niepokojów. Okazało się, że przeżył pierwsze w życiu trzęsienie ziemi. Nie było silne, gazety poświęcały mu zaledwie kilkuwierszowe wzmianki.

Dzień był ładny, więc po śniadaniu poszedł na spacer, ciesząc się niepowtarzalną atmosferą, jaka zawsze panuje tam, dokąd przybywa parę tysięcy młodych ludzi ze wszystkich stron świata. Ktoś wpadł na pomysł znakomicie rozwiązujący problem poruszania się po rozległym terenie wioski, wprowadzając małe rowerki. Od razu cieszyły się olbrzymim powodzeniem. Było ich w wiosce tysiące i w niektórych miejscach trzeba było uważać, by nie zostać staranowanym przez hożą dziewoję, pędzącą na złamanie karku. Niektórzy zresztą specjalnie wystawali w takich miejscach.

Polscy floreciści wymyślili zabawę w piłkę rowerowo-nożną na trawie i odtąd na placyku przed gmachem, gdzie mieszkali zbierała się coraz liczniejsza grupka kibiców nowego sportu. Jerzy wziął raz tylko udział w takim meczu, ale stłukł piszczel i od tego czasu postanowił udzielać się wyłącznie jako sympatyk tego sportu.

Przyglądał się właśnie splątanej grupie ludzi i rowerów, powstałej na próbie zastosowania do nowej gry niektórych elementów rugby, gdy ktoś delikatnie dotknął jego ramienia.

– Pan Pawłowski?

Zmartwiał. W jednej chwili znikł beztroski, wesoły świat, ustępując temu, o którym tak rozpaczliwie chciał zapomnieć. Świat Lunqvistów, Kowalskich, Willmanów, świat pytań, instrukcji, nazwisk. Odwrócił się z wysiłkiem. Stał przed nim młody człowiek z widocznym zdziwieniem obserwujący jego poszarzałą twarz.

– Co... Co panu jest?

Jerzy z trudem opanował się.

– Nie, nic. Czego pan chce ode mnie?

Młody człowiek się zmieszał.

– Ja? Nic specjalnego. Widzi pan, jestem wioślarzem w naszych czwórkach, a nazywam się tak jak pan, Jerzy Pawłowski. Pomyślałem sobie, że to zabawne.

– Zabawne? Co pan w tym widzi zabawnego? – Nie wiadomo, czy był bardziej zaniepokojony czy rozzłoszczony tą grą przypadku.

– Właściwie to... – młodzieniec był zbity ostatecznie z tropu.

Oj, da do wiwatu temu, który twierdził, że sławny Pawłowski to jest byczy chłop z dużym poczuciem humoru. Woda sodowa i tyle.

– Właściwie to pan ma rację. Przepraszam.

Odwrócił się na pięcie i energicznie ruszył przed siebie. Jerzy popatrzył za nim przez chwilę i powlókł się do swego domu. Na grających w piłkę rowerową kolegów nie zwrócił już więcej uwagi.

Według nowych przepisów, na olimpiadzie w eliminacjach bezpośrednich odpada się definitywnie po jednej przegranej walce do dziesięciu trafień. To jasne, że oprócz umiejętności trzeba mieć trochę szczęścia. Nie tylko jeżeli chodzi o rozstawienie, ale i o sędziów. Dwom florecistom tego szczęścia zabrakło. Parulski i Woyda odpadli. Za to Egon Franke miał szczęście jak nigdy przedtem. Złoty medal.

Jerzy kluczył usiłując uciec przed tymi, którzy chodzą za nim i przepowiadają zwycięstwo w szabli, jakby to już było postanowione. Zaszywa się w jakieś kąty, skupia.

Na razie daje to efekty. Eliminacje przechodzi gładko, jest w rozszerzonym finale. W klasyfikacji na drugim miejscu po zawodniku radzieckim, Marku Rokicie. Zaczynają się największe emocje – eliminacje bezpośrednie. Pawłowski walczy z przedostatnim zawodnikiem, Niemcem Köstnerem. Niebezpieczny, mimo dalekiego miejsca. Wysoki, długie ręce, a przy tym ruchliwy. Sędziuje Węgier, Palocs. Koło planszy zbiera się tłum. Walka do dziesięciu trafień i tylko jeden może pójść dalej. Cztery lata nadziei, treningu, przygotowań.

Pawłowski o wynik meczu jest spokojny. Uważa, że przeciwnik mimo swych zalet jest do pokonania. Walczył z nim wielo-

krotnie, ale Niemcowi tylko raz czy dwa udało się wygrać. Walka do dziesięciu trafień, więc będzie dość czasu, aby przykrócić ewentualne zapędy Köstnera. Powtarza to sobie i jest spokojny. Zbyt spokojny.

Zanim się obejrzał, Niemiec prowadzi 5:1! Oszołomiony obrotem sprawy, nie może się skupić. Zadaje jedno trafienie, a otrzymuje dwa. Widmo porażki dosłownie paraliżuje go. Od strony kibiców polskich dobiegają okrzyki, błagalne i przerażone, by się wziął w garść, by coś zrobił.

Przeprasza sędziego i ociera pot z czoła. Obejrzał się na swoich. Blade twarze, trzęsące się ręce raz po raz podnoszą do ust papierosy. Coś w nim pękło. Po komendzie „gotowi – naprzód" spokojnie paruje huraganowe ataki Köstnera, który jakby wyczuł, że sytuacja psychicznie się zmieniła. Rozpoczyna pierwszą swą akcję i ze stanu 7 : 2 dla Niemca doprowadza do remisu 7 : 7!

Tłum przy planszy coraz większy – to kibice pozostałych walk eliminacyjnych wyczuli, że coś się święci. Za chwilę Pawłowski prowadzi 8 : 7. Niebywałe. Niemiec wyrównuje, Pawłowski znów prowadzi 9 : 8. Oddycha głęboko z ogromną ulgą. I nagle atak Niemca – 9 : 9.

Wtedy zaczął się bać, że przegra definitywnie. Euforyczny nastrój sprzed minuty prysł bez śladu. Wystarczy cokolwiek: przypadek, pech i koniec. Zesztywniał kompletnie. Zamiast myśleć o trafieniu myślał o tym, aby nie dać się trafić. Zapomniał, że takie nastawienie, to najlepsza droga do przegranej. Zobaczył jak Niemiec wylatuje w powietrze, robi jakiś nieprawdopodobny piruet i padając głową w dół wali go jeszcze w prawy bok. Oszołomiony i przerażony próbuje jeszcze Köstnera trafić, ale... tryumfalny ryk zgromadzonych wokół Niemców podpowiada mu, że to już niepotrzebne.

Niemiec wyrusza w podróż na ramionach kolegów, a on sam wściekły i milczący, bez zwykłego dotychczas wiernego grona kolegów i trenerów, opuszczony i samotny jak gasnąca gwiazda, powłócząc nogami wraca do wioski olimpijskiej.

Już po medalowych szansach. Może za cztery lata, ale kto wie, co będzie za cztery lata? Gdy dochodzi do budynku zza rogu wypada młody wioślarz. Pawłowski nie chce teraz nikogo widzieć, nie chce słuchać wymówek lub, co gorsza, fałszywych pocieszeń. Chce być sam. Usiłuje więc bez słowa wyminąć

młodzieńca, ale ten zastępuje mu drogę.

– Przepraszam, szukałem pana. Nie wiedziałem, że już...

– A o co chodzi? – Pawłowski został zmuszony do zatrzymania się.

Młody człowiek wyciąga kopertę z napisanym na niej nazwiskiem.

– Dziś rano przyszło to do mnie olimpijską pocztą – mówi wyciągając rękę. – Adresowane było do mnie, więc otworzyłem – mówi jakby się usprawiedliwiał. – Ale to pewnie pomyłka. Ja nie znam nikogo, kto by mi chciał przysłać sto dolarów – teraz w jego głosie pobrzmiewają leciutko nutki ciekawości. – Więc myślałem, że to musi być dla pana.

Pawłowski bierze kopertę, wyjmuje i ogląda pojedynczy banknot z podobizną Franklina. Kto wie, co by się stało, gdyby nie pomyłka i gdyby dostał te pieniądze jeszcze przed rozpoczęciem turnieju?

Przez chwilę wydawało mu się, że na studolarówce jest nie Franklin, a podobny zresztą do niego, Lunqvist. Zwinął banknot i schował do kieszeni.

– Dziękuję – rzekł powoli. – To są rzeczywiście pieniądze dla mnie.

★

★ ★

Już dawno Kowalski nie widział wściekłego Lunqvista. Chodził nadspodziewanie wielkimi krokami, od czasu do czasu zatrzymując się i oglądając go niczym szczególny okaz biologiczny, godny dysertacji naukowej. Ta milcząca pantomima, przerywana jedynie posapywaniem trwała, jak na gust Kowalskiego, zdecydowanie za długo. Wreszcie Lunqvist zatrzymał się za swym biurkiem.

– Siadaj – warknął pokazując miejsce, a sam zajął swój fotel – kombinację rurek, skóry i sprężyn, który mógłby bez specjalnych przeróbek zrobić karierę w najelegantszych gabinetach dentystycznych.

Poczekał aż Kowalski ostrożnie przycupnie na brzegu swego, całkiem już normalnego fotela, po czym bezszelestnie odchylił się do tyłu i przez chwilę kontemplował sufit.

– Jak, do ciężkiej cholery, mogło do tego dojść? – Zapytał

wreszcie, kończąc obserwację sufitu, a zaczynając przewiercać oczyma Kowalskiego. Wyraz twarzy nie zmienił mu się przy tym ani trochę.

– Kto mógł przewidzieć, szefie – świdrujący wzrok zwierzchnika nie pomagał Kowalskiemu w kojarzeniu myśli. Cała misterna konstrukcja słowna, którą sobie przygotował, zmieniała się pod spojrzeniem Lunqvista w nieporadne jąkanie. – Poczta nas zmyliła.

– Poczta? Japońska poczta? Chcesz powiedzieć, że skorzystałeś z poczty?! – wzrok Lunqvista zmienił się gwałtownie, ale nie była to zmiana w kierunku, jakiego by sobie życzył Kowalski.

– Ze wszystkich idiotycznych pomysłów...

– Ależ szefie – Kowalski desperacko wszedł mu w słowo, wiedząc, że wszystko będzie lepsze od wysłuchania do końca tyrady swego przełożonego. – Nie poczta japońska, tylko olimpijska. Proszę mnie posłuchać. Ze względów bezpieczeństwa i powodów czysto organizacyjnych, wszystkie przesyłki do sportowców przechodzą przez centralne biuro, gdzie zgłaszają się wysłannicy poszczególnych ekip i raz dziennie zabierają pocztę dla swoich. W tym biurze można osobiście składać listy czy prezenty. I ja tak właśnie zrobiłem. Rzecz jasna, nie osobiście, a...

– Niech pan mi oszczędzi szczegółów, Kowalski – znacznie już spokojniej powiedział Lunqvist.

Konkrety zawsze go uspokajały. Kowalski odetchnął. Wiedział jednak, że w każdej chwili burza wzbudzona niepotrzebnym słowem może wybuchnąć z nową siłą.

– Tak więc złożyłem kopertę w tym biurze – podjął Kowalski. – I wtedy zdarzyły się dwa przypadki, których nikt nie mógłby przewidzieć, i to nawet pojedynczo, a co dopiero razem.

– Jakie znowu przypadki?! Czy pan nie wie, że w naszej robocie...

Lunqvist uważał, że coś takiego jak przypadek nie istnieje. Istnieje tylko i wyłącznie głupota ludzka, której wzorcowym przykładem był w tej chwili ten starający się ukryć drżenie głosu mężczyzna po drugiej stronie biurka. Trzeba się będzie rozejrzeć za kimś innym, może młodszym, a na pewno bardziej rozgarniętym.

– Powtarzam panu, że przypadek nie istnieje. Jedno zabez-

pieczenie nie wystarcza, to robi się następne, aż do skutku. Jakie to były przypadki?

– Okazało się, że w ekipie polskiej znalazł się zawodnik o takim samym imieniu i nazwisku. Wioślarz. Na domiar złego owego dnia zachorował Polak, który zwykle przychodził po ich listy i potem je rozdawał. Zamiast niego przyszedł ktoś przypadkowy i oddał list temu drugiemu. Ale, szefie, według naszych obserwacji, incydent ten nie wywołał żadnych reakcji czy podejrzeń. Moim zdaniem, bezpieczeństwo nie zostało naruszone.

– Tak myślisz? Ale zaraz, po kolei, żeby już do tego nie wracać. Po pierwsze, to nie są żadne przypadki, tylko twoja, Kowalski, bezmyślność. Wystarczyło sprawdzić listę zawodników i już byłoby wiadomo, że pomysł z pocztą jest ryzykowny. Po drugie, zanim zostawiłeś list trzeba było się upewnić co do sposobu ich przekazywania. Gdybyś to wszystko posprawdzał, może wpadłoby ci coś lepszego do głowy, chociaż słuchając teraz ciebie, nie byłbym już tego taki pewny.

Kowalski odetchnął jeszcze raz, tym razem głębiej. Kiedy Lunqvist przechodził do uszczypliwości, awantura była prawie nieodwołalnie zakończona. Nadchodził czas rozmowy, dyskusji i decyzji.

– Więc spuśćmy na ten incydent zasłonę miłosierdzia – Lunqvist istotnie wydawał się być pogodzony z tym, że ma nierozgarniętych współpracowników – i zastanówmy się co dalej z Pawłowskim. Tym naszym. A propos, ten wioślarz... Trzeba by się nad nim zastanowić. Może mógłby się nam przydać?

– Nie sądzę, szefie. Poniuchaliśmy trochę tam, na miejscu.

– A widzisz. Jak chcesz, to potrafisz. – Lunqvist był zadowolony. – Tak właśnie trzeba działać. Z wyprzedzeniem, dynamicznie. Delikatnie, a jednocześnie z wyobraźnią. No i co o nim?

– Nic dla nas ciekawego – Kowalski pozwolił sobie na wymowne skrzywienie. – Młody chłopak z jakiejś wsi, to jego debiut. Szkoda czas tracić.

– Jak na razie, Kowalski, jak na razie. Jeszcze wszystko może się zdarzyć. Teczka założona?

– Szefie... – jęknął Kowalski i spojrzał z wyrzutem na Lunqvista.

Ten uśmiechnął się w duchu. Dał mu dziś nauczkę. Oby starczyło na długo. Przyszła mu nagle pewna myśl do głowy. Przy-

sunął do siebie biurowy notatnik, prezent od pewnego angielskiego kolegi z zaprzyjaźnionej instytucji, i zapisał dwie linijki drobnymi, tajemniczymi znaczkami. Kowalski przyglądał mu się z zainteresowaniem. Wiedział, że był oto świadkiem narodzin jakiegoś pomysłu szefa, dzięki którym cieszył się on pewną renomą w kierowniczych kręgach Langley. Lunqvist podniósł oczy i zauważył wzrok Kowalskiego.

– Właśnie przyszła mi do głowy pewna idea – uśmiechnął się tym swoim chłodnym uśmieszkiem. – Zrelacjonuję ją dyrektorowi na najbliższej odprawie. Właściwie nasunęła mi ją nasza rozmowa. Może się domyślasz?

– Szefie, gdzież mi tam – Kowalski przybrał odpowiednio zawstydzony wyraz twarzy.

– No to ci powiem – Lunqvist zamknął notatnik. – Chodzi o to, aby takie imprezy były dokładniej obsługiwane przez naszych ludzi. W tym tyglu kryją się dla nas spore możliwości.

– Przepraszam, ale przecież my to robimy od dawna.

– Ale nie w zorganizowany sposób. – Lunqvist z powrotem opadł na oparcie fotela. – Do tej pory nasi ludzie kręcili się tu i tam, i czasami coś się udawało. Trzeba wysłać zorganizowaną grupę. Z dokładnym podziałem obowiązków. Z przygotowanymi specjalistami technicznymi, żeby po byle mikrofon nie chodzić z prośbą do znajomych. Z odpowiednimi funduszami. Z kimś, kto na miejscu będzie podejmował wiążące decyzje. Zastanowię się jeszcze.

Kowalski spuścił głowę. Po dzisiejszej rozmowie nie robił sobie dużych nadziei na objęcie kiedyś, w przyszłości, kierownictwa takiej grupy. Chyba, żeby się bardzo starał.

– Pomyślimy jeszcze o tym – Lunqvist doskonale wiedział, co się dzieje w duszy Kowalskiego i to właśnie chciał osiągnąć.

Cały czas marchewka musi być w zasięgu pyska. Wtedy najefektywniej wykorzystuje się siły delikwenta.

– A gdzie kolejne spotkanie z Pawłowskim? Może już wiesz?

Kowalski wyciągnął notes. Nie żaden prezent, tylko taki kupiony za grosze u Woolwortha.

– Powinien być za pięć miesięcy w Brukseli. Na turnieju „Challenge Martini".

– Bruksela? – Lunqvist potarł w zamyśleniu brodę. – Ładne

miasto. Byłeś tam kiedyś? Nie? No to się tam wybierzemy. Masz sporo czasu, by zamówić pokoje. Dla mnie w „Palace Hotel". A na spotkanie w „President Hotel". Będziesz pamiętał? Koniecznie „President"!

★

★ ★

Z leżącej obok na wolnym fotelu gazety twarz Johnsona zdawała się nie spuszczać z niego oczu. Fotografia była zrobiona podczas wygłaszania telewizyjnego orędzia do narodu, w którym obwieszczał, to, co od dawna było wiadome wszystkim zainteresowanym wywiadom świata, a zaraz potem opinii publicznej. Naloty na Wietnam trwały w najlepsze, mimo wcześniejszych obietnic i deklaracji. Pawłowski wyjrzał przez okienko viscounta, którym Sabena obsługiwała linię Warszawa–Bruksela.

Do lotniska Diegem było jeszcze trochę czasu. Wziął gazetę do rąk i przejrzał bez zbytniego zainteresowania. „Titan 3 wystrzelony z Przylądka Kennedy'ego". Co za kraj! Z jednej strony lecą nad Dong Hoi, a z drugiej w kosmos. Urzeczywistnienie marzeń ludzkości... „Papież Paweł VI o sprawie pokoju", „Depesza Kosygina do Czou En-laja", „Członkowie Gromady u ministra Spychalskiego". Położył znów gazetę na pustym miejscu i pogrążył się w rozmyślaniach.

Po powrocie z olimpiady, gdzie zaledwie drużynowo zdobyli brązowy medal, rzucił się znowu w wir treningów. Dziwna rzecz – mimo że wkładał w nie maksimum wysiłku, wyniki nie były zachwycające. Co się dzieje? Czyżby jednak kryzys był długotrwały, zwiastujący najgorsze, koniec? Nie chciał o tym myśleć. Postanowił się odprężyć. Wyjechał na działkę pod Warszawą. Starym, przeżartym przez rdzę szpadlem brał się do niwelowania terenu. Spocił się wkrótce, wykopując z zaciekłością jakieś cegły i kamienie. Słońce przygrzewało coraz silniej, z poruszonej gleby bił intensywny zapach próchnicy, słodko-gorzkawy, kręcący w nosie. Przysiadł na chwilę na resztkach starego, walącego się murku ogradzającego jego posiadłość od północy i wystawiwszy twarz ku słońcu przymknął oczy...

★
★ ★

Hotel „Colonies" lata swej świetności już dawno miał za sobą. Mieścił się w ponurym, wysokim domu przy Rue des Croisades, niewielkiej uliczce równoległej do Boulevard du Jardin. Naprzeciwko hotelu stali w rzędzie jeden obok drugiego jego sąsiedzi, mniejsi i jeszcze biedniejsi, lecz im brakowało chętnych nawet do wynajęcia pokoju na godziny, a głównie takie usługi tu oferowano.

Rue des Croisades miała zaledwie około dwustu metrów długości, a hotel „Colonies" swym standardem zdecydowanie przewyższał inne, co zresztą nie było wielką sztuką. Polacy zatrzymywali się tu zawsze, głównie ze względu na niskie ceny, co przy ich dietach miało niebagatelne znaczenie. Co prawda obecnego organizatora – po raz pierwszy urządzającego turniej „Challenge Martini", R. Birona de Schrevera – stać było na opłacenie bardziej eleganckich kwater, ale z przyzwyczajenia wylądowali na starych śmieciach. Ulica kończyła się na Place Rogier i tu, na rogu Rue Gineste i Boulevard du Jardin znajdował się hotel zupełnie inny. Niewysoki, sześciopiętrowy gmach, najwyraźniej z przedwojennego okresu. Ciężkawa, szara bryła upstrzona w każdym pionie innymi oknami. Od zewnątrz nie prezentował się zbyt okazale, ginąc w cieniu stojącego opodal olbrzymiego, nowoczesnego wieżowca z reklamą „Martini" na szczycie. Wewnątrz był jednak wygodny, tą staroświecką wygodą, która nie potrzebuje fotokomórek i szybkobieżnych wind, a tylko sprawnej, niemal niedostrzegalnej obsługi.

Rue Gineste schodziła nieco w dół od Boulevard du Jardin, następnie wracała do poziomu i przy tym właśnie jej odcinku znajdowało się wejście reprezentacyjne, osłonięte ukośnym betonowym daszkiem z nazwą po bokach „Palace Hotel". Lunqvist musiał więc zrobić parę kroków pod górę, skręcić w prawo do Place Roger, ostrożnie przejść przez jezdnię, aby po drugiej stronie znaleźć się w Boulevard Adophe Max. Tu, niedaleko rogu Rue de Malines, pod numerem 107 znajdował się jeszcze jeden hotel, zupełnie nie podobny do tamtych dwóch. Była to przeszklona, wyłożona marmurem bryła z trudnością mieszcząca się wśród mieszczańskich kamieniczek.

Ulica była wąska, na dole panował mrok, ale dzięki kilkunastu

małym żaróweczkom, bez przerwy oświetlającym wejście i nazwę hotelu „President", Lunqvist trafił bez trudu. Uczyniłby to zresztą i w braku tych ułatwień, bo trasę łączącą oba hotele przemierzał tak często, iż mógłby trafić nawet z zamkniętymi oczyma. Bez wielkich ceregieli pchnął szklaną taflę drzwi i wszedł do środka. Nie zatrzymywany przez nikogo, może dlatego, że było dość wcześnie jak na zadawanie niedyskretnych pytań, o ile ktokolwiek jeszcze takie pytania mógł tu zadawać, przeszedł niewielki hall i wsiadł do windy.

Była to nowoczesna klatka z migającymi lampkami, z pamięcią, omal nie recytującą na wyrywki Szekspira i może dlatego Lunqvist tu się zawsze zatrzymywał. Elektronicznej techniki miał dość w pracy, więc jak tylko mógł, to od niej uciekał. Nacisnął guzik z numerem czwartym, światełka rozbłysły, coś elektronicznie zaśpiewało i winda ruszyła w górę. Właściwie to teraz także pracuje. A w każdym razie zaraz zacznie, więc nie ma co grymasić. Kabina płynnie wyhamowała i Lunqvist ruszył w odległy koniec korytarza, do drzwi opatrzonych numerem dwadzieścia pięć.

Otworzył bez pukania. W wąskim i wysokim pokoju dwaj czekający nań mężczyźni wydawali się mniejsi niż w rzeczywistości. Lunqvist spojrzał przez osłonięte tiulową firanką okno na domy po drugiej stronie ulicy i zmarszczył brwi.

– Zaraz, szefie – Kowalski zerwał się i podszedł do okna.

Lunqvist pokręcił głową z dezaprobatą, ale gdy wyciągnął dłoń do Pawłowskiego, był już uśmiechnięty, jak zwykle półgębkiem.

– Witam, Jerzy – poczekał, aż Kowalski w półmroku powstałym po zaciągnięciu kotar dotrze do wyłącznika i zapali świetlówki ciągnące się wzdłuż ściany. Po chwili startery zadziałały i pokój zalała fala sinego światła, w którym wyglądali jak klienci trupiarni. Lunqvist skrzywił się nieznacznie. W takich warunkach nie można pracować. Widocznie od jego ostatniego pobytu dokonano modernizacji.

W jednej chwili zmienił plan. Miał zamiar przeprowadzić długą intymną rozmowę, ale pogawędki z kimś, kto wygląda jak topielec nie należą do przyjemności. Gdy w końcu wszyscy się rozsiedli, bez wstępu przystąpił do rzeczy.

– Musimy porozmawiać dłużej, ustalić plan działania.

– Tu nie mogę – przerwał Jerzy pośpiesznie.

Lunqvist przyjrzał mu się dokładnie. Wyglądał na zmęczonego, cienie pod oczami były głębokie, twarz poszarzała. Nie wiadomo, czy to za sprawą oświetlenia czy z innej przyczyny, ale Pawłowskiemu jakby przybyło dziesięć lat.

– Wyrwałem się tylko na chwilę. Zaraz muszę wracać. Za godzinę mam start.

Lunqvist skinął głową.

– Wiem o tym – w rzeczywistości dowiedział się dopiero teraz. – Tu faktycznie nie ma warunków. Chcieliśmy się tylko z tobą zobaczyć, przypomnieć ci o nas.

– I tak pamiętam doskonale – uśmiech Pawłowskiego był smętny.

– Trzeba to będzie jakoś inaczej urządzić – Lunqvist jakby nie słyszał rzuconej przed chwilą uwagi. – Kiedy i gdzie będziesz następnym razem na Zachodzie?

– W lipcu. Na mistrzostwach świata w Paryżu – odparł potulnie.

Lunqvist zastanawiał się przez chwilę.

– Pomyślimy – powiedział w końcu. – Musisz postarać się znaleźć trochę czasu dla nas. Trzeba będzie ciebie trochę podszkolić, żebyś wiedział jak zapewnić sobie bezpieczeństwo. Strzeżonego pan Bóg strzeże.

Lunqvist spojrzał na pusty stolik, przy którym siedzieli.

– Napijemy się?

– Ja na pewno nie – odparł Pawłowski. – Wasze alkohole mi szkodzą.

Lunqvist obruszył się nieznacznie.

– No wiesz... Teraz nie musisz się obawiać. Przecież jesteś naszym kolegą. Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Zrozum, że przecież nie tak to inaczej, a doprowadziłbym do tego, że byłbyś z nami. Szkoda więc było czasu. Zresztą wielka krzywda ci się nie stała.

Pawłowski spojrzał na niego z niedowierzaniem. Kpi czy o drogę pyta?

Lunqvist siedział jednak spokojnie i obserwował jak Kowalski krząta się, szykując drinki.

– Mimo wszystko dziękuję. Zaraz mam start.

Lunqvist nie nalegał. Popijał z podanej mu przez Kowalskiego szklanki.

– A co poza tym u ciebie?

Pawłowski wzruszył ramionami.

– Nic nowego. Trenuję. Startuję. Z różnym skutkiem.

– Żadnych kłopotów nie miałeś w Tokio? Nie zapraszali cię na rozmowę? Nikt nie łazi za tobą?

– Za mną? – Pawłowski bardziej obruszył się niż zdziwił. – Po co?

Lunqvist pokiwał głową, jakby się nie mógł pogodzić z myślą, która mu przyszła do głowy.

– No, to w porządku. Masz – wyciągnął banknot, poza paroma cyframi numeru serii identyczny z tokijskim. – Na drobne wydatki.

– Nie chcę – Pawłowskiemu wciąż trudno było brać pieniądze.

Wymyślił teorię, że dopóki nie bierze to ten fakt, w razie czego, będzie decydującym argumentem na jego korzyść. W Tokio nosił się z dolarami aż do przedostatniego dnia, kiedy ujrzał na wystawie urocze radyjko z budzikiem, termometrem, barometrem i stoperem. Brakowało jedynie wodotrysku, ale mimo to nie wytrzymał i kupił. Tam było jednak trochę inaczej, nie tak z ręki do ręki.

– Nie wygłupiaj się, bierz. Policzymy się w Paryżu, po uzgodnieniu twego wynagrodzenia. To przecież biznes, a gdzie biznes, tam pieniądze. Bierz, nie mam czasu na przekomarzanie się z tobą.

Trzy dni później, gdy prosto z „Maisons de Ecsrime" – nowoczesnej hali, gdzie rozgrywany był turniej – jechali na lotnisko, cała trasa udekorowana była flagami narodowymi Belgii i Polski. Dokładnie tego samego dnia minister Rapacki przyleciał z kurtuazyjną wizytą do ministra Spaaka.

★

★ ★

W kilka minut po wylądowaniu samolotu z Hamburga, w głównym wejściu z hali przylotowej lotniska Tempelhof w Berlinie Zachodnim pojawił się młody mężczyzna ubrany w dżinsy i skórzaną kurtkę ze ściągaczem przy pasie i rękawach. Przez ramię miał przewieszoną lotniczą torbę „Lufthansy". Żadnego innego bagażu, z czego można było wnosić, że dłuższego pobytu nie planował. Przeciął plac Luftbrücke i wzdłuż Tempelho-

fer Damm dotarł do stacji metra Flughafen.

Przestudiował schemat połączeń umieszczony przy wejściu na perony, ale widać było, że robi to raczej z nudów niż z ciekawości, czekając na właściwy pociąg. Gdy ten nadjechał, był tak zagapiony, że w ostatniej chwili zdążył wskoczyć do wagonu.

Obrzucił roztargnionym spojrzeniem umykający peron, lecz nie zauważył żadnych objawów paniki czy dezorjentacji w niewielkiej grupce ludzi, którzy zostali na stacji. Na Mehring-Platz przesiadł się. W nowym wagonie zajął miejsce w głębi przedziału i siedział nieruchomo aż do stacji Zoologischer Garten. Tu znowu w ostatniej chwili udało mu się opuścić wagon i lekko zdyszany znalazł się na Breidschield Platz przed okazałym kompleksem Europa-Center. Odsapnąwszy, ruszył wzdłuż jego północnej ściany. Kilkadziesiąt metrów dalej przeszedł przez jezdnię Budapester Strasse i po chwili znalazł się przed bocznym wejściem do zachodnioberlińskiego ogrodu zoologicznego.

Żwirowanymi alejkami zwierzyńca, założonego w 1844 roku przez Aleksandra von Humbolta, dotarł do niewielkiego pawilonu nad stawem. Ogarnęła go ciemność. Dopiero po chwili oczy przywykły do mroku. Wzdłuż ścian ciągnęły się rzędem skąpo oświetlone zieloną poświatą prostokąty akwariów z majestatycznie żeglującymi rybami tropikalnymi.

Panowała poranna cisza, za wcześnie było na tłumy zwiedzających. Dopiero po chwili usłyszał przytłumione sapanie kompresora tłoczącego do zbiorników srebrzyste bąbelki powietrza. Środkiem pawilonu stały w rzędzie, oparciami do siebie, dwustronne, wmurowane w podłogę, betonowe ławki z drewnianymi wykładzinami. Młody człowiek usiadł na jednej z nich, umieszczonej na wprost basenu i zdawał się być bez reszty pochłonięty obserwacją ryb, przywiezionych do Europy z Amazonki.

Mimo że młodzieniec wpatrzony był w ich sylwetki, podobne do pływających pionowo kolorowych i delikatnych liści, jego palce bezbłędnie trafiły w niewielką szparę między siedziskiem a betonową konstrukcją ławki. Po chwili dłoń znalazła się w kieszeni kurtki. Nie upłynęła minuta, gdy wstał, przelotnym spojrzeniem obrzucił opustoszałe wnętrze pawilonu, zarzucił sobie lotniczą torbę na ramię i skierował się ku wyjściu.

Zmrużywszy oczy spojrzał na zegarek i spokojnym krokiem pomaszerował przez ogród, nie zatrzymując się już nigdzie po drodze. Z dokładnością przewidzianą w harmonogramie, po dwudziestu trzech minutach znalazł się przed dworcem lotniczym Tempelhof, akurat na czas, by wsiąść do autobusu tranzytowego wiozącego nielicznych pasażerów na lotnisko Schönefeld w Berlinie, by mogli dalej kontynuować podróż do Amsterdamu, Belgradu, Brukseli, Budapesztu, Bukaresztu, Damaszku, Helsinek, Kairu, Kijowa, Kopenhagi, Londynu, Moskwy, Nikozji, Paryża, Pragi, Sofii, Sztokholmu, Wiednia czy Zagrzebia. Albo do Warszawy.

★

★ ★

Rozległ się cichy, melodyjny brzęczyk i Lunqvist niecierpliwie chwycił za słuchawkę.

– Paryż na linii – zameldowała Jane i delikatne pyknięcie wskazało, że został z rozmówcą sam na sam.

– Dzień dobry, szefie – mimo odległości, mimo przejścia przez różne łącza i radiolinie, a zwłaszcza przez skomplikowany system szyfratorów i deszyfratorów, praktycznie uniemożliwiających włączenie się kogoś niepowołanego, głos Kowalskiego był wyraźny i bez zniekształceń. Tylko od czasu do czasu, gdy zalegała cisza jak w tej chwili, dawał się słyszeć szum o zmiennej modulacji, który znikał w momencie, gdy słowa znów wyruszały w podróż przez pół kuli ziemskiej.

– Dzień dobry. Melduj – Lunqvist przełączył aparat i szczekliwy głos Kowalskiego wypełnił pokój.

– Wszystko w porządku szefie. Nasza grupa zabezpieczająca nie stwierdziła żadnych kontaktów. Jest czysty, nikt za nim nie chodził.

– Dobrze – Lunqvist postarał się, by nie było słychać satysfakcji w jego głosie.

Na razie wszystko szło według planu.

– Dalej.

– Mistrzostwa odbywają się w drugim tygodniu lipca. Program spotkań mają bardzo napięty. W biurze powiedzieli mi, że Polacy przyjeżdżają dzień przed, a wyjeżdżają dwa dni po zawodach, więc nie wiem...

– Posłuchaj uważnie. Musimy się trochę za niego wziąć. Zaloty trwają już trochę za długo. Powiedziałeś lipiec? To dobrze się składa. Zafundujemy mu po zawodach małe wakacje.

– Nie wiadomo, czy mu pozwolą. Przyjeżdża z żoną.

– Tym bardziej się postara. Przecież on tam ich okręcił wokół palca. Jego sprawa, żeby się zgodzili.

– A jeśli jednak?

– Przestań zawracać głowę – zdenerwował się w końcu Lunqvist. – Musi i tyle. Nie obchodzi mnie jak. Nie twoje zmartwienie. Twoje będzie inne. Rozejrzyj się za jakąś malowniczą okolicą, żeby to wyglądało rzeczywiście na wakacje. Tam z nim popracujemy. Przypominam ci jeszcze raz: delikatnie. A ty zawsze wrzeszczysz.

– Kiedy on mnie czasami denerwuje.

– Co to, do diabła! – rozsierdził się nie na żarty Lunqvist. – Ty co, w ochronce pracujesz? Może ci zafundować psychologa? Jaki jest, taki jest, a ty musisz działać tak, żeby to było najbardziej efektywne. Własne stresy likwiduj podczas weekendów. Albo zmień robotę. Może ci pomóc?

– Ależ szefie... – już nie szczekliwy, a raczej skomlący głos Kowalskiego rozległ się w głośniku.

– Nie będę dwa razy powtarzał. Jasne? A teraz słuchaj dalej. Tuż po zawodach odezwiesz się do niego. Grzecznie! Pogratuluj wyniku, jaki by nie był. Zarezerwuj mu hotel i przejazdy. Czekaj – zamyślił się. – Ja też będę, bo kto cię tam wie... Weź mi coś lepszego. Czeka nas fura roboty, trzeba mieć gdzie wypocząć. Weź z placówki swoje zabawki. Będziesz mieszkał tam gdzie oni. Musimy wiedzieć, co u niego słychać. To chyba wszystko – o tym, że Kowalskiemu również przydałyby się lepsze warunki do wypoczynku, nawet nie pomyślał. – Zaraz, zaraz, gdzie by to urządzić? A co byś powiedział na Lazurowe Wybrzeże?

★

★ ★

Od hoteliku pani Basi do Stade de Coubertine było niewiele ponad trzysta metrów wzdłuż wschodniej granicy Lasku Bulońskiego.

Hotel był skromniutki, ceny również, a pani Basia, od wojny

osiadła w Paryżu, starała się, by niczego nie brakowało. W ekipie pełna mobilizacja. Olek nie odstępuje ich na krok dbając o pełną formę kandydata na mistrza. Na mistrza, ponieważ uznano, że Jerzy ma największe szanse, by wejść do finału i zwyciężyć. Pierwsze eliminacje przebiegają dla większości faworytów bez niespodzianek. Potem jeszcze jedna i już ćwierćfinał. Następnego dnia eliminacja bezpośrednia.

Tu już zaczynają się problemy. Co prawda system ten daje jeszcze szansę w repasażach, ale przecież wiadomo, że jeżeli nie wyeliminuje swych rywali, to sam odpadnie. Żona jest pierwszy raz z nim na mistrzostwach świata i od rana nie opuszcza hali. Trochę to przeszkadza, ale z drugiej strony...

Do rundy ósemkowej wchodzi bez problemu. Dawno już mu się tak dobrze nie walczyło. Jakby znikły gdzieś kłopoty i zmory, zwłaszcza jedna z nich. Jakby nie spędził setek godzin na treningach, jakby nie było tych trudnych momentów, kiedy się ma wszystkiego dość, chce się rzucić z rozmachem, aż zajęczy, szablę i maskę i pójść gdzieś przed siebie.

W ekipie są przekonani, że ma zapewnione już miejsce w finale, gdyż ostatnią przeszkodą jest Włoch Cesare Salwadore, zawodnik zdecydowanie słabszy.

Ale kto może być pewny czegoś w sporcie do końca? Gdy wywołują ich walkę, Pawłowski jest trochę zmęczony, natomiast Włoch – jakby chciał zmienić niepochlebną opinię o sobie – atakuje z furią i trafia. Jerzy szybko przezwycięża kryzys i zaskoczenie, ale impet Włocha działa deprymująco. Pierwszą walkę wygrał zaledwie jednym trafieniem, drugą przegrał do trzech i o wszystkim ma zadecydować ostatnia, trzecia walka.

Włosi już szaleją z radości. Im w ogóle niewiele trzeba, całą grupą masują Salwadoremu nogi, hałas czynią niemożliwy, a jego przeciwnik...

Chodzi samotnie po planszy, tam i z powrotem, zły na siebie, że tak mu nie idzie, że brzydko walczy. O niczym innym nie myśli, a zwłaszcza o przyszłości, tej dalszej, na razie skrytej za horyzontem zdarzeń. Kątem oka dostrzega opuszczoną głowę żony i to mu bynajmniej nie dodaje otuchy.

Zaczynają trzecią rundę. Idzie źle. Włoch prowadzi już 4 : 3. Trzeba się zmobilizować, bo za chwilę będzie po marzeniach. Udało się trafić – niezbyt jednak czysto. Włosi reklamują jak opętani, wrzask niesie się pod rozgwieżdżony lampami sufit

sali, ale na szczęście sędzia jest nieugięty i stwierdza 4 : 4.

Tego było za dużo dla Salwadora. Zbity z pantałyku, na pewno zdenerwowany, rusza rozpaczliwym atakiem, bez przygotowania. Więc teraz już bez najmniejszego wysiłku trafia go w głowę cięciem wyprzedzającym i – gdy tylko sędzia machnął ręką w stronę Włocha – szczęśliwy z końca tego koszmaru biegnie do swoich. Ci go poklepują, ale i podszczypują, że tyle kazał im przeżywać, a to przecież dopiero wejście do finału.

Późnym popołudniem wracają znaną już na pamięć drogą do hali. Zaprzyjaźniony fryzjer, stojąc na progu swego zakładu, pozdrowił go słowem „merde!", co w tym wypadku znaczy „złam kark" – i już wiadomo, że ten finał trzeba wygrać. Wygrać też dlatego, że prezes tak dziwnie patrzy, żona jeszcze nieudobruchana, a i sala pełna Polonusów zaciska kciuki na szczęście. Podchodzą różni: „Wygraj Jurek, albo porachujemy ci kości!"

Poznał już dobrze pokrętne, a raczej trywialnie proste dusze kibiców, u których od miłości do nienawiści nawet nie jeden krok, a jedno uderzenie serca. Świadomość taka nie poprawia samopoczucia, ale przecież wszyscy wiedzą, że mistrz czegoś tak ludzkiego jak złe samopoczucie mieć nie może. Ma tylko wygrywać i biada mu, jeśli tego nie uczyni.

Po Tokio dwóch dziennikarzy, nie ruszając się na krok z Warszawy, napisało reportaż z olimpiady, z którego wynikało, że Pawłowski skończył się zanim się naprawdę zaczął, że nadszedł kryzys w polskim sporcie, a już zwłaszcza w szermierce, że pora wyciągnąć wnioski personalne, co mówiąc po prostu oznacza, że najwyższy czas wylać kogoś na zbitą mordę, a najlepiej wszystkich.

Czasami wręcz z nienawiścią obserwował tę zgraję reporterów, która zawsze wszystko wie lepiej, protekcjonalnym tonem udziela porad mistrzom, podczas gdy sami, po wejściu na trzecie piętro długo nie mogą złapać tchu.

Ciekawe co napiszą po tych mistrzostwach.

Finał idzie nieźle. Wściekłość, jaką w sobie wyzwolił na pismaków, owocuje. Idzie jak burza i dopiero na samym końcu, kiedy już nieco ochłonął, przegrał jedną walkę. Z wynikiem cztery zwycięstwa, jedna porażka musi czekać na rezultaty innych walk finałowych. Konkurentów właściwie nie ma, wszyscy przegrali więcej od niego i tylko jeżeli Węgier, Meszeny wygra

toczącą się właśnie walkę, będzie musiał odbyć się baraż o pierwsze miejsce.

Ledwo zdążył się przelotnie zmartwić, że ostatnio coraz częściej swą dawną, naturalną zadziorność musi wspomagać sztuczną irytacją, kiedy ryk Węgrów sprowadza go na ziemię. Meszeny wygrał. Za chwilę walka o tytuł mistrza świata. I właśnie wtedy...

Właśnie wtedy dała znać o sobie jego legendarna koncentracja, o której istnieniu prawie już zapomniał. Tak dawno to było, że gdy znów spłynął na niego wielki spokój, gdy zmysły z niebywałą szybkością rejestrowały otaczający go świat, przenosząc do chłodnego mózgu precyzyjnie uporządkowaną informację – więc gdy to się stało, był bardziej zaskoczony niż uradowany. Trwało to zresztą sekundę, wszystko gdzieś znikło, był tylko on i Meszeny.

Dotyka lekko jego klingi i – to niebywałe – czuje momentalnie, że tamten jest świadom tego prawie boskiego stanu, że świadomość ta mu nie pomaga, że gdzieś w nim zapalają się, na razie pojedyncze, płomyczki paniki, nieuchronnie zmieniające się w wielki pożar, po którym nie zostanie nic. Czuje, że Meszeny po prostu się boi. Wie, że Węgier jest groźnym przeciwnikiem, wszak byle kto nie trafia do finału, zwłaszcza niebezpieczne są jego parady. Wyraźnie widzi po całej sylwetce przeciwnika, że ma tremę.

Przez długie sekundy nie robią obaj nic. Stoją naprzeciw siebie, czekając nie wiadomo na co. To znaczy on, Pawłowski doskonale wie. Wie, że w takich sytuacjach pośpiech to zguba. Ostatnio kilka razy miał się o tym dotkliwie przekonać i nauka w las nie poszła. Niech Meszenemu będzie śpieszno. Tym bardziej, że widzi jak z upływem czasu przewaga psychiczna Pawłowskiego rośnie.

I w końcu stało się. Cud tak rzadki, przez lata może raz, może trzy będący udziałem zawodnika. Nie siła jest tu najważniejsza. Meszeny nie wytrzymał nerwowo, zgubiła go szansa zdobycia tytułu. Rozpadł się, znikł. Było po walce. Przegrał 5 : 0.

Przez dobrych parę minut Jerzy nie dotykał podłogi, żeglując w powietrzu na dziesiątkach rąk przyjaznych, serdecznych, życzliwych.

Na hali grzmi Mazurek Dąbrowskiego, a Polonusom lecą z oczu łzy.

A w trzy dni później, w przejściu podziemnym na Place de la Madeleine Kowalski – złożywszy gratulacje i dowiedziawszy się, że szef ekipy w nagrodę pozwolił na przedłużenie pobytu we Francji – polecił mu udać się do biura Cooka przy Rue Royale i miłej panience w trzecim okienku podać swoje nazwisko.

★
★ ★

Właśnie przed chwilą minęli Aix-en-Provence i międzynarodową trasą E-1 podążali w kierunku Cannes. Było gorąco, z nieba nie urozmaiconego ani jedną chmurką lał się monotonny żar, wszystko wokół wydawało się jaśniejsze o jeden ton niż być powinno. Rozgrzane powietrze sprawiało, że dopędzane przez nich samochody dopiero z bliska stawały się mniej więcej normalnymi autami, a nie rozedrganymi widmami, jakimi były jeszcze parę sekund temu na horyzoncie. Wewnątrz samochodu sunącego z podniesionymi szczelnie wszystkimi szybami panowała umiarkowana temperatura dzięki włączonej klimatyzacji. Było cicho, tylko od czasu do czasu dawał się słyszeć – podobny do szumu przelatującej strzały – odgłos pracujących gum wyprzedzanego samochodu.

Lunqvist siedział z tyłu po prawej stronie. Miał na sobie letni garnitur z materiału w delikatne biało-niebieskie paseczki. Od czasu do czasu, pokonując mimowolny dreszcz, z obojętną miną obserwował wzgórza po obu stronach autostrady, porośnięte gdzieniegdzie kępkami jakby zakurzonych krzewów jałowca wśród trawy wyprażonej słońcem na kolor bladego złota. Po jednym, szczególnie dokuczliwym ataku dreszczy spojrzał na kierowcę.

– Przykręć trochę klimatyzator. Chcesz mnie wykończyć w tym chłodzie.

Kowalski, ubrany w rzetelną, ciemną wełenkę, pochylił się i przesunął dźwignię air-condition na neutralną pozycję. Ale sam już po chwili zaczął się pocić.

Minęli Saint Maximin-la Ste-Baume. Wzgórza urosły i autostrada poczęła się wyginać łagodnie to w jedną, to w drugą stronę. Męczyło to trochę przy takiej szybkości, jaką rozwijali.

– Radzę ci nie zapomnieć o tym, co mówiłem – Lunqvist

odezwał się po chwili. – Sprawa forsy jest drażliwa. To nie jest facet, który dla dwustu dolarów straci przytomność. Trzeba go umiejętnie podbechtywać. Działać raczej na ambicję niż na kieszeń. Od tego spotkania wiele zależy. Przekonamy się, co on naprawdę jest wart. W razie czego trzeba w niego wmówić, że będzie znakomitym agentem. Taki doktor Żiwago do kwadratu.

– A forsa? – Kowalski był wpatrzony w szosę, ale widać było, że słucha uważnie. – Coś trzeba będzie z tym zrobić.

Lunqvist zastanowił się.

– Zrobimy tak. Na każdym spotkaniu będzie dostawał niewielkie sumy. Powiedzmy pięćdziesiąt dolarów. On jest taki, że prędzej weźmie mniej niż więcej. Wydaje mu się, że w ten sposób panuje nad sytuacją.

– A jeżeli zechce więcej? Prędzej czy później każdy chce.

– To dostanie. Będzie chciał sto, dostanie sto. Dwieście, to dwieście. Trzeba weń wmawiać, że cena dla nas nie ma większego znaczenia. Zresztą, rzeczywiście nie ma.

Mijali rozwidlenie drogi. Parę kilometrów w prawo – jak głosił napis przeciągnięty w poprzek całej autostrady – było Cannes. Kowalski zwolnił nieco i dopiero, gdy wielopoziomowe rozjazdy zostały za nimi znowu przyspieszył. Prowadził pewnie, z tą nieuchwytną umiejętnością, która pozwala lepszemu od niego kierowcy, jakim był kiedyś Lunqvist, nie prowadzić odruchowo razem z nim.

– Kiedy już zacznie brać – podjął, gdy zwiększyli szybkość – powie mu się jeszcze, że to grosze, a prawdziwe honorarium będziemy składać mu co miesiąc na konto.

– A będziemy?

– Przecież to nie ma znaczenia. Konto można odblokować i zablokować. Założyć i skasować. I zwykle robi to ten, kto daje pieniądze, a nie ten, kto chce je wziąć. Wszystko jest możliwe.

Zapanowało milczenie. Mimo szybkości odgłos pracującego silnika całkowicie zginął w delikatnym szumie rozcinanego powietrza i tylko tempo, z jakim uciekały do tyłu całkiem już wysokie górki, potwierdzało wskazania tachometru.

– Ale pamiętaj przede wszystkim o jednym. Wbijam ci to do głowy od samego Paryża i byłoby lepiej, żeby w niej zostało. Z nim trzeba jak z jajkiem od anemicznej kury. Mocniej naciś-

niesz, skorupka pęknie. Może być wtedy nieobliczalny. Taki typ człowieka. A czekają nas długie rozmowy. Pytania z Ośrodka Badań i Analiz przetłumaczyłeś?

Kowalski wyprostował się, starając odlepić wilgotną koszulę od pleców. Całe szczęście, że już niedługo będzie mógł się przebrać.

– Oczywiście, szefie.

– No więc – mruknął Lunqvist i umilkł.

– Dojeżdżamy do Juan-les-Pins.

* * *

– Skąd masz pieniądze?

Siedzieli w małym autobusie Air France, który z niejakim trudem pokonywał wzniesienia drogi z lotniska w Nicei, gdzie wylądowali, do Antibes. Oprócz nich w autobusie byli jeszcze jacyś starsi Anglicy, którzy przyjechali wygrzewać zreumatyzowane kości oraz francuska rodzina z rozbrykanymi bachorami.

– Sprzedałem kamerę. Tę czeską szesnastkę, Admirę – odparł półgębkiem.

Nie chciał, by mimo bariery językowej to małe śledztwo było zbyt czytelne.

– A hotel? Skąd wziąłeś na hotel?

– Czym się martwisz? Załatwiłem.

– Jak?

– Chryste Panie! – zirytował się w końcu.

Zdarzało mu się to ostatnio dość często.

– Załatwiłem i już! Nie psuj mi odpoczynku. Mamy dwa tygodnie i chcę je spędzić bez niepotrzebnych sporów, zgoda?

Do Juan-les-Pins dojechali w napiętym milczeniu.

Dopiero, gdy zobaczyli nieprawdopodobnie błękitne morze leniwie liżące kamienistą plażę zasłaną niskimi leżakami, gdy ujrzeli beztroski, barwny tłum przelewający się po ulicach zabudowanych białymi domami o najróżniejszych kształtach, napięcie zaczęło opadać.

Znikło całkowicie, gdy autobusik zatrzymał się na Boulevard Charles Guillaumont przed budynkiem Air France i do wzroko-

wych wrażeń dołączyły meldunki pozostałych zmysłów. Zapach wodorostów, cisza zakłócona jedynie gwarem tłumu, przeplecionym rytmicznymi akordami załamujących się fal, rześki wiaterek od morza, osłabiający nieco upał sprawiły, że po raz pierwszy od dłuższego czasu jednocześnie uśmiechnęli się do siebie.

Jerzy wziął walizki, Iwona torebki i pomaszerowali pod wytrwale grzejącym słońcem w kierunku Avenue de l'Estrel. Skręcili w trzecią przecznicę na prawo i po kilku minutach byli już na miejscu. Na Avenue Maréchal Joffre – oddzielony od jezdni jedynie wąskim, wysypanym tłuczoną drobno czerwoną cegłą chodnikiem – stał sześciopiętrowy, olśniewająco biały, trzygwiazdkowy hotel „Astoria".

Po przejściu przez prawie niewidoczne, szklane drzwi znaleźli się w hallu wyłożonym w szachownicę jasno- i ciemnoszarym granitem, z jedną ścianą ozdobioną lustrami, pod którą stały dwa żółte, plastikowe fotele i dwa tego samego koloru okrągłe stoliki. Po przeciwległej stronie znajdowała się recepcja okupowana teraz przez rozchichotaną grupę dziewcząt ubranych w kostiumy kąpielowe, które – sądząc po ilości użytego materiału – mogły być prezentami od szczególnie oszczędnych Szkotów. Na starszym recepcjoniście zdawało się to jednak nie robić większego wrażenia. Jesteśmy w Juan-les-Pins, gdzie nie ma żadnych ograniczeń, byle tylko regulować w porę rachunki.

Obserwowany podejrzliwie przez Iwonę począł się przedzierać przez ten gąszcz opalonych rąk i nóg, by w końcu wylądować przed obliczem urzędnika. Ten, na podane nazwisko, rozpromienił się. Owszem, pana Pawłowskiego, mistrza świata oglądał w telewizji, podziwiał i teraz gratuluje, czeka na pana zarezerwowany pokój i pozwoli jeszcze dodać od siebie, że to dla hotelu prawdziwy zaszczyt.

Panienki spojrzały po sobie, parsknęły śmiechem i klepiąc kamień bosymi piętami pomknęły ku wyjściu.

Recepcjonista z uśmiechem dał mu klucz.

Pokój na czwartym piętrze miał okna wychodzące na zachód, w stronę morza ledwie widocznego nad zwartą masą zieleni. Powietrze było tak czyste, że na horyzoncie – z prawej strony, w miejscu gdzie pozioma linia załamywała się, tworząc nadbrzeżne pagórki – można było dostrzec niewyraźną gromadkę budynków w Cannes.

W pokoju dominowała biel ścian. Szerokie okno, będące jednocześnie wyjściem na loggię, obramowane było ciemnoczerwoną zasłoną z tego samego aksamitu, co narzuty na dwóch olbrzymich tapczanach. Oprócz nich w pokoju znajdowała się jeszcze toaletka z drewna w naturalnym kolorze z wazonem róż oraz obszerna, wbudowana w ścianę szafa. Wystroju wnętrza do wysokości półtora metra od podłogi dopełniała boazeria z tego samego drewna co toaletka, ciągnąca się wzdłuż ściany u wezgłowia tapczanów. Do boazerii były przymocowane miniaturowe lampki nocne i deseczki z szufladami, pełniące rolę stolików. Jak na trzy gwiazdki było wyśmienicie.

– Tylko nie pytaj, ile to kosztowało – ostrzegł półżartem.

Nie usłyszała zajęta już rozpakowywaniem bagażu.

– Wyjdę na chwilę, rozejrzę się zanim skończysz – oznajmił patrząc na rozbebeszone walizki.

Tym razem usłyszała i bez słowa skinęła głową.

Przebrał się w szorty i bawełnianą koszulkę w paski. Mimo że po wyłożonych miękką wykładziną schodach poruszał się zupełnie bezszelestnie, Kowalski musiał go jakoś usłyszeć. Czekał już na niego piętro wyżej, oparty niedbale o załom ściany odgradzającej klatkę schodową od korytarza.

– Wesołych wakacji – powiedział, gdy Pawłowski, nagle bardzo zmęczony, powoli zatrzymywał się nie spuszczając go z oka. – Jutro pierwsze zajęcia. Pokój dokładnie pod pańskim. Dziesiąta rano.

– Nie bardzo wiem, czy będę mógł. Żona...

– Bez wykrętów, kochany. Przecież to nic prostszego. Pójdziecie na plażę. Żona się opala, a pan daje nurka i wypływa pan w pokoju.

– Do hotelu w slipkach?

– Tu wszystko wolno, proszę pana. Wolny kraj. Do jutra.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i zniknął w hotelowym korytarzu.

★

★ ★

Tym razem młody człowiek w skórzanej kurtce musiał chwilę poczekać aż rozdokazywana wycieczka przedszkolaków pod opieką dwóch nie bardzo mogących sobie dać radę wycho-

wawczyń opuści pawilon z akwariami.

W końcu niesforna gromadka wyruszyła w kierunku klatek z małpami i zrobiło się cicho. Jego uwagę znowu przyciągnął zbiornik ze skalarami. Od ostatniej wizyty przybyło stadko młodych, z widoczną dumą oprowadzane po akwarium przez matkę. Urodziły się tak niedawno, że nie zdążyły upodobnić się do kształtu mamy i wyglądały jak zwyczajne szarawe rybki. Za to dyscyplina była znacznie większa niż u małych przedstawicieli homo sapiens, przed chwilą składających wizytę w pawilonie. Gdy tylko któraś rybka próbowała odłączyć się od stada, mama dość energicznie zapędzała ją z powrotem. Było to zajmujące widowisko, ale na jak długo?

Młody człowiek usiadł na tej samej ławce co poprzednio. Jego ręka powędrowała w szparę. Po dłuższej chwili pojawiła się z powrotem. Tym razem nie włożył jej do kieszeni, bo nie było po co. Uprzedzono go. Sygnał był niewyraźny, wszyscy zdawali sobie sprawę, że mogą być trudności w przekazywaniu materiału, tym razem o wiele poważniejsze niż zwykle, ale i stawka była nie byle jaka.

Udało się zasadzić kwiatek w najbardziej ekskluzywnej oranżerii i było jasne, że musi upłynąć sporo czasu, zanim sadzonka się przyjmie, ukorzeni i zacznie rodzić nasionka. Jakiekolwiek zabiegi przyspieszające mogły się skończyć zwiędnięciem tak dobrze zapowiadającej się roślinki. Tylko troskliwa hodowla może dać właściwe rezultaty.

Młody człowiek posiedział jeszcze chwilę, znów spoglądając na akwarium ze skalarami. Oprócz ryb były w nim delikatne, urzekające swym pięknem rośliny zasłaniające tylną ścianę zbiornika. Wszystko razem niesłychanie relaksujące. Gdyby można było mieć takich kilka w domu. Ale rybkom trzeba chyba dawać codziennie jeść. Marzenie ściętej głowy.

Podniósł się i opuścił pawilon. O sprawach dotyczących przyrody w ogólności, a problemów ogrodnictwa, kwiatów, sadzonek i ziarenek w szczególności nie miał zielonego pojęcia. Za dużo jeździł.

★
★ ★

– Pański pomysł był do niczego – powiedział Pawłowski.

Siedzieli we trójkę w pokoju Kowalskiego. Okna były szczelnie zasłonięte, co nie sprzyjało utrzymaniu chłodu. Rubinowo prześwietlone firanki tylko potęgowały wrażenie gorąca.

– A co się stało?

Było to ich drugie spotkanie, po trzech dniach pobytu na Lazurowym Wybrzeżu i Iwona zdążyła już spalić sobie skórę mimo smarowania kremem. On był lekko zaróżowiony. Może dlatego, że przebywał o wiele więcej pod dachem.

– To się stało, że gdy po naszym pierwszym spotkaniu wróciłem na plażę, w ostatniej chwili zapobiegłem alarmowi. Myślała, że się utopiłem.

Lunqvist skrzywił usta.

– Racja. Trzeba wymyślić coś innego.

Wyciągnął z toaletki, takiej samej jak w pokoju Jerzego, żółtego koloru papier formatu A-4.

– Wracamy do pytań. Zaraz... – przewracał strony. – Mam. Byliśmy przy obsadzie personalnej Inspektoratu. Podzielimy to sobie na grupy. Do sierpnia sześćdziesiątego czwartego byłeś pomocnikiem szefa Inspektoratu Szkolenia. Zgadza się?

Pawłowski apatycznie skinął głową. Bardzo szybko przestał próbować pomijania niektórych kwestii. Za pierwszym razem Lunqvist zburczał go, twierdząc, że oni już to doskonale wiedzą, sprawdzają tylko jego lojalność. Doszło nawet do tego, że Lunqvist w pewnej chwili zagroził wyjawieniem opinii publicznej jego niektórych transakcji handlowych z Jakubowiczem, Szczerbickim, Tremskim, Jurkiem...

Nawet go nie zdziwiło, że tak wiele o nim wiedzą. Więc po początkowych oporach, wiadomości zaczęły wypływać z niego, przestał się bronić, bo jak? Było ich tak dużo, że atmosfera natychmiast się poprawiła, a Lunqvist zażartował nawet – jaka szkoda, że nie wzięli magnetofonu.

Tak płynęły dni urlopu. Spotykali się co drugi dzień na pięć, sześć godzin i przez cały ten czas mówił, mówił, mówił. Wymyślili, że swą nieobecność wytłumaczy żonie ważnymi spotkaniami z polskimi dyplomatami. Jak wiadomo, nie jest ich tak wielu na Lazurowym Wybrzeżu, ale uznali, że to nie wzbudzi podejrzeń. I

rzeczywiście nie wzbudziło.

Dni wolne od pracy spędzał wyjeżdżając na objazd całego wybrzeża. Byli w Cannes, Antibes, Monte Carlo. W tym ostatnim miejscu z efektem umiarkowanym. Za to opalili się.

Ostatniego dnia spotkań upał był większy niż zwykle i to może spowodowało taki, a nie inny przebieg rozmowy.

– Wydaje mi się – zaczął Lunqvist, kiedy się już rozsiedli w pokoju – że dane o Inspektoracie uzupełnimy przy następnej okazji. Chodzi głównie o twoje nowe miejsce pracy, w Wydziale – zerknął do notatek – Organizacji i Kierowania Rozpoznaniem. To może być bardzo ciekawe. Wróćmy do Limanowa. Mówisz, że żadnych pomp tam nie widziałeś?

Pawłowski pokręcił głową.

– Interesujące – Lunqvist zastanowił się.

Kowalski cały czas milczał, najwyraźniej źle znosząc duchotę w pokoju.

– Przecież muszą być jakieś pompy. To teren podmokły i jeżeli się go nie osuszy, trudno będzie... Na pewno nie widziałeś?

– Nie widziałem – powiedział Pawłowski z uporem. – Zresztą nie miałem specjalnej okazji. Przecież byłem tam tylko na spotkaniu autorskim – uśmiechnął się niewesoło.

– Nie oprowadzali cię po jednostce? Nie chwalili się?

Jeszcze raz zaprzeczył.

– Przestań kręcić! – Kowalski nie wytrzymał.

Upał działał mu na nerwy.

– Przecież musieli pokazywać! Radzę ci, przypomnij sobie. Pamiętaj, że z tymi narkotykami to jeszcze nie wyjaśnione. Możesz mieć zamkniętą drogę do Stanów. Albo w ogóle na Zachód. I gdzie się wtedy podziejesz?! Gdzie zdobędziesz te swoje cholerne punkty?!

– Jak mówię, że nie wiem, to nie wiem! – w Pawłowskim zagotowało się.

Cała nagromadzona przez te dni gorycz, poczucie nieodwracalności tego, co się stało, świadomości konsekwencji – wszystko to przerodziło się w strach, a zaraz potem w agresję. Zerwał się i drżący z wściekłości stanął przed Kowalskim.

– Jeżeli jeszcze raz...

– Dosyć! – Lunqvist nie wiadomo kiedy, błyskawicznie znalazł się między nim a wyraźnie zaskoczonym i przestraszonym

Kowalskim, który skulił się na tapczanie.

– Uspokójcie się obaj!

Przez kilka chwil w pokoju panowała przytłaczająca cisza. Pawłowski, mrucząc coś pod nosem, usiadł w końcu na swoim krzesełku i patrzył w rozświetloną słońcem zasłonę. Kowalski wyprostował się i zaczął normalnie oddychać.

– Jesteście jak dzieci. Jeżeli on – zwrócił się do Kowalskiego, który dopiero teraz z wolna uprzytomnił sobie, jakie szaleństwo popełnił – jeżeli on twierdzi, że nie widział, to znaczy, że nie widział. Przecież nie będzie starał się nas oszukiwać. Prawda? – spojrzał na Pawłowskiego.

Ten, nie spuszczając oka z firanek, skinął apatycznie głową.

– No i w porządku – Lunqvist był teraz nienaturalnie ożywiony, starał się jak najszybciej zatrzeć niemiły incydent. – Jesteśmy przepracowani. Damy spokój na dziś. Odpoczniesz, spotkamy się za parę miesięcy. Nie ma pośpiechu.

Pochylił się i z toaletki wyciągnął butelkę, syfon wody i termos z lodem.

– Najpierw praca, potem przyjemność – wyjaśnił odkręcając blaszaną nakrętkę. – Podajcie szkło.

Kowalski dźwignął się niechętnie z tapczanu i poszedł do łazienki, wykładanej czarnymi kafelkami. Gdy go nie było, Lunqvist przyglądał się Pawłowskiemu, pokrzepiająco uśmiechnięty.

– No, nareszcie! – krzyknął, gdy Kowalski ustawił na toaletce trzy szklanki.

Gdy rozlewali alkohol, strzykali wodą z syfonu grzechocząc lodem, napięcie wyraźnie opadało. Apatia Pawłowskiego zdawała się mijać, co Lunqvist stwierdził z ogromną ulgą. Doskonale wiedział, czym może stać się doprowadzony do ostateczności agent, a najgorszy tego objaw to owa wszechogarniająca obojętność, która może zaowocować najdzikszymi niespodziankami. Spojrzał przelotnie na Kowalskiego. Z nim policzy się później.

– Tu masz forsę na wydatki – wyciągnął sto dolarów. – A prawdziwe pieniądze, to tak jak umówiliśmy się. Co miesiąc na konto...

– Ależ po co, naprawdę. – Pawłowski wciąż nie mógł jeszcze przywyknąć do myśli, że ma być regularnie opłacany.

– No już, daj spokój – Lunqvist doskonale wiedział, jak szybko nikną tego rodzaju skrupuły. – Niech sobie forsa leży w banku. Przyda ci się, jak będziesz chciał na przykład zostać na Zachodzie.

– Nie będę chciał.

Lunqvist skrzywił się.

– Nie trzeba się zarzekać. Kto wie co będzie za rok, czy dziesięć lat? Trzeba się zabezpieczyć. A, właśnie. Od dzisiaj powinieneś kwitować odbiór pieniędzy. My też mamy księgowość...

– Przecież nie będę chyba podpisywał swoim nazwiskiem?

– Oczywiście, że nie. Jaki obierasz sobie kryptonim?

Przez głowę przeleciały mu różne warianty. Wszystkie jednak wydały się albo zbyt efektowne, albo zbyt romantyczne czy też pretensjonalne.

– Paweł.

Kowalski wstał.

– Chyba pan zwariował – starał się za wszelką cenę nie stracić zimnej krwi. – Tak na pewno wołają wszyscy. Sportowcy, dziennikarze. Wystarczy, że coś się stanie...

– Czekaj. To nie jest takie głupie – Lunqvist powstrzymał go ręką. – Właśnie dlatego nikt nie będzie przypuszczał, że idzie o niego. To byłoby zbyt proste. W porządku. Niech będzie „Paweł". Podpisz tu.

Podpisał. Schował pieniądze. Lunqvist ukrył starannie zadowolenie. Poszło łatwiej niż przypuszczał. Swoją drogą, musiał się nagimnastykować, żeby naprawić to, czego o mały włos nie rozwalił do końca Kowalski.

Przyglądał mu się, gdy pili strzemiennego. Kowalski na pozór spokojny, choć pewnie zdawał sobie sprawę, co go czeka.

– Za nasze następne spotkanie.

Pawłowski czuł się jak wyciśnięta gąbka. Wszystko co przez te kilkanaście lat usłyszał, wiedział, że nie zapomniał, co interesowało Lunqvista, zostało zapisane na lekko poliniowanych, żółtych arkuszach.

Mają być następne spotkania. Czego oni jeszcze od niego chcą?

– Już nie będą trwały tak długo – Lunqvist jakby czytał w myślach. – Opowiesz nam tylko to, co zobaczyłeś czy usłysza-

łeś ciekawego od czasu naszego kontaktu. I jeszcze jedno. Nie staraj się szukać informacji na własną rękę. Tak najłatwiej wpaść. Poczekaj. Nie spiesz się. Słuchaj, ale nie pytaj. Nie rób żadnych notatek.

– Mówiliśmy już o tym podczas szkolenia.

Pawłowski był wyraźnie zmęczony. Drobniutkie kropelki potu lśniły na czole. Z nich wszystkich tylko Lunqvist wyglądał jakby upał, nie robił na nim większego wrażenia.

– Jasne. Przypominam tylko. Chodzi o twoje bezpieczeństwo – odparł pojednawczo.

Wypili to, co było w szklankach do końca. Lunqvist wstał, podnieśli się też Kowalski i Pawłowski. Cała trójka wyglądała trochę nierealnie w tym dusznym, zamkniętym na cztery spusty pokoju, podczas gdy wszyscy inni ludzie w promieniu stu kilometrów korzystali z wody, powietrza i słońca. Lunqvist podał dłoń Pawłowskiemu.

– Do zobaczenia. Powiedz jeszcze Jerzy – w sumie wakacje były miłe?

★

★ ★

Wakacje były miłe? – w parę miesięcy później to samo pytanie zadał gospodarz przestronnego gabinetu na Powiślu. I tak jak Lunqvist, nie doczekał się odpowiedzi.

Nie bardzo zresztą jej oczekiwał, bo miał znacznie ważniejsze rzeczy do przekazania.

Siedzieli przy tym samym stoliku co wtedy, przed wyjazdem do Nowego Jorku. Ten sam węglowy górnik z uporem wiercił otwór w skale. Wszystko było takie same. I tylko on, przez te kilkadziesiąt miesięcy zmienił się nie do poznania. Teraz, gdy wszystkie możliwe klamki nieodwołalnie zapadły, kiedy wiedział, że wszystko w jego życiu jest tylko kwestią czasu, właśnie tego czasu zaczęło mu brakować.

Ani się obejrzał jak minęło pół roku od mistrzostw w Paryżu. Miał wrażenie, że siedzi na jakiejś zwariowanej karuzeli kręcącej się coraz szybciej, wszystko wokół wirowało w coraz większym tempie – ludzie, sprawy, zdarzenia – i tylko on jeden, w tym kotle zdawał sobie sprawę z przyspieszenia.

O tym, że jest to instynktowna reakcja organizmu na pod-

świadomie gdzieś wyczuwane zagrożenie, nawet nie chciał myśleć. Zresztą po przeszkoleniu w Juan-les-Pins z dużą dozą prawdopodobieństwa mógł stwierdzić, czy jest obserwowany, a jeśli tak, to jakiego rodzaju jest to obserwacja. I mimo że regularne samokontrole dawały wynik negatywny, niezrozumiałe uczucie kurczenia się czasu potęgowało się.

– A co na działce?

Drgnął i wrócił do rzeczywistości.

– Powolutku idzie. Kładę fundamenty pod mały domek. Taki na niedzielę. Tylko cement mam kiepski. Gdzieś zawilgły dwa worki i stwardniały na kamień.

– Żaden problem. Masz tu kartę do gospodarczego i wykup.

Pawłowski uśmiechnął się niewesoło. Kiedyś taka gotowość mile by połechtała jego ambicję.

– Dziękuję ci. To co mam, wystarczy. Nie buduję pałacu.

Pułkownik przyjrzał mu się z niedowierzaniem. To aż tak źle? Ale jest dla niego wiadomość, która na pewno poprawi mu humor.

– Rób jak chcesz. A teraz mój drogi rozsiądź się wygodnie, bo spadniesz z tego fotela, jak usłyszysz, co ci powiem.

– Co takiego? – nie był w nastroju do żartów.

Pułkownik zdawał się tego nie dostrzegać.

– Naprawdę nic nie wiesz?

– Nie – od dawna już, od spotkania w Padwie, nie znosił żadnych niespodzianek. – Co się stało?

– Będzie dzisiaj w wieczornym dzienniku i jutro w gazetach. Ale ja pierwszy chcę ci złożyć gratulacje.

– Może wreszcie powiesz, o co...

– Prawda, nic nie możesz wiedzieć. Dopiero wczoraj wróciłeś z Budapesztu. A więc słuchaj. W Paryżu odbył się kongres Międzynarodowej Federacji Szermierczej.

– Wiem. Od nas pojechał Czajkowski.

– No właśnie. To on mi przekazał. Dostałeś najwyższe odznaczenie tej instytucji. Dotychczas nagradzano nim tych szermierzy, którzy już kończyli karierę. Na razie tylko dwoje sportowców je otrzymało. Eduardo Mangarotti i Ilona Elek. Ty jesteś trzeci.

– Jednym słowem...

– Jednym słowem otrzymałeś to, czym jest „Lilienthal" w

szybownictwie – „Challenge Feyericka"!

Mój Boże! Jeszcze ze dwa lata temu oddałby za to pół życia. A teraz? Zmusił się do uśmiechu, widząc jak pułkownik patrzy w jego twarz.

– To wspaniale – wyjąkał. – Bardzo się cieszę...

– Wspaniale? To przecież bomba! Masz już umówione spotkanie z dziennikarzami. Brakowało nam ostatnio takiego sukcesu. Rozruszaj ich jakoś. Wiesz jak ta nagroda wygląda?

– Wiem. Co z nią zrobimy? Przecież to ciężkie jak cholera. Podłoga może się w domu zawalić. Sam widziałem jak sześciu ludzi z trudnością dawało sobie z nią radę przy przenoszeniu.

– Więc co?

– Mam pomysł. Niech sobie stoi w salonach Federacji.

– Myślisz? – pułkownik zastanowił się. – Propagandowo rzecz biorąc... Zapytamy we władzach. Ale coś w tym jest. Twoje nazwisko na arenie międzynarodowej... To chyba da się zrobić.

Gospodarz gabinetu wstał.

– Jeszcze jedno. Pod koniec lutego jedziesz do Brukseli. Ci od „Challenge Martini" specjalnie prosili. Jakoś nie bardzo się cieszysz? – pułkownik był zdumiony.

★

★ ★

– Jedzie do Brukseli – powiedział Kowalski do Lunqvista.

– W porządku. Mam raporty z Wydziału Analiz. Ten Limanów ich zainteresował. Trzeba będzie jeszcze trochę popytać – jak każdy szef, nie pamiętał już, że właśnie z powodu nadmiernego wypytywania o Limanów omal cała sprawa się nie skończyła. – Musi coś dodać o 3 batalionie szturmowym. Dyslokacja, zadania szkoleniowe. Przecież to specjalna jednostka. Myślałem nad tym długo i doszedłem do wniosku, że jednak nie będziesz go dalej prowadzić. Nie mogę przyjeżdżać na wasze spotkania i godzić was. Po prostu nie pasujecie do siebie.

Kowalski przełknął ślinę.

– Ty mój drogi, pojedziesz... Zgadnij gdzie?

Lunqvist wygrzebał się z fotela i zaczął miarowo krążyć po gabinecie. Po chwili przystanął przed podnoszącym się Kowalskim.

– Nie wstawaj. Wszystko się dobrze składa. Jeszcze go wykorzystamy propagandowo, a na razie znajdziemy bardziej pasującego opiekuna. Mam nawet kogoś na oku. A ty pojedziesz do Wietnamu. Tam robi się gorąco. Mam sygnały, że potrzebują ludzi znających język polski.

– W Wietnamie? – Kowalski zdziwił się.

Samej propozycji nie zdołał jeszcze zanalizować. Polityka go nie interesowała, więc nie mógł ocenić, czy wyjazd do południowo-wschodniej Azji to jest awans czy degradacja. A zresztą... Jakie ma to znaczenie? Ma jechać i tyle.

– Tak, w Wietnamie – Lunqvist przysiadł na krawędzi biurka obok Kowalskiego. – Wiadomo już, że Polacy będą wchodzili w skład Międzynarodowej Komisj Nadzoru i Kontroli na Półwyspie Indochińskim. To dla nich gratka, więc na pewno wyślą najlepszych ludzi i to wojskowych. Dlatego pojedziesz jako, powiedzmy, pułkownik sił lądowych armii amerykańskiej. Tam tak wszystko pokręcone, że można nawiązać bardzo interesujące kontakty. Dostaniesz solidny fundusz. Oni nie mają za dużo pieniędzy, więc będziesz dobrym wujkiem z Ameryki. Albo nie, są strasznie honorowi. Będziesz Polonusem, stęsknionym za Starym Krajem. Będziesz płacił za drinki podczas wieczorów wspomnień.

– Pan wie, szefie, że ja kiepsko tankuję.

– Tym lepiej. Będą mogli ci zaimponować swymi możliwościami.

Lunqvist powrócił za biurko.

– Teraz co do Pawłowskiego. Przyjdzie czas, że może poprosimy go, aby choć na krótko pojechał do Wietnamu. Pomógłby ci przełamywać lody.

– Przecież my z sobą nie bardzo...

Lunqvist uśmiechnął się.

– A kto ci powiedział, że masz się z nim ożenić? Nie ty jeden jesteś na świecie. Czy nawet w Wietnamie. Tam już mam paru naszych chłopaków. Przekażesz tylko kontakt i nie musisz się z nim widywać. Nawiasem mówiąc, to pieśń dalekiej przyszłości. I jeszcze nie wiadomo, czy ją zaśpiewamy. Teraz mamy na tapecie Brukselę. Ja pojadę pierwszy, a ty zostaniesz tutaj przez parę dni i wprowadzisz w sprawę swego następcę. Potem obaj przylecicie do Brukseli i tam przekażecie sobie Pawłowskiego. Przejmie od ciebie ten kontakt Jankowski.

– Ten co kiedyś robił dla Brytyjczyków?

– Tak. Miał kłopoty i niedawno przeszedł do nas.

– Jakie kłopoty?

– Nie musisz wiedzieć. Jakieś drobiazgi, wątpliwe rozliczenia... W każdym razie został wszechstronnie sprawdzony zanim go przyjęliśmy. Potem zresztą także. Znakomity fachowiec. Z dobrej angielskiej szkoły. Zwrócisz mu uwagę na psychologiczny aspekt sprawy. Pawłowski musi go polubić i powie wtedy więcej.

★

★ ★

Podczas kolacji zadzwonił telefon. Von Szczerbicki przeprosił na chwilę i podszedł do aparatu.

– Do ciebie – krzyknął z przedpokoju, trzymając słuchawkę w ręce.

– Do mnie? – zdumiał się Pawłowski.

Nikt nie mógł wiedzieć, że właśnie tego wieczora zatrzyma się u swoich zachodnioniemieckich znajomych.

– Jakiś pan Kowalski – szepnął von Szczerbicki.

Zdziwienie Jerzego wzrosło jeszcze bardziej.

– Gdzie się pan podziewa? – usłyszał. – Szukam po całej Europie! Przecież miał pan na mnie czekać w tej knajpie automobilklubu przy autostradzie?

Pawłowski był zaskoczony.

– Czekałem. Przeszło godzinę. Pana nie było.

– Co?

– Mówię, że czekałem. To pan nawalił.

Ta pewność siebie zbiła nieco z tropu Kowalskiego.

– Zaraz... umawialiśmy się o dziesiątej?

– O dziesiątej.

– W „Allgemeine Deutsche Automobilklub" po lewej stronie, jadąc z Achen do Kolonii?

– Cholera jasna.

– Słucham?

– Powiedziałem „cholera jasna". To moja wina. Obaj byliśmy w tym samym klubie. Tylko pan na lewo patrząc od Kolonii, a ja od Achen. Tam są lokale po obu stronach autostrady.

– Byłem w tym, w którym się umówiliśmy.

Zapadła cisza.

– Nie ma wyjścia – rzekł niechętnie Kowalski. – Musi pan sam jechać do Brukseli. Jutro mam umówione spotkanie. A na pana czeka Lunqvist. Niech się pan specjalnie nie rozwodzi na temat mojej nieobecności. Będę później. Do widzenia.

– Chwileczkę – zawołał Pawłowski, ale połączenie zostało przerwane.

Chciał się zapytać, skąd Kowalski wiedział, że tu jest, skąd znał numer... Machnął ręką i wrócił do pokoju. Na pewno i tak by się nie dowiedział. Zdawał sobie doskonale sprawę z ich możliwości, ale każdy konkretny jej przejaw zaskakiwał go.

Wrócił do pokoju. Gospodarze – małżeństwo w bardziej niż średnim wieku – powitali go żarcikami. Znał ich od dawna. Od pierwszych wyjazdów na Zachód. Utarło się już wśród polskich sportowców, dziennikarzy czy handlowców, że przejeżdżając przez Kolonię można było wpaść na chwilę – nawet bez zapowiadania się – do tego życzliwego, zawsze otwartego dla Polaków domu.

Von Szczerbicki pracował w Deutsche Welle, w sekcji polskiej. Swymi kontaktami i znajomościami chętnie służył rodakom. Pomijając ziomków z kraju, jego dom był ciągle pełen emigrantów polskich z różnych wiraży historii i z różnych krajów Europy. Pojawiali się na dzień lub dwa. Dyskusje, rozmowy często długo w noc, potem wszyscy rozjeżdżali się, by po jakimś czasie znów się spotkać w gościnnym domu.

Pawłowski niejednokrotnie korzystał z uprzejmości von Szczerbickiego. Zostawiał u niego nadmiar waluty po transakcjach dokonanych na Zachodzie. Nie były to sumy duże, ale jednak. Trudno przypuszczać, by ktoś chciał rewidować Pawłowskiego przy przekraczaniu polskiej granicy, lecz po jednym takim nieprawdopodobnym przypadku postanowił więcej nie dawać ku temu okazji.

Von Szczerbicki był akuratny, wypłacał wszystko co do grosza, a z czasem sam zaczął robić z nim interesy. Zaczęło się chyba od prefabrykatu tworzywa sztucznego, celidoru... Zresztą, nie pamiętał.

Uporczywe plotki kursujące o powiązaniach von Szczerbickiego z zachodnioniemieckim Urzędem Ochrony Konstytucji specjalnie mu nie przeszkadzały. Każdy urządza się jak może. Nawet bogaci emigranci w takich sprawach stoją na z góry

przegranych pozycjach. Nie oni dyktują warunki, na jakich można zostać, podjąć pracę. Zwłaszcza taką pracę. Był nawet zadowolony. Dzięki temu nikt nie przeszkodzi przy niektórych, szczególnie delikatnych transakcjach.

Co prawda teraz stracił prawie zupełnie chęć do, pożal się Boże, interesów.

Posiedzieli jeszcze chwilę, po czym legł wcześniej na rozłożonej dla niego amerykance. Te sto kilkadziesiąt kilometrów do Brukseli to fraszka, ale chciał dojechać wcześniej. I w dobrej formie.

★
★ ★

Jankowski był szczupłym, zadbanym szatynem w wieku około pięćdziesięciu lat. Gęste, ciemne włosy z zaczątkami siwizny czesał do góry, skutecznie maskując początki łysiny po obu stronach głowy. Cera na drobnej, szczupłej twarzy była ciemna. Miał jasne oczy, kontrastujące z ciemną karnacją skóry i ostry, ptasi nos. Bardzo dużo palił. Zdarzało mu się mówić, nie wyjmując papierosa z ust.

Ubrany był niezwykle elegancko w dwuczęściowy stonowany garnitur o angielskim kroju. Robił sympatyczne wrażenie i Pawłowski z miejsca nabrał do niego sympatii.

Jankowski siedział, nic nie mówiąc i bawił się książeczką wydzieranych zapałek. Słuchał Lunqvista, który pełnił honory domu.

– Z tego co powiedziałem wynika, że nie będziesz się już spotykał z Ryszardem. Wyjeżdża do Azji i przejmie ciebie obecny tu pan Stanisław Jankowski.

Znajdowali się na trzecim piętrze „Palace Hotel". Lunqvist uznał, że tu jest przytulniej, co podczas przekazywania agenta, zwłaszcza takiego, ma szczególne znaczenie. Rzeczywiście, pokój nie był tak nowocześnie bezosobowy, jak w hotelu „President". Zamiast pobrzękujących świetlówek były normalne lampy, a i samo wyposażenie pokoju pozwalało na wygodne rozlokowanie się czterech mężczyzn.

– Pan Jankowski jest znakomitym fachowcem, zna cztery języki i nieobce mu są zagadnienia wojskowe. Oczywiście, nie ograniczycie się do militariów, ale w tej dziedzinie może okazać

się szczególnie pomocny. Przeczuwam, że się polubicie.

Jankowski uśmiechnął się, porozumiewawczo zerknął na Pawłowskiego, po czym wstał i – kiedy Pawłowski podniósł się również – obydwaj ceremonialnie uścisnęli sobie dłonie.

– No dobrze. Zaznajomcie się bliżej. Nie przeszkadzamy.

– Aha, Jurku – już stojąc zwrócił się do Pawłowskiego – pan Jankowski jest dokładnie wprowadzony w przebieg sprawy. Nie musisz się powtarzać.

Lunqvist podał rękę Pawłowskiemu i razem z Kowalskim wyszedł z pokoju. W ten sposób, nawet nie pożegnawszy się, Kowalski zniknął z jego życia.

Jankowski odczekał aż ucichną kroki na korytarzu. Wtedy wstał, podszedł do okna i po odsunięciu zasłon nieco je uchylił.

– Trzeba wpuścić odrobinę świeżego powietrza – wyjaśnił siadając.

– A... a bezpieczeństwo? – Pawłowski tak był przyzwyczajony do rygorystycznego przestrzegania zasad konspiracji przez Lunqvista i Kowalskiego, że beztroska Jankowskiego zrobiła na nim wrażenie.

– Bez przesady – otworzył stojącą w rogu lodówkę i wyjął prostokątną butelkę. – Wszystko powinno mieć swoje granice, jakby „bezpieka" miała na pana oko, to myśli pan, że zamknięte okno rozwiązałoby wszystkie problemy? A ja mogę pana zapewnić, że przynajmniej na Zachodzie czuwamy nad pana bezpieczeństwem i na pewno nikt za panem nie chodzi. Wiedzielibyśmy o tym. Poza tym mam powód, żeby otworzyć to okno.

– Jaki?

– Chcę wywietrzyć po Kowalskim.

– Nie przepada pan za swoim kolegą?

– Wie pan – Jankowski usiadł przy stoliku i zaczął otwierać butelkę – właściwie nie powinienem tego mówić. Jesteśmy urzędnikami tej samej instytucji, obowiązuje nas pewien sposób postępowania i osobiste sympatie czy animozje nie powinny mieć nic do rzeczy. Nie powinny, ale często mają. Kowalski ma w ogóle pokręconą sytuację w firmie. Pracuję tu niedługo, ale już zdążyłem zauważyć, że nie jest za bardzo lubiany.

Nalał do szklaneczek stojących na krawędzi stolika.

– Ma jedną zwłaszcza cechę, której nie lubię – odstawił butelkę. – Na mniejszych od siebie wrzeszczy, a przed większymi

się trzęsie. Mamy powody przypuszczać – uśmiechnął się – że dzięki panu jego sytuacja ulegnie zasadniczej zmianie. Będzie się trząsł przed wszystkimi. Lunqvist był wściekły na niego. Pewnie go zdegraduje za te numery z panem.

Podniósł szklankę.

– Pan, pan... Jestem starszy, ale czy mogę zaproponować przejście na „ty"? – Pawłowski skinął głową z uśmiechem.

Zadźwięczało szkło.

– Jurek.

– Staszek.

Wypili.

★

★ ★

Na rogu Kreuberg Strasse i Katzbach Strasse, niedaleko poczty stał młody człowiek, przyglądał się wystawie niewielkiej kwiaciarni, niczym nie różniącej się od setek podobnych w Berlinie Zachodnim. Mógł bez przeszkód zaglądać w głąb witryny, ponieważ pracowicie obracający się wiatraczek nie pozwalał szybie pokryć się warstwą szronu. Uważnie przepatrywał ustawione amfiteatralnie wazony z kwiatami, jakby zastanawiając się nad wyborem najładniejszej wiązanki.

W końcu jednak zrezygnował widać z kupna kwiatów i – omijając równiuteńkie pryzmy uprzątniętego śniegu – ruszył przez Katzbach Strasse w kierunku Victoria Park. Po chwili minął otwartą na oścież, kutą w żelazie bramę i znalazł się na parkowej alejce wśród ogołoconych z liści drzew, które w zapadającym zmierzchu ostro odcinały się od pokrytych śniegiem trawników. W parku było zupełnie pusto.

Raźnym krokiem dotarł do niewielkiego, zamarzniętego jeziorka i skręcił w następną alejkę. Stały tu ławki, jedna obok drugiej, frontem zwrócone w stronę białej tafli. W lecie musiały się cieszyć dużym powodzeniem, teraz jednak zasypane śniegiem nie miały amatorów.

Młodzieniec zatrzymał się obok czwartej, licząc od wejścia w alejkę. Po jej lewej stronie oparł but i zaczął poprawiać sznurowadła. Niedługo to trwało, ponieważ sznurowadła były w porządku, ale biały otoczek, ledwie widoczny w puszystej warstwie świeżo spadłego śniegu, znalazł się w kieszeni kożucha.

Nie zatrzymując się dłużej, ruszył alejką dalej na zachód. Zrobiło się zupełnie ciemno, on jednak bez trudu znalazł wyjście z parku, prowadzące na Mehring Damm.

Na ulicy zapiął kożuch, jakby teraz dopiero zauważył, że nie jest ciepło i ruszył w prawo. Doszedł do placu, minął prezydium policji i zadarł głowę do góry. Na tle ciemnego nieba widział tylko wolno przesuwającą się konstelację czerwonych i zielonych migających światełek, które z wibrującym szumem opadały na lotnisko Tempelhof.

★

★ ★

Tym razem łączność nie była nadzwyczajna, przez obszar połączenia radiowego przesuwała się strefa zmierzchu, przydźwięki i trzaski chwilami utrudniały rozmowę, ale mimo to Lunqvist mógł wyraźnie rozpoznać w głosie Jankowskiego nutkę satysfakcji.

– Miał pan nosa, szefie – Lunqvist przez chwilę pomyślał, że na taką poufałość może jeszcze za wcześnie.

– Melduj co masz! – przeszedł jednostronnie na „ty".

Jak poufałość, to poufałość.

– Najwyraźniej mnie polubił – sapnęło w słuchawce. – Przez ten czas sporo powiedział o Wydziale. Naprawdę ciekawe rzeczy. Widział w jakimś pokoju mapy zachodnich lotnisk. Nanosili na nie meteorologię. I o Limanowie dużo doszło. Mamy dyslokację sztabu, magazyny i takie tam różne. Posyłam to wszystko raportem.

– Wspaniale – Lunqvist nie krył zadowolenia. – Ile razy się z nim widziałeś?

– Trzy. Raz w Brukseli, dwa razy w Paryżu. Wieczorku zapoznawczego nie liczę. Za każdym razem dostał stówkę.

– Brał?

– Bez problemów.

– Nie wiesz, co on z tym robi?

– Jasne, że wiem. Chwileczkę, mam tu raport grupy. – W słuchawce dał się słyszeć szelest przewracanych kartek. Łączność nieco się poprawiła. – Więc tak. Po spotkaniu w lutym sześćdziesiątego siódmego w Brukseli, wracając zatrzymał się u Szczerbickich i tam zostawił. Następnie...

– Wystarczy, przeczytam to sobie potem – przerwał Lunqvist. – Gdzie kolejne spotkanie?

– W Nowym Jorku – odparł po chwili wahania.

– Rozumiem – rzekł domyślnie Lunqvist. – Przy okazji chcesz się spotkać z rodziną.

– Przed panem nic się nie da ukryć – w słuchawce zabrzmiał śmiech. – Przyznaję, że to również miałem na uwadze. Ale przede wszystkim dlatego, że on nigdzie wcześniej nie wyjeżdża.

– A kiedy będzie u nas?

– Dopiero w kwietniu. Na tym turnieju.

– Bardzo dobrze. Przerwa dobrze mu zrobi. Nie muszę ci chyba mówić tego, co bezskutecznie powtarzałem Kowalskiemu. Nie dusić bez potrzeby. Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby wpadł przez swoją nadgorliwość? Jaki byłby wtedy huk?

– Nawet nie chcę o tym myśleć, szefie. Wydaje mi się, że go nie duszę. W każdym razie nie sinieje, kiedy się spotykamy.

Lunqvist uśmiechnął się. Wesoły facet.

– Jeszcze jedno, Staszek – na drugiej półkuli Jankowski poprawił się z zadowoleniem w fotelu. Nie każdemu szef, po tak krótkiej znajomości mówi po imieniu.

– Na ostatniej odprawie dyrektor zwrócił mi uwagę na polityczny aspekt sprawy. – Było to podczas prywatnej rozmowy, po przekazaniu przez Lunqvista pewnego memorandum, ale przecież Jankowski nie musi zaraz wszystkiego wiedzieć. – Otóż dyrektor uważa, że Pawłowski niewiele więcej nam powie i dlatego trzeba się szykować na propagandowe wykorzystanie faceta.

– Żeby został? Zrobi się aferę w prasie...

– O to chodzi.

Jakaż różnica między Jankowskim a Kowalskim. Ten nie dość, że zabawny, to jeszcze inteligentny. Nie ma co, Anglicy nieźle wybierają sobie ludzi. Westchnął. Pieniądze to nie wszystko. Muszą się wciąż jeszcze sporo uczyć.

– Szefie?

– Właśnie zastanawiam się, co wobec tego zrobimy. Oczywiście polecenie dyrektora jest dla nas absolutnie wiążące, ale... Jest jedno ale – mam podstawy przypuszczać, że obecność Pawłowskiego bardziej przyda się nam w kraju. Przynajmniej przez najbliższe dwa, trzy lata. Nawiać zawsze zdąży, a ja

mam informacje, że w Polsce może dziać się coś ciekawego i to niedługo. Zresztą wiesz o tym, bo sam składałeś raport o tym adiunkcie z uniwersytetu.

– To co robimy z Pawłowskim?

Lunqvist przez chwilę się zastanawiał.

– Na razie wszystko po staremu. Jak nadejdzie odpowiedni czas, przywieziesz go do Stanów na spotkanie. I prowadź go w ten sposób, jak do tej pory. Zmontujemy z tego petardę, jakiej świat nie widział.

– Jasne szefie. Coś jeszcze?

– To wszystko. Do zobaczenia w domu.

Lunqvist odłożył słuchawkę. Doskonale wiedział, że jeżeli petarda odpali jak należy, jej podmuch może go zanieść wysoko.

★

★ ★

Przez podłużne okna, wychodzące na północ, widać było resztki jakichś baraków, poprzedzielanych kępami rachitycznych olch i brzózek. Tylko z lewej strony strzelały w niebo topole, pojedynczym rzędem okalające stadion „Polonii", niszczejący bezużytecznie z roku na rok. Na wprost, za Politechniką, mgliście rysował się masyw Pałacu Kultury. W mrocznej sali, przy solidnym, lakierowanym na ciemno stole siedziało kilkunastu mężczyzn z widoczną uwagą słuchających prelegenta. Wszyscy ubrani byli w garnitury, choć wielu miało oficerskie stopnie. Od podporucznika do pułkownika. Generalicję reprezentował tylko jeden niemłody już mężczyzna w okularach, o krótko przystrzyżonych włosach, ale i on był po cywilnemu. Narada miała się ku końcowi. Trwała krócej niż zwykle, bo najważniejszy stopniem uprzejmie poprosił wszystkich obecnych, aby za dużo nie palili, a przerwy nie przewidywano. Popielniczki były puste.

– Ostatnia sprawa, którą trzeba omówić. Począwszy od nowego roku na wszystkie ważniejsze imprezy sportowe zostaną wyznaczone specjalne zespoły pracowników wywiadu amerykańskiego z podgrupą techniczną. Według tego źródła, a jest ono najwyższej pewności, w skład tego zespołu wszedł pracownik, który włada językiem polskim. Znamy nawet jego na-

zwisko, ale może występować pod operacyjnym. Ważniejsze jest to, że od swego kierownictwa otrzymał jednoznaczne instrukcje, aby próbował nawiązywać kontakty ze sportowcami z klubów wojskowych. To jest rysopis, inne szczegóły... Ponieważ chodzi o wojskowych, proponuję ten fragment raportu przekazać normalną drogą na Lotki niech oni się martwią.

Siedzący przy długim stole mężczyźni spoglądali na otwarte notesy. Rzeczywiście, akurat ten ustęp meldunku ich nie dotyczył.

Prelegent spojrzał pytająco w bok, na bruneta w okularach. Ten chwilę pomyślał, po czym skinął głową.

★
★ ★

– W oczach mi rozkwita – powiedział Jankowski do Lunqvista.

Siedzieli w jego gabinecie w Langley, dokąd wpadł na chwilę przed powrotem do Europy. Lunqvist z uznaniem patrzył na jego podnieconą twarz.

– Umówiliśmy się w tej rosyjskiej knajpie – mówił z błyszczącymi oczami. – Niech pan sobie wyobrazi, że jeszcze na dobre nie usiedliśmy do stołu, kiedy powiedział, że szykuje mu się przeniesienie!

– Co ty powiesz? To się idealnie składa. O Inspektoracie już więcej powiedzieć nie mógł. Ale zaraz – Lunqvist zaniepokoił się – czy przypadkiem nie dadzą go do jakiejś dziury? To by znaczyło, że poczuli swąd.

– Nic podobnego, szefie! – Jankowski był rozanielony. – Pan sobie wyobraża? Mają go przenieść do Pierwszego Korpusu Obrony Powietrznej Kraju! Czy to nie bomba?

– I o tym rozmawialiście w knajpie?

– Ale skąd, szefie! Jak tylko się o tym zgadało, zostawiłem sprawę na później. Zjedliśmy obiad (rachunek przy raporcie) i poprowadziłem go do lokalu kontaktowego na rogu 1. alei i 57 Wschodniej. Tu dopiero wszystko opowiedział. Chciałem go nawet przywieźć do Waszyngtonu, ale powiedział, że nie może się urwać na tak długo, więc nie naciskałem.

– Słusznie.

– Spytałem czy ma dojście do Spychalskiego. Ale nie ma.

– A wypadki marcowe?

– Niewiele wie, tyle co z gazet. Kiedy podjął studia na prawie, to taki jeden, nie pamiętam w tej chwili nazwiska, wiem, że na imię miał Wiktor, opowiedział mu coś o Schaffie i Kołakowskim. To wszystko jest w raporcie.

Lunqvist kiwnął głową.

– A co sądzi o samych wypadkach? Przyczynie, przebiegu?

– Jest zdezorientowany. Nie wie, co się dzieje. Więc opowiedziałem mu, jak my to widzimy.

– Uwierzył?

– Darzy mnie zaufaniem, więc chyba uwierzył. Zapytał czy wstąpić do partii czy nie.

– A to przy jakiej okazji?

Jankowski uśmiechnął się.

– Ja go przez te wszystkie spotkania, zgodnie z instrukcją, delikatnie przygotowywałem, że kiedyś zostanie u nas. Ostatnio nawet zacząłem lekko naciskać. Chciał wiedzieć, czy to mu pomoże w Stanach czy zaszkodzi.

– Zastanowimy się. Co jeszcze?

– Umówiliśmy się na olimpiadę w Meksyku. Hasełko jest proste. Czy jesteś szermierzem? Tak, jestem szermierzem. Czy nazywasz się Paweł? Tak, wszyscy nazywają mnie Paweł.

Lungvist skrzywił się.

– Rzeczywiście proste, nie za bardzo się wysililiście.

– Nie mieliśmy dużo czasu. Ale najważniejsze zostawiłem na koniec. Zdecydował się w końcu.

– Na co? – Lunqvist w pierwszej chwili nie zrozumiał.

– Zostaje! Po olimpiadzie idzie wprost do naszej ambasady i prosi o azyl!

– Trochę się pospieszył – mruknął Lunqvist. – Jeszcze by nam się przydał w Polsce. Chociaż, kto wie? Może to i lepiej? Trzeba będzie wszystko przygotować. Taak – sapnął i wyciągnął się w fotelu. – Wygląda na to, że po czterech latach sprawa zbliża się do końca. Mogło być trochę lepiej, ale i tak jest nieźle. Swoje zrobił, teraz pora zacząć dmuchać w trąby. Jeżeli tylko zostanie. Wyobrażasz sobie efekt? Nie ma co, spisał się znakomicie. Tylko tak dalej. Jak dobrze pójdzie, to... – jakby w zamyśleniu poklepał oparcie swego dentystycznego fotela.

Jankowski spojrzał nie rozumiejąc. Czyżby stary chciał się

podać do dymisji? Posunął się wprawdzie trochę, ale wciąż... Nagle zrozumiał. Lunqvist nie myślał o dymisji, lecz o innym fotelu. Tylko że pierwszej klasy – o fotelu dyrektora.

★
★ ★

Przy jednej z głównych ulic w Warszawie znajduje się sześciopiętrowy budynek w kształcie litery „L". Jego dłuższe ramię, położone przy ruchliwej arterii łączy się z następnym, nieco niższym domem. Zarówno jeden i drugi gmach miał indentyczne okna biegnące monotonnym szeregiem, jedne nad drugimi. Krótsze ramię pierwszego budynku położone jest przy niewielkiej, cichej uliczce nazywającej się Lotki. Na samym rogu Lotki i tej ruchliwej arterii, obok wejścia do budynku znajduje się czerwona tablica informacyjna, pod którą miarowym krokiem przechadza się uzbrojony żołnierz w czapce z białym otokiem.

Natomiast na ulicy Lotki, w samym końcu budynku znajduje się drugie wejście, już nie tak reprezentacyjne, ale również dobrze chronione. Dom okolony jest ogrodzeniem z bramą i szlabanem, obok którego znajduje się stanowisko wartownika. Tędy jest wjazd na wewnętrzne podwórko Szefostwa. W niższym budynku, łączącym się z Szefostwem, mieszczą się biura prokuratury wojskowej.

Było wpół do dziesiątej rano, kiedy w położonym na pierwszym piętrze gabinecie szefa Oddziału mężczyzna o rumianej twarzy w mundurze pułkownika skończył czytać niewielką karteczkę i nacisnął guzik interkomu.

– Odszukajcie pułkownika Zajkowskiego – powiedział i dalej spoglądał na kartkę leżącą na biurku.

Po paru minutach zadzwonił telefon. Mężczyzna podniósł słuchawkę i wysłuchał tego, co sekretarka miała mu do przekazania. Powiedziała, że zgłosił się pułkownik Zajkowski, który dostał zaproszenie do złożenia odwiedzin w gabinecie na pierwszym piętrze.

– Siadaj – poprosił gospodarz gabinetu, kiedy w drzwiach pojawił się niewysoki mężczyzna o siwiejących, ale gęstych włosach, o ciężkiej, bardzo zwyczajnej twarzy.

– Mam tu ciekawostkę od kolegów z Rakowieckiej – powie-

dział szef, kiedy Zajkowski usadowił się już w niezbyt wygodnym fotelu dla gości. – Uważają, że to nasza sprawa. Ja też tak uważam. Przeczytaj – podsunął Zajkowskiemu kartkę.

– Co o tym sądzisz?

– Coś w tym jest. Ale czy to prawdziwa wiadomość?

– Na sto procent. Z samego źródła. Z Langley. Umieścili tam swego człowieka. Mówię ci o tym, bo po uzgodnieniach będziemy również i my z niego korzystali. W każdym raporcie, który przyjdzie do MSW, powinno być coś dla nas. On tam jest dobrze ustawiony. Możemy dowiedzieć się ciekawych rzeczy. Powołuję grupę operacyjną. Tobie powierzam dowództwo. Cel – opracować i przeprowadzić przedsięwzięcia zmierzające do zidentyfikowania pracownika wywiadu amerykańskiego oraz ustalenie jego kontaktów z osobami wojskowymi, biorącymi udział w imprezach sportowych. A mówiąc bardziej po ludzku, to kazałem ci już przesłać wszystkie dotychczasowe materiały, między innymi raporty „Ogrodnika" z Langley. Nie jest tego jeszcze dużo, bo on dopiero od niedawna zaaklimatyzował się na tyle, aby mógł podjąć pracę. Poczytaj sobie i zgłoś sugestie. Powiedzmy jutro dziesiąta zero zero. Do czytania jest niewiele, wyrobisz się. Masz pytania?

Nie miał. Nie miał również porządnie przespanej nocy, mimo że skończył czytać trochę po dziewiątej wieczorem, a w domu znalazł się niecałe trzy kwadranse później.

Następnego dnia rano pojawił się na piątym piętrze w swoim gabinecie, z którego okna wychodziły na ogród Akademii Medycznej. Plan działania w ogólnych zarysach był już gotowy. Otworzył okno i popatrzył na drzewa, z trudem mieszczące się w obramowaniu wysokiego muru. Potem poprosił o teczkę, napisał coś na okładce i włożył do niej otrzymaną wczoraj kartkę. Nikt, a on sam najmniej, nie zdawał sobie sprawy, że był to pierwszy dokument w dochodzeniu, którego finał nastąpi dopiero w sześć lat później.

★

★ ★

Żadnych kłopotów z niedotlenieniem nie było. Od samego przylotu do Meksyku Boeingiem Air France z Paryża, gdzie w Fort Romeu byli na olimpijskim zgrupowaniu, śpi mu się zna-

komicie. Wysokość, na której leży Meksyk, nawet jakby odjęła ze dwa kilogramy wagi. Jest już po ceremonii otwarcia i olimpijskie zmagania są już w toku.

Start szermierzy ma być dopiero jutro. Turniej szabli indywidualnej rozłożony jest na dwa dni. Pierwszego dnia eliminacje do szerokiego finału i tylko wygrywający kwalifikują się do następnej rundy. Zazwyczaj następuje rozstawienie zawodników według zwycięstw i porażek z eliminacji i nigdy dokładnie nie wiadomo, jak należy walczyć, aby otrzymać najkorzystniejszą pozycję. Czy wygrywać w swoich grupach, czy tylko przechodzić dalej? To wszystko zależy trochę od przypadku, trochę od łuta szczęścia. Trzeba mieć znakomitą odporność psychiczną, by znieść świadomość, że pech może w jednej sekundzie przekreślić szanse i nadzieje, takim wysiłkiem i kosztem hodowane przez poprzednie cztery lata. Trzeba mieć żelazne nerwy albo kompletny brak wyobraźni.

Pawłowski sam już nie wie, co lepsze. Wie tylko jedno, że od ostatniej olimpiady minął szmat czasu, choć jemu wydawało się, że było to wczoraj i że tym razem nie może tak przegrać jak wtedy. Wie również, że w eliminacjach bezpośrednich przegrywać się nie opłaca, bo repasaż nie zawsze musi się udać, a przegrywający odpada z turnieju.

Jest w tak doskonałym nastroju, że nawet wiadomość, iż w jego grupie ćwierćfinałowej znajduje się Köstner, ten sam Köstner sprzed czterech lat, który zagrodził mu drogę do zwycięstwa, powoduje tylko większą mobilizację.

I właśnie z nim ma ostatnią walkę. Tylko że teraz sytuacja jest całkiem inna. Tamten musi wygrać, żeby bodaj z ostatnią lokatą przejść do szerokiego finału, a on nie musi. Miejsce ma już zapewnione. Przypuszcza, że Köstner podejdzie do niego i napomknie o przegraniu lub wprost poprosi go o to. Ale wszyscy wiedzą, że on, Pawłowski nie uznaje walk oddawanych. Jest na tyle dobry, że nie musi stosować sztuczek, na które napatrzył się podczas najróżniejszych zawodów. Woli normalną walkę i – nawet gdyby nie wiadomo co od tego zależało – nigdy by kogoś o oddanie walki nie poprosił.

Köstner nie prosi również. I dostaje niemiłosierne baty za Tokio. Aż dziwne, że cztery lata temu mógł mieć takie z nim problemy. Köstner przepada, a na drodze pojawia się znakomity szermierz radziecki, Umar Mawlichanow. Walczą z sobą trzy

razy. I znów dalekie przypomnienie kłopotów. Pierwszą walkę wygrywa gładko, w drugiej niepotrzebnie się spieszy, lekceważy przeciwnika i przegrywa.

Koncentracja. Od tego zależy finał. Skupił się. W trzecim starciu walczy z taką finezją, lekkością i elegancją, że nawet sam z siebie jest zadowolony. Wygrał czysto i odbiera gratulacje.

Piękna walka. Walka, która zaprowadziła go do piętnastego w życiu finału, a trzeciego olimpijskiego. Jeszcze jeden Polak, Józio Nowara, po kapitalnych walkach w repasażach kwalifikuje się do finału. Jutro okaże się kto ma szczęście.

Jutro, ale dopiero późnym popołudniem. Na razie była pierwsza nie przespana noc w Meksyku. Rozgorączkowana wyobraźnia nie słuchała resztek rozsądku, że trzeba spać, być na jutro wypoczętym. Kolorowe obrazy przesuwają się przed oczami.

Gdy zasnął nad ranem, śniło mu się, że został mistrzem olimpijskim. Czy istnieją prorocze sny? O dziesiątej wygramolił się z łóżka. Ogląda start chodziarzy w telewizji. Gdy w końcu rusza na zawody, ci właśnie piechurzy, powodują zator na drodze. Denerwuje się, bo przeciwnicy mogą już rozgrzewać się na sali. Na szczęście nikogo nie ma. Więc rozgrzewają się sami.

Pierwsza walka to Nowara – Pawłowski. O zgrozo, sędziuje Köstner. Małe nieporozumienie na temat werdyktu po jednym trafieniu. Köstner zalicza je Nowarze. Czyżby chciał się zemścić? Chyba niemożliwe... Jest już 3 : 0 dla Nowary.

Na szczęście zmiana sędziów. Pawłowski atakuje fintami, ale obrywa wyprzedzenie. Wie jednak, że sam jest sobie winny. Rozgrzany powodzeniem Nowara leci do przodu bez przygotowania. Cięcie. Cięcie. Cięcie wyprzedzające. Pawłowski wygrał 5 : 4.

Teraz walczą ze sobą Rosjanie – Nazłymow i dobry znajomy Rakita. Tu nie ma żartów. Kto wygra, może stanąć na pudle i obaj doskonale o tym wiedzą. Pawłowski wolałby, aby wygrał Rakita. I tak się dzieje.

Teraz walka z rozkojarzonym po porażce Nazłymowem. To dobrze się składa, bo inaczej wygrać z nim trudno. Wygrywa 5 : 1.

Walka z Rakitą. Już medalowa! Wiedzą o tym dobrze. Nie jest ładna, ale w dobrym tempie. Wkrótce pot zalewa oczy, wyrównanie 4 : 4 i pierwszy raz w życiu nie słyszy okrzyków publicz-

ności. Rakita wyrównaniem jest nieco zdeprymowany. Rusza lekko do przodu. Za lekko. Pawłowski przyłapuje jego klingę, odbija i rzutem z cięcia na głowę kończy natarcie. Wygrywa!

Ma już brązowy medal! Medal olimpijski! Ale zaraz. Może być srebrny. Trzeba tylko wygrać z Węgrem Pezsą. Łatwo powiedzieć.

Wychodzą obaj na planszę sztucznie uśmiechnięci. Pawłowski zaczyna z animuszem, który został mu po ostatniej walce. Zadaje dwa trafienia i opada z niego napięcie. Ma go. I znów to samo. Za szybko uznał, że wygrał. Pezsa walczy znakomicie, odrabia straty, wygrywa.

„Nic jeszcze straconego" – typowo po polsku pocieszają go koledzy. Ma jeszcze szansę walki z barażu o pierwsze miejsce, pod warunkiem, że przedtem wygra z Rigolim. Wygrać? W tym nastroju? Drobnostka. Poszaleli, czy co? Przecież to niemożliwe.

Siada na ławce, koncentruje się. Sytuacja jest jasna. Rakita ma cztery wygrane walki, on trzy. Ani Tibor, ani Nazłymow na pierwsze miejsce już liczyć nie mogą. Jedno co może zrobić, to wygrać z Rigolim. Innego wyjścia nie ma. Ta świadomość jakby go uspokaja.

Do stanu 3 : 3 walka jest niełądna. Chodzi o to, aby pokonać przeciwnika, a nie o elegancję. Nigdy nie wiadomo, kiedy przychodzą i odchodzą kolejne fale dobrego samopoczucia, w którym gra się jak z nut. Nie sposób wymierzyć tego tak, by nadeszło w najważniejszym momencie, bo nie wiadomo, który jest najważniejszy. Oszczędzanie może skończyć się smutno. Może już nie być walki, na którą się zbiera siły. Tylko mistrzowie potrafią w niewielkim stopniu kierować tym procesem.

Ale on jest mistrzem. Wygrywa 5 : 3, ostatnie dwa trafienia zadając w pięknym stylu. Mimo to jest blady jak ściana, ledwo schodzi z planszy. A tu jeszcze...

A tu jeszcze najważniejsza walka. O złoto z Markiem Rakitą. Przemawia za Rosjaninem zdecydowanie lepsza sytuacja psychiczna, ale przecież nie wiadomo, kiedy przychodzi na człowieka to coś.

Stoją na planszy. Rakita naciera z ręką w górze. Wali przedcięcie i jest 1:0 dla Pawłowskiego. Chwilę później już 2 : 0. Teraz tylko nie śpieszyć się. Ale nie wytrzymuje. Jest 2 : 1. Za moment Rakita popełnia ten sam błąd i już 3:1. Zwycięstwo

coraz bliżej. Złoto błyszczy, kompletnie go oślepiając. Odprężył się nie wiedzieć kiedy.

Rakita korzysta z okazji, odrabia straty. I to jak! Prowadzi 4:3. Dociera w końcu do Pawłowskiego groza sytuacji. I znowu cudowne uczucie olimpijskiego spokoju, chłodna ocena. Spiął się, skoncentrowany jak nigdy dotąd. Atakuje na razie bez skutku. Ale ważne, że przestał się bronić i atakuje. Sędzia daje natarcia równoczesne. Gdzieś, poprzez peryferie mózgu przeleciało mu wspomnienie o śnie z dzisiejszej nocy. Jest 4:4. Od jednego trafienia zależy wszystko. Ma już gotowy plan. Rakita ma go trafić prostym natarciem. Całą siłą woli nakazuje mu takie postępowanie i Rakita rzeczywiście rusza do natarcia. I kiedy jego klinga wisiała nad głową Pawłowskiego, ten z lekkim wychyleniem ciała łapie zasłonę piątą i ripostuje w głowę Rakity, będącego jeszcze w wypadzie, kiedy nie zdawał sobie sprawy, że to już koniec.

Maska frunie pod sam sufit hali. Rakita nie zdejmuje swojej podaje mu rękę i szybko opuszcza planszę. Znowu na rękach, w ramionach kibiców, znowu „Sto lat!"

Jest medal. A właściwie będzie dopiero za chwilę, gdy stanie na pudle z wymalowaną jedynką, ustawionym na samym środku sali, oświetlonej rzęsiście. Będzie, gdy zamrze już echo Mazurka. I znów obłąkańczy tłum gratulantów, wrzawa i buziaki. Odpowiada bezładnie na pytania zmęczony, uśmiechnięty, szczęśliwy.

W tym ścisku nie zauważa krępego mężczyzny o szaroniebieskich oczach, ciemnych włosach i owalnej twarzy ozdobionej nosem w kształcie niezwykle zbliżonym do pospolitej purchawki. Mężczyzna stoi nieco dalej, jakby czekał, kiedy wokół olimpijskiego mistrza nieco się rozluźni.

★

★ ★

Lunqvist, głęboko zamyślony, spod przymkniętych powiek obserwuje Jankowskiego.

– Nie wiem, co o tym sądzić – mówi, gdy tamten skończył. – To przewraca wszystko do góry nogami. Cholerny medal.

– Właśnie – przytakuje Jankowski. – Teraz brakuje mu już tylko dwóch punktów do szablisty wszechczasów. Dlatego

właśnie zdecydował się wracać do kraju.

– Trzeba było coś wymyślić – krzywi się Lunqvist. – Może?

Dla odmiany krzywi się Jankowski.

– To na nic. Pilnował się. Chodził cały czas z grupą.

– Nawet nie porozmawialiście?

– Raz się udało. Robert zaprowadził go do lokalu na Via Inpendence.

– Nikt nie szedł za wami?

– Z meldunków wynika, że nie. Ale, szefie...

– No?

Jankowski poprawił odrobinę rozluźniony krawat.

– Może to i lepiej, że nie został. Skończył studia.

– No to co z tego?

– Mówił, że mają przenieść go do Wojskowej Akademii Politycznej.

– Dopiero teraz mi to mówisz? – Lunqvist ożywił się. – Co jeszcze?

– Myślałem, że szef czytał – dziwi się Jankowski. – To wszystko jest w raporcie.

– Nie miałem czasu – macha ręką Lunqvist. – Myślisz, że tylko jednego Pawłowskiego mam na głowie?

– No, nie, ale on jest najważniejszy.

– Inne sprawy też są ważne – uciął Lunqvist. – Cóż to za dyskusje z przełożonym?

– Jedna ciekawa rzecz – podjął po chwili Jankowski. – Starał się o ataszat.

– Gdzie?

– W Belgii. Poczynił już pewne starania, ale jak na razie...

Lunqvist kręci z powątpiewaniem głową.

– Belgia... Gdyby gdzieś w bloku... A tak... Trzeba wybić mu to z głowy.

– Nie ma obawy i tak go nie mianują. Przynajmniej dopóki uprawia sport. Ale ciekawostka – otóż rozmawiał z ludźmi w polskiej ambasadzie w Brukseli. Okazało się, że Polacy doskonale wiedzą, iż „President" jest, że tak powiem, zradiofonizowany. Przestrzegali go, aby w ogóle tam nie wchodził.

Lunqvist zmarszczył brwi.

– To fatalnie. Polacy na pewno ostrzegli innych. Nie powiedział ci skąd o tym wiedzą?

– Nie wie.

– I co teraz? Cała robota na nic. Wyrzucone pieniądze. Jak się dowiedzieli. I co my zrobimy z tym hotelem?

– Zawsze się jeszcze może przydać. Co prawda, komunistów już tam nie będzie, ale przyjaciół jeszcze można posłuchać.

– To nie to samo. Długo rozmawiałeś z Pawłowskim?

– Nie, dlatego bo Robert niepotrzebnie wsiadł na niego, za to, że nie chce zostać. Nie zdążyłem go uprzedzić i potem, jak już powiedziałem, pilnował się.

– Gorliwość nas kiedyś wykończy – Lunqvist wstał i podszedł do okna.

Rozchylił żaluzje i popatrzył na opustoszały dziedziniec Agencji. Było już późno.

– Mam jeszcze jedną sprawę – odwrócił się i spojrzał na Jankowskiego. – Musisz znaleźć jakąś zaufaną firmę sprzedaży używanych samochodów. Najlepiej w Niemczech Zachodnich. Miałem raport od Kowalskiego z Wietnamu. Widocznie upał nareszcie rozgrzał mu mózg. Melduje, że Polacy z Komisji oszczędzają na dietach, żeby przy powrocie do Europy kupić auto. Poszaleli z tą motoryzacją. Jeszcze zobaczą, czym to pachnie. Ale na razie trzeba ten pęd wykorzystać. Znajdź taką firmę, porozmawiaj z właścicielem i weź adres, poślemy go Kowalskiemu. Z właścicielem umówisz się, aby wskazanym przez nas Polakom sprzedawał auta z pokaźnym rabatem. My to wyrównamy. Jak trzeba będzie, to upomnimy się o swoje. Tam jest sporo wojskowych i kto wie, co z tego wyniknie.

– Rozumiem. Nie będą mieli tyle, aby w razie czego zwrócić różnicę.

– Nawet nie o to chodzi. Wyobrażasz sobie, jak się będą czuli, kiedy zagrozimy przekazaniem szczegółów tych transakcji ich przełożonym? I tłumacz się potem, że nie jesteś kangur. A nawet jak się wytłumaczysz, to zawsze jakiś odór zostanie. Władze tam bardzo pilnują tych spraw, zwłaszcza gdy chodzi o dewizy wojskowych. Znajdziesz taki garaż?

★
★ ★

– Trudno powiedzieć – pułkownik Zajkowski odpowiedział dopiero po chwili. W gabinecie na pierwszym piętrze było mroczniej niż zwykle. Jesień wyjątkowo ciepła i pełne liści drzewa skutecznie osłaniały okna.

Szef wyciągnął rękę, nacisnął wyłącznik i bladożółte światło z lampy w kształcie pokaźnego grzyba rozjaśniło okolice biurka.

– To przecież duża impreza. Z meldunków nic nie wynika. Nie sposób dyskretnie upilnować kilkudziesięciu osób. I to jeszcze na obcym terenie. Poza tym zawodnicy mogą się orientować, kto w ekipie jest z resortu. A na pewno wie ten, komu to będzie przeszkadzać. Moim zdaniem, to nie da rezultatu.

– Krytykować najłatwiej. Masz jakąś propozycję?

Zajkowski uśmiechnął się.

– Jeżeli krytyka, to na pewno konstruktywna. Musimy sprawę rozwiązać inaczej. Przynajmniej jeśli chodzi o nasz pion. Trzeba powołać grupę obserwacyjno-techniczną na najbliższą imprezę. Żadnych związków z ekipą. To musi być samodzielny zespół. I zamiast pilnować sportowców, obserwować tamtych. Przecież mamy parę osób od nich. One nas naprowadzą na ślad.

– Ale może się tak złożyć, że kontakt podejmie ktoś taki, kogo nie znamy i co wtedy?

Pułkownik potrząsnął głową.

– Nie ma obawy. Znamy tych z wyższego szczebla. Zawsze będą czuwać w pobliżu.

Szef pomyślał chwilę.

– Dobrze. Napisz wniosek ze szczegółowymi założeniami. Trzeba się będzie nad tym zastanowić.

★
★ ★

Przyjęcie w Helenowie na cześć olimpijczyków wchodziło w kulminacyjną fazę. Wygłoszono już toasty, powręczano odznaczenia i sto kilkadziesiąt osób rozpełzło się po salonach pałacu, tworząc małe grupki.

Pawłowski stał ze swoimi, trzymając w ręku kieliszek z żubrówką i słuchał ich podnieconych głosów. Kątem oka spojrzał na medal „Za wybitne osiągnięcia sportowe" świeżo połyskujący w klapie garnituru. Już szósty, stan posiadania ostatnio wyraźnie się powiększył. Również w liczbie tych medali.

Wreszcie znużył go gorączkowy tok rozmów, toczących się równolegle i przez to chaotycznych. Za szybko, za nerwowo przeskakiwali z tematu na temat. Myślał o swoich sprawach. Miał nieuchwytne wrażenie, że czas jeszcze bardziej przyspieszył. To już nie karuzela, lecz obłąkańczy galop, jakiś ciemny wir bez dna, w którym on jak ciśnięty na fale korek, bezradnie poddaje się kaprysom losu, nieuchronnie zmierzając ku ostatecznej przepaści.

Nie myślał o tym, że sam rzucił się głową naprzód w tę wrzącą topiel, która wciągała go coraz szybciej i bez ratunku. Bez ratunku? Gdyby wtedy, w Padwie, albo jeszcze w Nowym Jorku postąpił tak jak powinien, to dzisiaj mógłby być najszczęśliwszym człowiekiem w tym pałacu.

Jakże naiwne wydawały się teraz jego niedorzeczne pomysły. Z rozkoszą poddałby się nieuchronnemu wypytywaniu, gdyby po powrocie ze Stanów poszedł, na przykład na Lotki i powiedział co się stało. Pomęczyliby go i już. A nawet, gdyby go na wszelki wypadek przytrzymali w kraju jakiś czas... Na wszystko by się z radością zgodził, aby tylko nie być w takiej sytuacji jak teraz.

Teraz? A może wybrać się, powiedzieć i, niech się dzieje co chce? Pokręcił głową. Za późno. Skandalu nie da się już uniknąć. Pomyślał o zachwyconych zawistnych, których przecież nie brak, o karierze, jaką dzięki temu mogłoby zrobić parę osób.

Upił nieco z trzymanego w ręku kieliszka. Od lotników dowiedział się, że sytuacja, bez względu na podejmowane działania, kończąca się zawsze katastrofą, jest przez nich określana mianem „lejka".

Nie da się ukryć. Był w „lejku".

Chyba że...

W drzwiach salonu, w którym stali, ukazał się minister w otoczeniu adiutantów. To może być wyjście. Pójść do niego, powiedzieć, poprosić o pomoc. Wskazać na propagandowy aspekt sprawy. Niech decyduje on, a nie jakiś szeregowy pracow-

nik śledczy, któremu może się Bóg wie, co zamarzyć. Tylko sama góra może łeb ukręcić sprawie, albo w końcu znaleźć jakieś inne możliwe do przyjęcia wyjście. Przecież jest pupilkiem. Są mu to winni.

Przedarł się przez gęstniejący tłum wokół ministra.

– A oto nasz bohater – powiedział generał na jego widok. – Drogi kapitanie, przyjmijcie gratulacje za waszą postawę na olimpiadzie.

Asystujące grono skwapliwie przytaknęło.

– Dziękuję za słowa uznania – odparł Pawłowski. – Korzystając z okazji, miałbym prośbę.

– Jaką? – minister rozejrzał się po obecnych. – Rzeczywiście, szabliści mają nie byle jaki refleks. Trafił mnie w pierwszych sekundach.

Rozległy się śmiechy.

– No więc o co chodzi? Jeżeli będę mógł, pomogę.

Zapadła cisza. Wszyscy ciekawi byli życzeń Pawłowskiego. Ten przygryzał wargi. Inaczej to spotkanie sobie wyobrażał, ale trzeba korzystać z okazji. Następnej może już nie być.

– Chciałbym prosić o spotkanie.

– W jakiej sprawie? – minister zmarszczył brwi.

– Osobistej.

– To normalną drogą nie można było się zgłosić? Ech, wy sportowcy... Nawet na przyjęciu musicie mi głowę zawracać. Pewnie chodzi o mieszkanie?

– Nie, nie o mieszkanie – powiedział z trudem.

Minister skinął na jednego z adiutantów.

– Wyznaczcie kapitanowi Pawłowskiemu termin. Byle nie w tym miesiącu. Zatelefonujcie, kapitanie w tej sprawie do adiutantury. No, bawcie się dobrze – podniósł rękę i nie żegnając się z nikim opuścił salę.

Pawłowski został sam, spocony, ale zadowolony. Jeszcze wszystko może obrócić ku dobremu.

★

★ ★

– Chciałbym porozmawiać z jakimś oficerem śledczym. Nazywam się Jerzy Pawłowski.

Był na Lotki w biurze przepustek.

Po chwili siedział już przed oficerem w niewielkim pokoju na parterze. Młody człowiek nosił mundur z dystynkcjami porucznika, do ostatniej zapiętej haftki zgodny z regulaminem.

– Słucham? – był grzeczny, ale oficjalny.

Pawłowski zerknął przez okno, jakby zastanawiając się, od czego zacząć. Sporo go kosztowało przyjście tutaj. Pewnie by się nie zdecydował, gdyby nie upór Iwony.

Od spotkania w Helenowie upłynęło parę miesięcy. Uspokojony perspektywą rozmowy z ministrem, nie od razu zdecydował się na telefon. Miał zresztą kilka wyjazdów, i nie bardzo mogli dopasować termin spotkania. Potem znów minister był zajęty. I jest do tej chwili. Wolał się więc tu nie pokazywać zanim nie wyjaśni... A przyszedł tu z drobiazgiem.

– Moja żona pracuje w szpitalu wojskowym – odezwał się. – Zginęła jej obrączka i dowód osobisty. Ponieważ to jest teren wojskowy, pomyślałem więc, że...

– Zajmiemy się tą sprawą. Proszę wszystko dokładnie opowiedzieć.

★

★ ★

– Słyszałeś coś o tym, że Inspektorat Lotnictwa ma być przeniesiony do Poznania? – kilka miesięcy później w Brukseli zapytał Jankowski Pawłowskiego.

Spotkanie miało się ku końcowi. Odbywało się jak zwykle w hotelu „President". Gdy się wie, że jest podsłuch, to prawie tak, jakby go nie było. Jankowski zresztą zapewnił na samym początku, że w ich pokoju wszystko osobiście powyłączał.

Siedzieli odprężeni i popijali niespiesznie.

– Nic mi się nie obiło o uszy – odparł po chwili Pawłowski.

Zapadła cisza. Obaj byli zmęczeni kilkugodzinną rozmową. Na planie Warszawy ustalili drogi dojazdowe do Pierwszego Korpusu OPK, rysowali plan lotniska z hangarami, hamownią, parkiem samochodowym, magazynem paliwa i mundurowym. Sprecyzowali wzory przepustek.

– Pamiętasz jak mówiłeś, że chcesz pracować w ataszacie? – pierwszy jak zwykle ocknął się Jankowski. Wydmuchiwał dym papierosowy i obserwował, jak ginie gdzieś na suficie.

– Pamiętam, i co? – Pawłowski sięgnął po szklankę z wodą mineralną.

Było gorąco mimo klimatyzatora działającego na cały regulator. Tego lata nawiedziły Belgię nienotowane od lat upały.

– Nie radzę – mruknął Jankowski. – W waszej ambasadzie tutaj jest sporo kanciarzy. Po co się masz narażać?

– Kanciarzy?

– Kombinują złotem, walutami – Jankowski przeciągnął się aż zatrzeszczały kości. – Jak chcesz, to mogę ci pokazać stację benzynową, gdzie sprzedają kupony. Moim zdaniem lepiej zrobisz, jeżeli pójdziesz na ten WAP. No, dobra, pora kończyć. Kiedy spotkamy się w Nowym Jorku, dostaniesz odpowiedź co do radia i łącznika, ale nie sądzę, aby Lunqvist się zgodził. Całe twoje bezpieczeństwo zasadza się właśnie na tym, że nie masz żadnych środków technicznych. Ale zobaczymy. Aha – dodał, kiedy Pawłowski po pożegnaniu trzymał już rękę na klamce. – Zapomniałem. Masz i pokwituj.

Pokwitował.

★

★ ★

– Bardzo mi przykro, obywatelu majorze – głos adiutanta robił wrażenie, jakby mu było rzeczywiście przykro. – Towarzysz minister jest teraz bardzo zajęty. Pozwolę sobie poinformować obywatela majora, kiedy towarzysz minister będzie wolniejszy. Jednocześnie gratuluję awansu.

Co było robić?

Zdjął wyjściowy mundur, przebrał się w cywilne ciuchy i spędził resztę dnia na działce. Tu satysfakcję miał zapewnioną. Domek, od fundamentów wznoszony własnymi rękami, podchodził już pod dach.

Z jakąś nie znaną sobie dotąd zaciekłością zabrał się do roboty. Chciał fizycznego zmęczenia i już po dwóch godzinach osiągnął cel. Był tak zmordowany, że nareszcie przestał myśleć o tamtym.

★
★ ★

Sklepik Sznajdermana znajdował się po drugiej stronie 7. alei, prawie na wysokości wejścia do New York Athletic Club. Był to niewielki magazyn typu „nafta, mydło i powidło", z dumnym szyldem „Drugstore".

Kiedy przylatywał do Nowego Jorku spodziewał się, że sklepik zbankrutował już, pochłonięty przez bezlitosne koncerny towarowe, które rozsiadły się wzdłuż całej alei. Zawsze kupowali tu różne drobiazgi, poniekąd ze względu na ceny, niższe niż gdzie indziej, poniekąd zaś z uwagi na obsługę mówiącą po polsku. Mimo naporu koncernów, sklepik Sznajdermana trwał jednak w najlepsze, jakby szydząc z reguł gry wolnego rynku. I tym razem wstąpił kupić komplet długopisów. Na jego widok z zaplecza wyskoczył właściciel, starszy brodaty Żyd, w okularach i mikroskopijnej mycce na głowie.

– Panie Pawłowski, ja dawno pana nie widziałem, ja już myślałem, że panu sprzykrzył się stary Sznajderman.

Pawłowski uścisnął mu dłoń.

– Jeździłem po świecie.

– A czy ja nie jeździłem, panie Pawłowski? Ale to dawno i nieprawda. Nie masz pan pojęcia, jak ja się cieszę, że pana widzę! Czego sobie mistrz życzy?

– Jakiś ładny komplet długopisów.

– Długopisy? U mnie są najlepsze na świecie długopisy. Nigdzie pan nie znajdziesz takich długopisów jak u Sznajdermana. Gdyby Mickiewicz miał długopis od Sznajdermana, to on by nie tylko „Pana Tadeusza" napisał. On by napisał poezje na wszystkie imiona – wyłożył na ladę z tuzin efektownie opakowanych kompletów. – Co ja mówię na wszystkie imiona? On by napisał na wszystkie nazwiska. Popatrz pan – podsunął mu pod nos opakowanie efektowniejsze od pozostałych.

Pawłowski zerknął na zegarek. Do spotkania było jeszcze trochę czasu. Wziął więc do ręki pudełko i zaczął mu się przyglądać.

– Co to jest, panie Sznajderman?

– Pan się pyta co to jest? To jest taki wynalazek w długopisach, że aż mnie starego Żyda, który niejedno już widział w życiu po prostu zatyka. To jest, uważasz pan, kosmiczny wyna-

lazek, to jest, panie Pawłowski, piramida dwudziestego wieku. On pisze na osiemnaście kolorów. To jest taki długopis, że gdyby Mickiewicz nie umiał pisać, to by nim na pewno umiał malować.

– Panie Sznajderman, co pan z tym Mickiewiczem?

Sznajderman zamilkł. Spojrzał na Pawłowskiego przepraszająco.

– Co wieczór czytam Mickiewicza – rzekł cicho.

★
★ ★

Lokal, do którego zaprowadził go Jankowski był jednopokojowym mieszkaniem z małą kuchenką i przedpokojem. Wewnątrz panowała dziwna, niebieskawa poświata niezależnie od pory dnia, gdyż nie dalej niż trzydzieści centymetrów od okna wznosiła się ściana sąsiedniego budynku z nieotynkowanych cegieł. To właśnie sprawiało, że przez cały czas trzeba było palić dwie żarówki umieszczone w kinkietach ocienionych bladoniebieskimi kloszami.

Od ostatniej bytności Pawłowskiego zaszły zmiany w umeblowaniu. Centralne miejsce w pokoju zajmował teraz duży fotel ustawiony przodem w kierunku ściany, z której pozdejmowano obrazki i półkę, więc nic nie zakłóciło monotonnej powierzchni. Obok fotela, nieco z tyłu, stał niewielki stolik ze sporą, metalową walizką na blacie.

Zdjęli płaszcze, powiesili w przedpokoju, Jankowski krzątał się w kuchence szykując drinki i orzeszki.

– Co ciekawego? – zagadnął stawiając obok walizki tacę.

– U mnie? Nic specjalnego przez te pół roku...

– Siedem miesięcy – poprawił sucho Jankowski.

Pawłowski spojrzał na niego ze zdziwieniem. Co go ugryzło?

Jankowski pośpieszył zaspokoić jego ciekawość.

– Nic takiego się nie działo, mówisz? – rzucił na stolik zdjęcie wyciągnięte z wewnętrznej kieszeni garnituru. – Nic?! Uważasz, że wszystko jest w porządku? To obejrzyj sobie tę fotografię! Ciekaw jestem, co o niej powiesz!

Pawłowski wziął do ręki zdjęcie i zaniemówił. Fotografia, robiona jakby z góry, przedstawiała w ostrym skrócie perspekty-

wicznym fragment ulicy z wejściem do gmachu. W momencie robienia zdjęcia jakiś mężczyzna wchodząc, otwierał właśnie drzwi do budynku. Od razu rozpoznał dom i mężczyznę. Był to on sam przd wejściem do WSW na Oczki.

Kiedy, na litość boską, i jak, zrobili to zdjęcie?!

Położył je ostrożnie na skraju blatu, jakby to była płytka prasowanego dynamitu. Jankowski patrzył na niego nieżyczliwie.

– Mów! – krzyknął, widząc, że Pawłowski nie kwapi się z zabraniem głosu. – Tylko nie próbuj kręcić. Coś tam robił?!

Sympatyczny i miły Jankowski zniknął gdzieś bezpowrotnie.

Wyjaśnił mu w końcu powody i okoliczności, które zmusiły go do wizyty.

Jankowski podejrzliwie wypytywał o najdrobniejsze szczegóły i dopiero po dłuższej chwili uznał, że wszystko w porządku. Burza minęła, znów był miłym, dowcipnym człowiekiem, ale Pawłowski czuł, że pewien okres ich znajomości minął raz na zawsze. Jankowski odwrotnie starał się wrócić do dawnej zażyłości, jakby nie zdawał sobie z niczego sprawy. Wkrótce wyjawił i drugi powód przyjścia do kontaktowego lokalu.

W parę minut później Jankowski gdzieś zatelefonował i poprosił kogoś o przyjście. Gdy rozległ się dzwonek u drzwi, poszedł otworzyć. Wrócił w towarzystwie bladego mężczyzny w okularach, ubranego w biały fartuch, co mu nadawało niesłychanie kompetentny wygląd.

– Przedstawiam ci naszego specjalistę od wariografów – powiedział, trzymając dłoń na ramieniu bladego. – Światowej klasy ekspert w tej dziedzinie.

– A co to jest wariograf?

– Nie wiesz? Aparat do wykrywania kłamstw.

Pawłowski się skrzywił.

– Wiem. Czytałem coś na ten temat i wiem, jak to działa. Nie wierzę w te bzdury.

– Mogę cię zapewnić, że działa znakomicie. Praktycznie nie ma możliwości, aby tę aparaturę oszukać. Normalny człowiek nie jest w stanie kontrolować kilku naraz odruchów i reakcji. A jeżeli nawet, to każdy fachowiec bez trudu z wykresu rozpozna. Właściwie tylko imbecyl, do którego nic nie dociera, mógłby zafałszować wyniki. Ale co komu po imbecylach? My dajemy się badać regularnie, choć musisz wiedzieć, że próba jest ab-

solutnie dobrowolna. Jak nie chcesz, to nie. Ale odmowa nie jest dobrze widziana. Oczywiście, jeżeli chodzi o etatowych pracowników. Mogę ci powiedzieć, że rzadko kiedy ktoś odmawia. Goleniewski i Tykociński aż się rwali, abyśmy sprawdzili ich motywacje. A propos, wiesz jak zginął Tykociński?

– Różne takie ploty. Mówili, że w wypadku, że zemsta zza żelaznej kurtyny i takie tam...

– Bzdura – Jankowski się żachnął. – Zwyczajnie, umarł w szpitalu. Na marskość wątroby. Powiedział, co wiedział i zaczął pić. Ale jak pić! I tak cud, że aż tyle czasu się trzymał. Co prawda, pod koniec nie wyglądał szczególnie pociągająco, ale co wypił, to jego. No to co, zgadzasz się na badania?

Pawłowski wzruszył ramionami.

– Proszę bardzo. I tak w to nie uwierzę.

Specjalista, dotychczas trzymający się na uboczu, podszedł do stolika i otworzył walizkę. Wewnątrz było urządzenie podobne do przenośnego encefalografu, działające zresztą na zbliżonej zasadzie.

Specjalista posadził Pawłowskiego na fotelu, twarzą do ściany. Przepasał go na wysokości piersi gumową rurą, do palców przyczepił elektrody i zajął się rozgrzewaniem urządzenia.

Jankowski wyciągnął kartkę papieru z tuzinem pytań.

– Przeczytam teraz, o co cię zapytamy. Podczas badania będziesz odpowiadał tylko „tak" lub „nie".

– Treść pytań? – zdziwił się Pawłowski. – Myślałem, że ważny jest element zaskoczenia.

– Niepotrzebny – wyjaśnił Jankowski. – Ważniejsze, aby badany dokładnie zrozumiał sens każdej kwestii. Jak skończę, powiesz mi czy wszystko zrozumiałeś.

Zrozumiał. Pytania sformułowano prościutko. Pawłowski nie znał w szczegółach metodyki tego rodzaju badań, więc nie wiedział, że należały do trzech zasadniczych rodzajów. Pytania neutralne: „czy dziś jest wtorek?" Pytania kontrolne mające na celu zbadanie reakcji przy napięciu wypływającym z poruszenia kwestii, na przykład: „czy ukradł pan cokolwiek w życiu?" i pytania zasadnicze: „czy jest pan agentem wywiadu?"

Pawłowski stwierdził, że wszystko rozumie. Kazano mu rozsiąść się wygodnie i już nie ruszać. Aparat cichutko cykał, a wstęga papieru z czterema czerwonymi śladami pisaków z wolna układała się na podłodze. Pytania padały mniej więcej co

dwadzieścia sekund, po czym powtórzono je w nieco innym porządku. Cała operacja trwała pół godziny.

– No i co? – zapytał z ciekawością, jak tylko pozwolono mu wstać.

Fachowiec kończył zakreślać niebieskim ołówkiem niektóre miejsca na wykresie.

– Jesteś kłamcą – powiedział Jankowski, ale nie wiadomo było, czy mówi poważnie.

Technik podsunął mu wykres, pokazując jeden fragment.

– Czy jesteś pewien, że na wszystkie pytania odpowiedziałeś zgodnie z prawdą? – zapytał podnosząc wzrok na Pawłowskiego.

– Mmm... oczywiście – odparł. – A bo co?

– A to, że w pytaniu numer pięć skłamałeś – powiedział twardym głosem Jankowski i wskazał odpowiednie miejsce zapisu. Przy pośpiesznie napisanej piątce, która oznaczała moment udzielenia odpowiedzi – łagodnie wyginające się do tej pory linie czerwonego tuszu nagle strzeliły w górę, w dół, znacznie przekraczając dotychczasową amplitudę. Pawłowski nie wierzył własnym oczom.

– Niemożliwe – wyjąkał po chwili.

– Co niemożliwe? – Jankowski nie spuszczał z niego oczu.

Pytanie brzmiało: „Czy wypełniając kiedykolwiek urzędowe ankiety lub dokumenty, skłamał pan?"

Pawłowski dał odpowiedź: „nie".

– Spróbowałem oszukać – wciąż patrzył ze zdumieniem na trzymany przez Jankowskiego wykres. – Po prostu żeby stwierdzić, czy to naprawdę działa. Ale działa rzeczywiście.

– Wyjaśnij – głos Jankowskiego był suchy, naglący.

Pawłowski uśmiechnął się.

– Chyba dziesięć lat temu pojechałem na letnisko. I sołtys przyszedł, aby wypełnić druczek meldunkowy, bo zapomniałem tego zrobić. Byłem zły, że zawraca mi głowę. Komu to potrzebne? I żeby się przekonać, że nikt tego w ogóle nie czyta, w rubryce zawód napisałem: „admirał floty czarnomorskiej". Sołtys druczek zabrał i tyle go widziałem. Wyleciało mi to zupełnie z głowy i dopiero teraz, kiedy omawialiśmy pytania przypomniałem sobie o tym i postanowiłem sprawdzić wasze cudo.

– Sprawdziłeś? – w głosie Jankowskiego zabrzmiała satys-

fakcja. – Nawet takie głupstwo, a już powoduje reakcję, którą aparat wychwytuje bezbłędnie.

Technik zwinął przewody i zamknąwszy walizkę kiwnął głową w niemym pożegnaniu. Zostali sami. Na szczęście nie przyszło im do głowy, aby uwzględnić w pytaniach sprawę jego kontaktów z ministrem. Z tego już tak łatwo by się nie wytłumaczył.

Jankowski usiadł z boku, wyciągając notes.

– Mamy jeszcze parę spraw do załatwienia – po jego głosie nie sposób było poznać, co sądzi o przebiegu badania.

Długo przewracał kartki.

– Powiedz, jak kadra wojskowa przyjęła interwencję w Czechosłowacji?

Gdy po godzinie zamknęły się za Pawłowskim drzwi, Jankowski chwycił za słuchawkę.

– W porządku – rzekł, gdy zgłosił się rozmówca. – Możecie go przepuścić.

★
★ ★

– Kiepsko ci poszło.

Lunqvist odłożył raport na biurko i spojrzał na Jankowskiego. Ten niechętnie wzruszył ramionami.

– On już niewiele powie – rzekł kręcąc głową. – To co mówił nie ma większej wartości. Uważa, na przykład, że wszyscy bez wyjątku popierają politykę rządu w tej sprawie. Nie bardzo chce mi się w to wierzyć. Dyscyplina dyscypliną, ale to niemożliwe. Uważam szefie, że jako obserwator polityczny niestety się nie spisał.

– Chyba masz rację – Lunqvist zaczął wystukiwać palcami nieśpieszny rytm na krawędzi biurka. – Tym bardziej trzeba się zastanowić nad wykorzystaniem go w inny sposób. O tym WAP-ie może jeszcze coś dojdzie, ale trzeba szykować ściągnięcie go do Stanów. I to z jak największym hukiem.

– Nie takie proste – zaoponował Jankowski. – Jest wyraźnie uczulony na tę kwestię. Zwłaszcza po Meksyku.

– Fakt, Robert kiepsko tam pograł. Ale to nic dziwnego. Był kiedyś pomocnikiem Kowalskiego. Mam nadzieję, że ty nie pokrzykiwałeś na niego przy okazji ostatniego kontaktu.

– Skąd, szefie. Zgodnie z instrukcją, pod sam koniec spotka-

nia znów o to zahaczyłem. Zaproponowałem mu funkcję trenera w najelegantszym klubie Nowego Jorku.

– I co?

– I nic. Nie chce. Nastroszył się.

– Ile mu obiecałeś?

– Dwa tysiące miesięcznie.

– Odmówił? – zdziwił się Lunqvist.

– Odmówił i zaraz poszedł.

Lungvist zamyślił się.

– Do diabła, czuję, że coś się psuje. Musimy – spojrzał na Jankowskiego – działać bardziej zdecydowanie. Przede wszystkim trzeba podejść do niego delikatniej i znaleźć kogoś, kto nie nasunie mu podejrzeń, że my za tym stoimy. Można mu obiecać co zechce, aby tylko został. Po jego reakcji na taką propozycję, będziemy już wiedzieli, co sądzić i co z Pawłowskim zrobić.

Wstał. Jankowski podniósł się również.

– Poszukaj kogoś takiego w naszych zbiorach. Dasz mu pełnomocnictwa i niech się bierze do roboty.

– Swoją drogą – dodał, gdy Jankowski zbliżał się już do drzwi – jestem ciekaw, czy wybierzesz tego, o którym myślę.

★

★ ★

– Pawłowski?

W gabinecie zapadła cisza.

– Pawłowski? – mężczyzna o rumianej twarzy przeszedł tak wiele w życiu, że niełatwo go było zdziwić, ale mimo to w jego głosie słychać było zaskoczenie.

Pułkownik Zajkowski wyjął niewielką karteczkę.

– Według meldunku grupy – mówił starannie ważąc słowa – jest zupełnie pewne, że podczas zawodów w Nowym Jorku był w dziwnym domu z dziwną wizytą. Trwała półtorej godziny. Niestety, nie wiadomo, o co chodziło, o czym i z kim rozmawiał.

– Może zwykłe spotkanie towarzyskie?

– Może. Ale kiedy wyszedł, bardzo mu się spieszyło, rozglądał się na wszystkie strony.

– To jeszcze o niczym nie świadczy.

– Nie. Ale grupa została pod domem i dla świętego spokoju

zrobiła zdjęcie wszystkim, którzy do zmierzchu go opuszczali.

– I co? – przełożony wiedział, że pułkownik Zajkowski tego, co mówi, nie mówi na wiatr.

– Dwie twarze wydały się jakby znajome. Sprawdzamy.

– Pawłowski... – szef nie pogodził się jeszcze z nowiną. – Po co mu to? Chyba przesadzacie. Ale przyjrzeć się bliżej nie zawadzi.

Zajkowski pokiwał głową.

– To właśnie chciałem zaproponować.

★
★ ★

– Bardzo żałuję.

Pawłowskiemu wydało się, że głos adiutanta jest o ton chłodniejszy. Czyżby się narzucał? To czemu wprost nie powie, żeby nie zawracał głowy?!

– Minister kazał powtórzyć obywatelowi majorowi, że nie będzie mógł was przyjąć w najbliższym czasie. Ma bardzo napięty terminarz.

– To co mam robić? – zapytał dość bezradnie.

– Musicie się dowiadywać – zachrobotało w telefonie.

– Jak tylko znajdzie się jakaś wolna godzinka...

– Dziękuję – odłożył słuchawkę. Już sam nie wiedział, co o tym myśleć. Wobec tego pojechał na działkę. Układać dach.

★
★ ★

– A to pan zna?

Wziął do ręki niewielką książeczkę. Miała tytuł „The Painted Bird". Jako autor figurował Jerzy Kosiński.

– Coś słyszałem – odparł.

– Kosiński to bogaty człowiek – powiedział Sznajderman. – Zrobił duże pieniądze na tej książce, a jeszcze przedtem bogato się ożenił. Ma głowę na karku.

– Słyszałem, że to pornografia – rzekł Pawłowski przewracając kartki. – A na dobitek opisuje Polaków jako bandę troglodytów. Jak pan to może sprzedawać, panie Sznajderman?

Właściciel sklepu zamachał rękami.

– Ja mam wiedzieć, czy to jest pornografia czy nie? Ja tego nie czytam, ja to sprzedaję. Ja muszę z czegoś żyć. To się dobrze sprzedaje i ja z tego żyję. To co mnie to obchodzi, czy to jest pornografia czy nie? Ja panu powiem coś innego. Ja Kosińskiemu powiedziałem, że pana znam i to na nim zrobiło wrażenie. On chciał pana poznać. To czy on może do pana zadzwonić? Sam panu powie, czy to pornografia czy nie.

Pawłowski wzruszył ramionami.

– Jak mu na tym zależy – mruknął odkładając książkę.

Już od drzwi odwrócił się i spojrzał na Sznajdermana.

– Na Mickiewiczu robi pan gorsze interesy?

Trzy godziny później w jego pokoju na jedenastym piętrze New York Athletic Club rozdzwonił się telefon.

– Pan Jerzy Pawłowski? Stary Sznajderman powiedział, że mogę do pana zadzwonić. Nazywam się Jerzy Kosiński. Bardzo chciałbym pana poznać.

Poznali się.

Od pierwszego momentu Pawłowski był nieco oszołomiony i stan ten w miarę upływu czasu pogłębiał się. Zrobił na nim wrażenie i rolls-royce, którym Kosiński zajechał, budząc umiarkowaną sensację wśród przechodniów na 7. alei, i opowieści o prywatnym samolocie, o posiadłościach w Maroku i Kalifornii, dokąd lata na weekendy i wspaniałe nowojorskie mieszkanie, w którym siedzieli prowadząc nieśpieszną rozmowę po wyśmienitym obiedzie w Waldorff-Astorii.

Kosiński robił wrażenie ekspansywnego biznesmena, któremu się powiodło i z czego nie robił tajemnicy.

W chwili, gdy skończył opowiadać o swoich przewagach finansowych Pawłowskiemu, który leniwie zastanawiał się po co właściwie o tym mówił, zadzwonił telefon. Kosiński przechylił się przez oparcie kanapy i z puszystego dywanu zaścielającego podłogę wyłowił słuchawkę.

– Cześć. To wspaniale, że dzwonisz, Viola. Tak, mam gości. A właściwie tylko jednego, ale za to jakiego. Wpadnij, to się przekonasz. Na razie.

Odłożył słuchawkę i z niejakim wysiłkiem powrócił do mniej więcej normalnej pozycji.

– Stara znajoma. Jeszcze z czasów, kiedy zajmowałem się fotografią, po przyjeździe z Polski. Można powiedzieć – uśmiechnął się – że nawzajem sobie pomagaliśmy. Tylko, że ja

rzuciłem, a ona dalej robi w tym biznesie.

Dopijali drugiego drinka, gdy rozległ się spiż, donośny niczym dzwon katedry Notre Dâme. Tylko taki odgłos był godny informowania gospodarza o czekających przed drzwiami gościach. Kosiński podniósł się i po kilku płaskich schodach zszedł do przedpokoju. Wrócił po chwili z wysoką dziewczyną w dżinsach i w trykotowej koszulce z gatunku tych, jakie podobno uwielbiają nosić marynarze. Ta, którą miała dziewczyna na sobie, najwidoczniej musiała zostać zdarta z wyjątkowo mizernego chłopca.

– Poznajcie się. Jurek... Viola.

Dopiero teraz poznał ją rzeczywiście. Wtedy miała długie, jasne włosy, zmienione teraz w pełną loczków kruczoczarną fryzurę.

– Miło cię poznać.

Nie pamiętała go. Postanowił jej nie przypominać o krótkiej rozmowie sprzed lat.

Kosiński skończył właśnie pośpieszną relację, kim właściwie jest Pawłowski. Oczy Violi błysnęły zainteresowaniem.

– Zawsze marzyłam, żeby poznać sławnego sportowca – słowa były mniej oryginalne, niż wygląd rozmówczyni. – Musisz mi opowiedzieć, jak to jest, kiedy człowiek bije się z drugim, tam, na... tym ringu.

– Planszy – poprawił ją machinalnie. Uśmiechnęła się rozkosznie.

– No właśnie. Na planszy.

– Trudno powiedzieć w dwóch słowach. Spróbuj sama, to się przekonasz.

Roześmiała się na cały głos.

– Wolę walki bez metalowych przyrządów. I niekoniecznie na rin... planszy.

– Jakie walki? – Jerzy w pierwszej chwili nie zrozumiał.

Wciąż się śmiała, nawet głośniej niż przed chwilą.

– Wiesz – rzekła zwracając się do Kosińskiego, który spoglądał właśnie na zegarek -- ten twój kolega jest naprawdę wspaniały.

– Mówiłem przecież – odparł, trochę niecierpliwie, Kosiński. – Słuchajcie, dzieci. Muszę was zostawić na chwilę samych. Mam ważne spotkanie. Zajmij się Viola gościem. Możesz poczytać mu moje dzieło. Zaraz wracam.

Gdy tylko wyszedł, Viola ochoczo chwyciła leżącą na stoliku książkę. Było to kieszonkowe wydanie „Malowanego ptaka", które widział u Sznajdermana. Viola wyciągnęła się na kanapie. Jerzemu wydawało się, że słyszy jak jej koszula zaczyna trzeszczeć w szwach, bez reszty wypełniona bujnym ciałem Violi.

Było to złudzenie. Odzież marynarska jest obliczona na sztormowe przeciążenie i nawet granitowy biust nie da jej rady. Cała nadzieja w tym, że dostał się jej wybrakowany egzemplarz. Zajęty problemami wytrzymałości materiałów, nie od razu chwycił sens tego, co czytała już od dłuższego czasu. Jej brookliński akcent nie ułatwiał bynajmniej sprawy. Zrozumiał tylko, że mowa jest o koźle, zachęconym poprzez łachotanie brzucha do kopulacji z dziewczyną – a dalej o butelce z gnojówką wepchniętej szyjką do pochwy i stłuczonej potem kopniakami. Wszystko ze szczegółami.

– Obrzydliwe.

Viola podniosła twarz.

– Nie da się ukryć – westchnęła i zamknęła książkę. – Ma sukinsyn wyobraźnię, trzeba mu przyznać.

– Chorą.

Wzruszyła ramionami.

– Co chcesz? Grunt, że się sprzedaje.

Nastrój był jednak zwarzony. Siedzieli z dala od siebie popijając i od czasu do czasu wymieniając obojętne półsłowa. Tak doczekali przyjścia Kosińskiego.

– Co jest? – zapytał, jednym rzutem oka oceniając sytuację. – Urządziliście sobie dom pogrzebowy? Viola, nie spodziewałem się tego po tobie.

Wstała obciągając koszulkę. Mimo wszystko był to widok godny uwagi.

– Twój przyjaciel jest niesłychanie wrażliwy. To ta twoja cholerna książeczka. Powiedz mi – zwróciła się do gospodarza – czy ty przypadkiem nie jesteś zboczony? Badałeś się u specjalistów?

– Co cię ugryzło, Viola? Gdybym cię nie znał, to bym pomyślał, że wyrosłaś w klasztorze, a nie... O mojego lekarza się nie bój. Niedawno badałem się gruntownie i orzekł, że wszystko jest w najlepszym porządku.

– Taak? To ja ci radzę, zmień go jak najszybciej.

Machnęła ręką w kierunku Pawłowskiego.

– Muszę już lecieć. Do miłego.

Majestatycznie zeszła po schodkach i zniknęła w przedpokoju.

– Te kobiety – westchnął Kosiński, gdy zostali sami. – Zapomniała jak jej robiłem zdjęcia dla starszych panów i takie tam filmiki na rozruch. Ale nie mówmy o tym. Są ważniejsze sprawy.

Nalał do opróżnionych szklanek. Wypili.

– Mam dla ciebie fantastyczną propozycję. Znamy się tych parę godzin, ale każdy ci powie, że ja błyskawicznie poznaję się na ludziach. – Uśmiechnął się. – Inaczej zresztą nie doszedłbym do tych pieniędzy, które mam. Od dawna myślałem o poznaniu kogoś takiego jak ty. Sławnego, zdolnego, przedsiębiorczego. I oto los sprawił... Mam pomysł. Załóżmy spółkę. Ja daję forsę, ty nazwisko. Sieć klubów sportowych dla bogatych. Lekkie treningi, takież trunki w barze, wyspecjalizowana obsługa. Jeżeli dasz firmę nie opędzimy się od chętnych. Nie masz pojęcia, jaki tu panuje kult fachowości. Wkrótce nasze kluby będą w każdym większym mieście Ameryki. Nakręci się prasę i telewizję. Zdajesz sobie sprawę, jakie to mogą być... Co ja mówię mogą, jakie to będą pieniądze?

– Jak sobie wyobrażasz mój udział w tej imprezie?

Kosiński schował twarz w szklance.

– No wiesz... Byłbyś prezesem, a ja, powiedzmy, dyrektorem finansowym. Przynajmniej na początku musiałbyś doglądać działalności sportowej. Najważniejsze to stworzyć modę. Z moimi kontaktami i z twoim nazwiskiem – żaden problem. A na dowód, że traktuję tę propozycję poważnie – odstawił szklankę i sięgnął do kieszeni wyciągając szarą, podłużną książeczkę czekową – zaraz wypiszę czek z kapitałem, który na początek zainwestuję w to przedsięwzięcie.

Wyciągnął długopis i zaczął nieśpiesznie wypełniać kolorowy kwit. Pawłowski z rosnącym zaciekawieniem obserwował ilość cyfr postawionych przez Kosińskiego w miejscu, gdzie podaje się kwotę.

– Popatrz – kiedy skończył pisać podsunął mu pod oczy. – Półtora miliona dolarów. Na początek.

W pokoju zapadła cisza.

– Oczywiście, wypiszę drugi czek – podjął, gdy milczenie się przedłużało. – Dla ciebie, żebyś mógł się tu jakoś urządzić jak

zostaniesz. Zapewniam cię – dodał zapisując kolejną kartkę w książeczce – że nie będzie to suma pięciocyfrowa. No więc jak? Zostaniesz?

Pawłowski wpatrywał się w ruch dłoni stawiającej cyfrę piątą, szóstą...

★

★ ★

– Niemożliwe – Lunqvist wpatrywał się w siedzącego po drugiej stronie biurka Jankowskiego.

– A jednak.

Lunqvist wstał i swoim zwyczajem podszedł do okna. Była dziewiąta rano i przez obszerny dziedziniec przechodziły ostatnie grupki urzędników.

– To coś nie tak – oświadczył w końcu odwracając się od okna.

Miał twarz skupioną, a wyłupiaste oczy błyszczały mu mocniej niż zwykle.

– Czy jesteś pewien, że on tam, na Lotki, mówił tylko o obrączce?

Jankowski poprawił się w fotelu, strzepując niewidoczny pyłek z bladoróżowego krawata.

– W stu procentach. Badania na wariografie potwierdziły...

– Wariograf... – Lunqvist machnął ręką. – Wiem, czytałem ekspertyzę. Ale mimo wszystko nie mogę uwierzyć. W koncu półtora miliona dolarów. Jak to, do diabła, wytłumaczyć? A jeżeli ta cała aparatura razem z tobą się myli? Jeżeli wszystko wygadał? Zdajesz sobie sprawę, jak to się może skończyć?

– Niemożliwe – powiedział z przekonaniem Jankowski. – Nie mógł tego zrobić. W końcu jest prawnikiem i wie, jak ich kodeks traktuje tego rodzaju działalność. I to jeszcze w przypadku wojskowego. Nawet takiego jak on, tylko z nazwy i munduru. Zaszedł za daleko i cofnąć się nie może.

– A my jednak wróciliśmy do punktu wyjścia – Lunqvist zasiadł z powrotem za biurkiem. – Jedno pewne – dodał po głębszym namyśle. – Na razie zrywamy kontakt.

– Na razie? – spytał z półuśmieszkiem Jankowski.

– Zobaczymy... – odpowiedział również z uśmieszkiem Lunqvist, ale zaraz spoważniał. – Na krótko, na długo. A może

na zawsze. Nie zapominaj o tym, że w razie czego ma czym handlować, gdyby go złapali. Wie o nas dość dużo i może w szczerości próbować ratunku.

Jankowski pokręcił z powątpiewaniem głową.

– Tylko w naszym ustawodawstwie istnieje możliwość dogadania się między prokuratorem a oskarżonym przed rozprawą. Oni mają inną procedurę.

– Wszystko możliwe – filozoficznie stwierdził Lunqvist. – Nazywać może się różnie. Jak nie ugoda, to okoliczności łagodzące. Ale zaraz. Mówimy o nim tak, jakby już siedział – Lunqvist żachnął się. – Jeszcze tak nie jest i nawet na to się nie zanosi.

– Raporty grupy kontrolnej... – rzucił półgłosem Jankowski.

Lunqvist pokiwał głową.

– Właśnie. Tym bardziej trzeba przerwać kontakty. Jeżeli nawet za nim chodzą, to zmyleni tym dadzą spokój. Będzie dość czasu, żeby zdecydować co zrobimy. Wyeliminować zdążymy go zawsze.

– Będzie huk po gazetach.

– Myślałem, że jednak masz więcej oleju w głowie – Lunqvist spojrzał z politowaniem na Jankowskiego. – Jakby co, to przecież możemy dać do zrozumienia, że na przykład, chciał zostać na Zachodzie i „bezpieka" z zemsty za zdradę go wykończyła.

– Aż taki tępy to ja nie jestem, szefie – zaoponował urażony lekko. – Ale nikt o zdrowych zmysłach nie uwierzy w taką legendę. Po marcu wyjechało czy uciekło sporo osób, a wszyscy cieszą się dobrym zdrowiem.

– Niech cię o to głowa nie boli – przerwał mu Lunqvist. – Kto zechce uwierzyć, to uwierzy we wszystko, nawet w tunel z ONZ-tu do Kremla. Grunt, żeby powstał zapaszek. Im więcej szumu, tym łatwiej pomyśleć, że jednak coś w tym musi być. Czego więcej trzeba? A gdyby oni złożyli oficjalne dementi, no to już byłby szczyt szczęścia. W każdym razie kontakt przerywamy, obserwując sytuację. Póki co, polecisz do Wietnamu. Tam potrzeba coraz więcej ludzi.

– A kto zajmie się Pawłowskim? – zapytał Jankowski.

Lunqvist się skrzywił.

– Nie wiem jeszcze. Być może... Być może przyjacielskie stosunki nie będą już potrzebne.

★
★ ★

– Mam wrażenie – powiedział szef do pułkownika Zajkowskiego – że trzeba uruchomić znowu naszego przyjaciela z Hamburga. Ostatnio spisywał się bardzo dobrze. Wiesz o kogo chodzi?

– Wiem – skinął głową Zajkowski. – Kandydat dobry. Tym lepszy, że działał bezinteresownie.

– Ano właśnie. Dasz mu znać, aby pokręcił się w środowisku Szczerbickiego. Tam zbierają się różni ludzie. Trzeba to sprawdzić. Niech uważnie obserwuje kontakty Pawłowskiego. Może na coś trafi.

– Może... – wyraz twarzy pułkownika Zajkowskiego nie zdradzał żadnych wątpliwości.

★
★ ★

– Co to znaczy?

Von Szczerbicki był wyraźnie zmieszany. Stali obydwaj w przedpokoju przed uchyloną szafą. Przez zamknięte drzwi dobiegały głosy zebranego w pokoju towarzystwa.

A w ściennej szafie, którą Pawłowski otworzył, szukając szczotki do obuwia, stał magnetofon z wolno obracającymi się szpulami. Wskaźnik wysterowania drgał w rytm dochodzących z pokoju dźwięków.

– Zapomniałem – tłumaczył się. – Służbowy... Zapraszam tu czasem ludzi, z którymi mam przeprowadzić wywiad radiowy. W domowej atmosferze zwykle przebiega lepiej. Cholera.

Pawłowski podszedł do wieszaka z ubraniami.

– Nie wygłupiaj się, Jurek – wstrzymywał go Szczerbicki. – Naprawdę zapomniałem. Drań włącza się automatycznie na każdy głos w pokoju. No, co ty wyprawiasz?

Już ubrany schylił się i podniósł walizkę.

– Będę leciał – rzekł, nie zauważając wyciągniętej dłoni. – Puść. Spieszę się.

– Nie ma mowy – Szczerbicki nie rezygnował. – Musisz zostać choćby parę minut. Przecież mamy rozliczenia...

– Napiszę list. Nagraj go sobie.

Wywinął się zręcznie i ruszył do drzwi. Szczerbicki już nie próbował go zatrzymywać.

Ledwo ucichły kroki na klatce, rzucił się do kuchni, skąd po kilku chwilach dał się słyszeć gorączkowy półgłos, z uporem powtarzający jedno zdanie. Minutę później wyjrzał przez okno, zobaczył jak Pawłowski podchodzi do swego mercedesa i rusza pustą o tej porze ulicą. Głęboko odetchnął parę razy i przywoławszy na twarz nieco sztuczne ożywienie, ruszył do gości, którzy niczego nie spostrzegli.

★
★ ★

Mężczyzna – barczysty i muskularny, ubrany w kombinezon mechanika samochodowego z wydrukowaną na plecach firmą brukselskiego garażu – gramolił się spod samochodu i niezbyt mądrze patrzył na Pawłowskiego.

Twarz miał białą jak kreda.

– Jak pan właściwie dojechał? – wykrztusił w końcu.

Pawłowski wzruszył ramionami.

– Zdawało mi się, że kierownica chodzi ciężej niż zwykle, więc postanowiłem sprawdzić...

– Ciężej? Człowieku! Jeszcze parę przejechanych nieco ostrzej kilometrów, a w ogóle by nie chodziła...

– Nie rozumiem.

– Miał pan rozkręcony drążek sterowniczy przy lewym kole! Trzymał się na ostatniej nitce gwintu. Przy dużej szybkości powinien był dawno puścić, a wtedy...

– Co wtedy? – Pawłowski dopiero teraz poczuł chłód wzdłuż kręgosłupa.

– Co wtedy? – z twarzy mechanika powoli znikała bladość, ustępując coraz intensywniejszej czerwieni. – Wtedy koła rozjeżdżają się każde w swoją stronę, a pan razem z samochodem wykonuje piękne salto, lądując najprawdopodobniej na jakiejś ciężarówce jadącej z przeciwka!

– Miałem szczęście – wyjąkał po chwili Pawłowski, blednąc podobnie jak przed chwilą mechanik – że nie jechałem autostradą, a wolniutko, bocznymi drogami.

– Szczęście? – zawołał mechanik. – Można i tak to nazwać. Ja bym powiedział, że to kryminał. Trzeba natychmiast zawiado-

mić policję! Gdzie pan ostatnio oddawał wóz do przeglądu?

Pawłowski wziął się w garść.

– Nie ma co w to mieszać policji. Widzi pan – zniżył głos – ja przyjechałem z zagranicy i tam właśnie samochód był sprawdzany. Widocznie przez nieuwagę...

Mechanik pokręcił głową.

– Ładna nieuwaga... Powinien pan po powrocie do kraju zrobić coś z tym garażystą. Dokręciłem. Jest okay.

– Jasne. Dziękuję panu.

Mechanik wycierał ręce w szmatę, ciągle kręcąc głową, a potem zniknął w warsztacie.

Pawłowski wsiadł do wozu i wyjechał na ulicę. Był zamyślony. Doskonale wiedział, że mercedes po lustracji w jego warsztacie na Puławskiej był w jak najlepszym porządku.

★

★ ★

– A wy co o tym sądzicie? – Zajkowski podniósł wzrok na siedzących w jego gabinecie mężczyzn. Kończyła się comiesięczna odprawa grupy na piątym piętrze. Comiesięczna, ponieważ wszyscy wiedzieli, że na razie nie ma szans na szybkie zakończenie sprawy, a częstsze ściąganie ludzi było kłopotliwe. Do śledzenia biegu zdarzeń wystarczały nadsyłane meldunki. Takie spotkania jak to były jednak okazją do wymiany poglądów i opinii.

Sześciu młodych ludzi spojrzało po sobie, po czym skierowało wzrok na siedzącego najbliżej biurka.

– Styka się z nieciekawymi ludźmi... Ten von Szczerbicki. Ale przecież nie tylko on. To może być kwestia moralności, a nie spraw, które nas interesują. Jakieś handle urzędników i sportowców, którzy jeżdżą na Zachód... Jedno pewne. Towarzystwo zbiera się dziwne, ale człowieka, który został zidentyfikowany w Nowym Jorku nie widać w pobliżu. Może to przypadkowe spotkanie?

– Ile razy mam wam powtarzać, że w takich sprawach przypadków nie ma? – powiedział Zajkowski. – Wiecie doskonale. To, że tamtego nie ma, nic nie znaczy. Może wysłano go gdzie indziej, może go ktoś zastąpił – ktoś, kogo nie znamy. A może coś zauważyli i nie podchodzą do niego, obserwując otoczenie?

Wszystko możliwe. A Szczerbicki... Wiecie przecież, że pracuje dla Urzędu Ochrony Konstytucji. Z meldunku naszego znajomego wynika, że Pawłowski ostatnio się z nim pokłócił. Tylko nie bardzo wiadomo o co. To może być przykrywka. Amerykanie mogli poprosić Niemców o koleżeńską przysługę. Nie, nie można tego tak zostawić – zdecydował pułkownik. – Jutro omówimy dokładny plan działania. Jedno jest pewne – trzeba na Pawłowskiego popatrzeć uważniej.

★
★ ★

– To zmienia całkowicie sytuację – powiedział Lunqvist, gdy Jankowski skończył tłumaczyć nagłówki polskich gazet. Ponad pół roku, jakie upłynęły od ich spotkania wystarczyło, aby Jankowskiemu wyrosła pokaźna rudawa broda, tu i ówdzie przetykana siwizną. Jasny garnitur tylko podkreślał mocną i równomierną opaleniznę.

– Dlatego postanowiłem ściągnąć cię z powrotem z Wietnamu.

– Wracamy do Pawłowskiego? Myślałem, że...

Lunqvist się skrzywił.

– Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Chłopcy nie zdążyli, bo wyruszył wcześniej niż myśleli. Poleciałem im po premii, ale w końcu darowałem. Kazałem tylko dokładniej się rozejrzeć.

– I co?

– Czysty. Wydawało się, że miał ogon w Niemczech, ale to byli nasi sojusznicy z Urzędu Ochrony. Nie bardzo widać ufają Szczerbickiemu i wysłali kontrolera. W każdym razie dobrze się stało, jak się stało. Te historie na Wybrzeżu to wspaniała okazja do uzyskania nowych informacji. Przecież u nich się zatrzęsło. Trochę się nawet martwię, że zbyt późno cię ściągnąłem. Tam będą się dziać jeszcze ciekawe rzeczy. Spotkasz jakby nigdy nic Pawłowskiego i poprosisz o maksimum informacji. Szykuje się żniwo, którego nie możemy przepuścić.

Jankowski nie wiedział, że nowy dyrektor podczas ostatniej odprawy bez entuzjazmu wyrażał się o wynikach pracy Lunqvista, co również było przyczyną wezwania posiłków z Wietnamu.

– Ruszam zaraz do roboty – Jankowski wstał i przez szerokość biurka popatrzył na Lunqvista. – Ale czy on jest naprawdę czysty?

Gdy Lunqvist podniósł na niego oczy, zauważył szerszą niż przedtem sieć zmarszczek wokół wyłupiastych oczu. Starzeje się – opuścił wzrok na biurko. Lepiej mu jednak w oczy nie patrzeć.

– Czy jest czysty? – powtórzył w zamyśleniu Lunqvist. – Jest. A jeżeli nawet nie, to co to ciebie obchodzi?

Jankowski całą siłą starał się ukryć zdziwienie. Wyglądało na to, że Lunqvist ostatecznie zrezygnował z prób ściągnięcia Pawłowskiego na Zachód.

Pochłonięty myślami nie zwrócił uwagi, że świdrujące oczy Lunqvista przypatrywały mu się po dawnemu bacznie, chłodno i nieruchomo.

★
★ ★

Plakietka była srebrna, przykręcona do machoniowej podstawki, na której było umieszczone jego ostatnie belgijskie trofeum. Wygrawerowany pochyłymi literami napis był dedykacją dla ministra jako życzliwego opiekuna sportu w ogóle, a szermierki w szczególności.

O sobie postanowił na plakietce nie wspominać. Był to ostatni rozpaczliwy pretekst, aby audiencję jednak zdobyć. Minęło za dużo czasu, za wiele podejmował prób, ale nawet sam przed sobą nie chciał przyznać, że w odraczaniu wizyty coś się kryje. Doskonale wiedział, że istnieje wiele sposobów, aby przy zachowaniu wszelkich pozorów nie doprowadzić do takiego spotkania. Czuł instynktownie, że atmosfera wokół niego pochłodniała, że minęły bezpowrotnie czasy uśmiechów i poklepywań. Plakietka miała być ostatecznym sprawdzianem.

Odetchnął głęboko i sięgnął po słuchawkę telefonu.

★
★ ★

– Trwało to długo, ale w końcu doczekaliśmy się – powiedział Zajkowski do szefa.

Położył na biurku dwie błyszczące fotografie. Na pierwszej widać było mężczyznę przechadzającego się przed wejściem do hotelu „President" w Brukseli. Na drugiej witał się on z Pawłowskim.

– Ten sam agent co w Nowym Jorku. Tylko zapuścił brodę. Nagraliśmy ich rozmowę.

– W hotelu?

– Skorzystaliśmy z urządzeń zainstalowanych przez naszych, jakby to powiedzieć... kolegów po fachu z Zachodu – uśmiechnął się nieznacznie.

– Nie żartuj, tylko puść taśmę.

Pułkownik wcisnął klawisz i szpule zaczęły się obracać.

Przez dłuższy czas słychać było tylko szum ulicy, od czasu do czasu zakłócany warkotem przejeżdżającego auta. W pewnej chwili dała się słyszeć rozmowa prowadzona na dwa głosy, z początku cicha i niewyraźna, raz i drugi raptownie głośniejsza, aż jej poziom ustalił się na właściwej wysokości.

Szef spojrzał pytająco na Zajkowskiego.

– Wycelowanie zabrało trochę czasu. Broda ich zmyliła. Potapali się, ale jednak zanim ich namierzyli...

– Uciekło coś ważnego?

Zajkowski wyciągnął kartkę maszynopisu.

– Tu jest stenogram pierwszych piętnastu sekund. Nic takiego. Powitania.

Mężczyzna o rumianej twarzy skinął głową.

– ...na Wschodzie – głos płynący z magnetofonu był już zupełnie wyraźny, choć w tle słychać było w dalszym ciągu ulicę. – Widzisz, jak się opaliłem.

– Broda to kamuflaż? – głos Pawłowskiego był pełen rezerwy. – Nie poznałem cię w pierwszej chwili.

– Czasy się zmieniają, ludzie się zmieniają. Kto by pomyślał, że dożyję wizyty Nixona w Pekinie?

– Na jego cześć zapuściłeś brodę?

– Słuchaj, nie mamy czasu. Wpadnij za pół godziny do pokoju 209. Tam pogadamy.

– O czym?

– Kupa spraw się nazbierała. Wypadki grudniowe, afera węglowa, no i co tam u ciebie na WAP-ie... Godzinka nam zejdzie.

Pułkownik wyłączył magnetofon.

– Nie wiem, czy warto dalej tego słuchać. To przeszło godzina nagrania. Szkoda twojego czasu.

– Dobrze. Powiedz mi tylko o czym mówili. Napisz potem krótkie streszczenie do akt.

– Sporo o zmianach personalnych w WAP-ie. Z nazwiskami, funkcjami. W niektórych przypadkach podał powody.

– Prawdziwe?

– W jednym tak. Reszta to ploty, ale prawdopodobne. O zmianach w Śląskim Okręgu Wojskowym.

– Skąd wiedział?

– Był na spotkaniach autorskich. Zrobili dla niego przyjęcie w kasynie. Po naszej interwencji już go nie zaproszą, ale to zdążył powiedzieć. Na szczęście nie wszystko jest prawdą.

– Dobra. Okazało się, że warto było pilnować. Teraz trzeba się zastanowić... Dowody są niepodważalne. Będę musiał to przekazać wyżej. W końcu chodzi o Pawłowskiego. Masz jakieś sugestie?

– Byłaby jedna – odparł z namysłem Zajkowski. – Mogę zreferować?

★

★ ★

– No i co? – korzystali z łącz centrali NATO w Brukseli i tym razem jakość dźwięku była znakomita.

– W normie. Jest parę ciekawostek – słychać było szelest przewracanych kartek, po czym Jankowski ciągnął dalej. – Twierdzi na przykład, że przed grudniem milicja i służba bezpieczeństwa składała alarmujące raporty na temat sytuacji na Wybrzeżu, kompletnie zlekceważone przez władze.

– Stare dzieje – Lunqvist skrzywił się, chwycił stojący przed nim kubek z białym, galaretowatym płynem i wychylił go duszkiem.

– Czy on w końcu zostanie u nas, czy nie? – zapytał, kiedy lekarstwo uciszyło wrzody na dwunastnicy.

Wszystko idzie ku złemu, a on, Lunqvist, nie może temu zaradzić.

– Zdobył już tytuł szablisty wszechczasów.

– No więc?

– Ale teraz chce zostać szermierzem wszechczasów.

– Do diabła z nim! – dwunastnica dała znów znać o sobie. – I oczywiście chce dalej walczyć?

– Oczywiście.

– Gol brodę i wracaj do kraju. Pora się naprawdę wziąć za niego. Koniec z Wersalem. Ci cholerni sportowcy... – urwał.

Przecież sam go wybrał, choć były i inne kandydatury... Czyżby postawił na niewłaściwego konia?

Nacisnął guzik interkomu. Weszła Jane.

– Jeszcze raz to samo – warknął wskazując na puste naczynie.

★
★ ★

– No i co z twoim pomysłem?

Zajkowski pokręcił głową.

– Niestety, nie wypalił. Myślałem, że jest mądrzejszy. Chciałem go delikatnie ostrzec, że cuchnie. Liczyłem, że wykorzysta szansę. Pod pretekstem śledztwa w sprawie kradzieży w miejscu pracy jego żony zaprosiliśmy go na rozmowę. Wyglądało to naturalnie, tym bardziej, że sam kiedyś z tym do nas przyszedł.

– Myślałeś, że po tych paru latach, na pierwszą sugestię, padnie ci w ramiona i wypłacze wszystkie grzechy?

– Niewielka, ale jednak szansa była – trwał przy swoim Zajkowski. – Gdyby dobrowolnie wyszedł ze swoimi kontaktami, zawsze można by było zastanowić się nad szansą operacyjnego rozpoznania Amerykanów przy jego pomocy. Niestety, nie skorzystał z możliwości. Nie powiedział nic, natomiast w Nowym Jorku zameldował o tej wizycie, podając nazwisko oficera, który z nim prowadził rozmowę. Było to nazwisko operacyjne, bo przewidzieliśmy taką możliwość, ale w przyszłości...

– Przyszłości nie będzie – przerwał mu mężczyzna o rumianej twarzy. – Właśnie wystąpiłem z wnioskiem o wstrzymanie paszportu.

– Będzie interweniował.

– Niech próbuje. Nawet gdyby mu się udało, w co wątpię, to i tak upłynie dość czasu, aby sfinalizować sprawę. Podejrzewam, że wtedy już będzie myślał o czym innym niż o paszporcie.

Zajkowski wstał.

– Swoją drogą, cieszę się, że decyzja nie należy do mnie.

– Ani do mnie – odparł szef. – Zrób notatkę. A ja sobie potelefonuję.

★

★ ★

– O tym nie pomyślałem – przyznał Lunqvist.

W jego ustach było to zdumiewające oświadczenie.

Jankowski, świadom historyczności chwili, nie spuszczał z niego oka.

– Przecież on teraz może spokojnie wszystko powiedzieć i wywinie się małym kosztem! – Lunqvist krążył po gabinecie niczym lis w klatce. – Dostanie rok, może dwa i zwolnią go za dobre sprawowanie. Albo w ogóle ujdzie mu płazem. Oni są czuli na aspekty propagandowe. Co za cholerny pomysł! Jak nas wsypie, skompromitujemy się jak nic!

– Bez paniki, szefie – Jankowski był spokojny. – Jeżeli nawet pójdzie do nich, to co?

– Jak to co? – Lunqvist zatrzymał się i spojrzał na siedzącego mężczyznę. – Co ty znów, do diabła, kombinujesz?

Legendarny spokój Lungvista znikł gdzieś bez śladu. Jankowski miał przed sobą zdenerwowanego starszego pana, nie panującego nad sytuacją, patrzącego niespokojnie wyłupiastymi oczami, które nie tylko nie były groźne, ale prawie śmieszne. Jankowski pokiwał głową. I ten człowiek marzył kiedyś o stanowisku dyrektora.

– Nic nie kombinuję, szefie – odezwał się. – Gdyby sprawa się wydała, zawsze możemy uruchomić kampanię, że to wszystko wymysł Czerwonych. Nie mają żadnych materialnych dowodów. Można dodać, że go zmusili do takich zeznań. Możliwości jest mnóstwo.

– Myślisz?

– Jestem pewien. Ale nie będzie to nawet potrzebne. Minęło już trochę czasu. Amnestia zbliża się do końca i cisza. To zna-

czy, że nie poszedł do nich. Spotkamy się za dwa tygodnie w Nowym Jorku i wtedy się rozmówimy ostatecznie. W razie czego, zawsze będzie można wyciągnąć sprawę tych narkotyków.

– Trochę przestarzała, ale... – Lunqvist wyraźnie się uspokajał i tylko czerwone plamy na policzkach świadczyły o mijającym zdenerwowaniu.

– Wspomnieć mu o tym nie zawadzi – kończył Jankowski. – Można też zastosować inne środki nacisku. On już stąd nie wyjedzie.

– Chyba masz słuszność – Lunqvist skończył spacer i zasiadł za biurkiem.

Był już zupełnie spokojny i gdy spojrzał na Jankowskiego, ten znów poczuł się odrobinę nieswojo.

– Koniec Wersalu.

– Koniec – powtórzył jak echo Jankowski.

★

★ ★

– Gdy zakomunikowałeś mi, że jest decyzja, wysłaliśmy wezwanie. Na siedemnastego – pułkownik Zajkowski mówił powoli, znużonym głosem.

Wydarzenia ostatnich dni sprawiły, że miał kłopoty ze snem. Był w tym wieku, że brak wypoczynku w widoczny sposób widać było na jego twarzy.

– Zatelefonował z prośbą o przełożenie terminu spotkania, bo miał pojechać na zawody do Moskwy. Umówiliśmy się tydzień później. Przyszedł. Rozmawialiśmy. Nie przyznał się. Protokół w aktach. Umówiliśmy się na następny dzień w kawiarni na MDM-ie, licząc jeszcze na to, że może w innej sytuacji wyjdzie do nas z informacją, zorientuje się, że to nie przelewki. Bez rezultatu. Osobiście go prosiłem, aby nie rozpowiadał o naszych spotkaniach. Chodziło o swobodę manewru i dla nas, i częściowo dla niego. Niestety...

– Co „niestety"?

– Wygadał się. Po mieście zaczęły krążyć plotki. W tej sytuacji został jeden sposób realizacji sprawy.

W gabinecie na pierwszym piętrze przy Lotki zapadła cisza. Obaj mężczyźni wiedzieli, że zbliża się kres paroletniej pracy.

Gospodarz podniósł głowę.

– Kiedy?

– Jutro.

★

★ ★

Wstał wcześniej niż zwykle. Namydlając twarz spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Patrzyła na niego twarz łysiejącego blondyna z podkrążonymi oczyma. Apatycznie zeskrobywał pianę wraz z zarostem. Wiedział, że zbliża się finał. Pora skomplikowanych uczuć minęła i tylko jedno trwało, obojętnie rejestrowane przez otępiały mózg.

Dziwnego rodzaju ulga, jak westchnienie po ciężkim koszmarze, jak rozleniwiająca myśl, że już nie musi decydować o swoim losie. Była to ulga niezdrowa, nie przynosząca pokrzepienia, spokrewnienia z lękiem, z przemożną chęcią skończenia z tym wszystkim, z żałością i niesmakiem. Obmył twarz, wtarł parę kropel wody kolońskiej i – już nie spoglądając na swe odbicie – wyszedł z łazienki.

W pokoju zatrzymał się i zaczął wkładać marynarkę, gdy jego wzrok padł na kalendarz wiszący na ścianie między dwoma oknami. Właśnie jutro, w sobotę miał urządzać imieniny. Goście już byli zaproszeni. Uśmiechnął się smętnie. Przyjęcie bez gospodarza. Wiedział, że na tym spotkaniu, jak na spowiedzi, gnany przemożną chętką zrzucenia z siebie tego nieludzkiego balastu zacznie mówić i będzie mówił długo, aż do dna pamięci.

Był sam w mieszkaniu.

Rozglądał się po pokoju powoli, uważnie, jakby ten obraz chciał utrwalić, by mu wystarczył na długo.

Na ulicy rozejrzał się. Opiekunowie siedzieli w aucie opodal, jak zwykle od pewnego czasu nie kryjąc się przed nim specjalnie.

Ruszył.

Było 22 kwietnia 1975 roku.

★

★ ★

– Nie rozumiem. Najzwyczajniej w świecie nie rozumiem.

Zajkowski wzruszył ramionami.

– A co tu jest do rozumienia? Poprosił, aby go puścić na imieniny, to go puściłem.

– Po tym jak przyznał się do szpiegostwa?!

Gospodarz gabinetu na pierwszym piętrze z niedowierzaniem patrzył na Zajkowskiego.

– To przecież wbrew wszelkim możliwym przepisom! Będziecie za to odpowiadać!

– To będę. Uważam, że postąpiłem rozsądnie. Czeka nas jeszcze sporo przesłuchań i ważne jest właściwe ustawienie wzajemnych stosunków. Okazałem mu zaufanie, po to, aby i on mi zaufał.

– Zawiadamiam cię oficjalnie, że ponosisz całkowitą odpowiedzialność. Za każdą minutę tych czterdziestu ośmiu godzin. Mimo wszystko nie rozumiem ryzyka...

– Nie jest duże. Pilnujemy go, nie ucieknie. Poza tym nie ma paszportu.

– Wiem – przerwał mu szef. – Nie masz pojęcia, jakie były naciski w tej sprawie, ale widzisz... Ja mówię o czymś innym. Aby sobie czegoś nie zrobił.

– Nie ma obawy – energicznie zaprzeczył Zajkowski. – Poznałem go dobrze. Będzie walczył o życie. Tym bardziej nie odbierze go sobie.

Szef kręcił głową, nie przekonany.

– Gdybym cię nie znał tak długo... Dobra. Ale to swoją drogą niesłychane. Premie rozdzieliłeś?

– Tak – skrzywił się Zajkowski – i mam teraz kłopot.

– Co? Nie chcieli wziąć? – zdziwił się szef.

– Tak dobrze nie jest – uśmiechnął się Zajkowski. – Tylko od czasu do czasu ktoś od nas musi jeździć na drugi koniec miasta i karmić rybki.

– Co robić?

– Karmić rybki. Za tę premię pewien młody człowiek kupił sobie akwarium. On jest często w rozjazdach, więc... Zastanawiam się zresztą, czy samemu sobie nie sprawić. To rzeczywiście uspokaja.

Szef, nic już nie mówiąc, machnął ręką. Tej nocy nie spał najlepiej.

Za to Zajkowski, choć jeszcze nie miał akwarium, po raz pierwszy od paru dni spał spokojnym i zdrowym snem.

★

★ ★

Czarny lincoln continental już czekał. Lunqvist stał w drzwiach swego domu na wschodnim brzegu Potomacu w Glen Echo przy Fairway Hills i patrzył na trzymaną w rękach teczkę z czarnej, cielęcej skóry.

Aktówka była pusta.

Rzucił ją na mały stolik stojący w hallu i ruszył w kierunku samochodu. Przez całą drogę siedział nienaturalnie sztywno, a na twarzy nie drgnął mu ani jeden mięsień.

Gdy przybyli do Centrali w Langley kierowca po raz pierwszy w swej karierze osobistego szofera musiał pofatygować się i otworzyć drzwi.

Dopiero teraz Lunqvist drgnął i ześlizgnąwszy się z miękkich poduszek ruszył powoli w kierunku głównego gmachu. Gdy szedł przez długie korytarze, mimo woli rejestrował radykalną zmianę w zachowaniu tych kierowników sekcji, na których przypadkiem natknął się po drodze. Wydawać by się mogło, że właśnie wrócił z wycieczki do leprozorium, bo niedawni przyjaciele gorączkowo znikali w przypadkowych drzwiach lub spuszczając oczy starali się obchodzić go szerokim kołem, jakby był trędowaty.

Olbrzymi gabinet dyrektora, mimo że skąpany w świetle mocno grzejącego letniego słońca, przez chwilę wydawał się Lunqvistowi ponurą, mroczną jaskinią.

Dyrektor wstał.

Nie było żadnych przewidzianych ceremoniałem grzeczności. Żadnych koniaków, kaw, rozmówek o pogodzie.

Nawet nie poproszono go, aby usiadł.

– Oto efekt pańskich poronionych koncepcji – zaczął bez wstępów dyrektor. – Czytałem raport zaczynający tę sprawę. Dziwię się, że mój poprzednik mógł go w ogóle zatwierdzić. Stek bzdur. Jeszcze jedna taka wpadka, a... Niech pan sobie raz na zawsze zapamięta, że istnieją tylko trzy metody pozyskiwa-

nia agentów. Pobudki materialne, ideowe i szantaż.

– Wszystkie zawodne – wtrącił Lunqvist.

– O wiele mniej niż pańskie psychologizowanie! – odparł podniesionym głosem dyrektor. – Jeżeli były wpadki, to trzeba je przeanalizować pod kątem popełnionych błędów i starać się unikać podobnych w przyszłości. Zresztą, nie będę pana uczył. Na to już za późno. Pan się zestarzał, Lunqvist. Pora ustąpić miejsca młodszym.

Lunqvist przełknął ślinę.

– Mam tu raport komisji kontrolnej – dyrektor wziął do ręki kilka kartek maszynopisu i zaczął nimi wymachiwać. – Tyle pieniędzy wyrzuconych w błoto!

– Raptem około dwóch tysięcy...

A wasze wycieczki po całym świecie?! A pensje zespołu? A konto Pawłowskiego?

– Żadnego konta nie zakładaliśmy.

– Tak? – dyrektor wyciągnął dłoń z papierami do Lunqvista. – Rozliczenia księgowości mówią co innego. Czyżby na dobitek pan, czy pańscy ludzie przywłaszczyli sobie te pieniądze?!

Lunqvist wziął kartki i przejrzał.

– Nic podobnego, panie dyrektorze. Te pieniądze wpłacaliśmy... – pochylił się, oddając papiery i szepnął coś do ucha rozmówcy.

– No, powiedzmy – dyrektor złagodniał. – W każdym razie pańskie teorie o superagencie okazały się do chrzanu.

– A jednak przez dziesięć lat mieliśmy z nim prawie dwadzieścia spotkań.

– No i co z tego? W końcu go złapali. Czy pan sobie zdaje sprawę z tego, co on w tej chwili tam opowiada?

– Na Lotki – podpowiedział Lunqvist.

– Lotki? Co to znaczy?

– To jest nazwa ulicy w Warszawie.

– Śmieszna nazwa.

– Ale oni nie są śmieszni.

– Nie musi mi pan przypominać. Zlokalizował pan przeciek?

– O ile się orientuję, nie było żadnego.

– Bzdura! Musi być. Nie wierzę, aby sami to rozpracowali, mimo że tak ich pan zachwala. Znam tę metodę. Im groźniejszy

przeciwnik, tym większa własna chwała. Ma pan wykryć przeciek i zlokalizować. Taki blamaż – dyrektor pokręcił głową. – Jeszcze jedno. Trzeba zaraz napuścić prasę, radio, telewizję. Miejmy coś w końcu za nasze pieniądze. Trzeba z tego zrobić aferę międzynarodową. Wciągnąć w to federacje sportowe, może komitet olimpijski? Muszą go przedstawić jako ofiarę reżimu. Niech dorobią do tego politykę, jakieś bulwersujące szczególiki ze śledztwa... Tym łatwiejsze zadanie, że oni, swoim zwyczajem, nabrali wody w usta, więc ma pan szerokie pole do popisu. Trzeba ratować co się da. Do roboty.

– Nie chciałem tego mówić, ale jednak powiem – dorzucił, gdy Lunqvist zamierzał już odejść. – Zdaje pan sobie sprawę, że otwieram przed nim ostatnią szansę, żeby wyjść z tego z najmniejszymi stratami? Ostatnią szansę, Lunqvist.

★

★ ★

– Nie powiedziałbym, że na całe jego szczęście – zaoponował Zajkowski. – To przecież jedyna szansa uratowania...

Nie dokończył.

– Na kiedy przewidujesz koniec śledztwa? – zapytał po chwili mężczyzna o rumianej twarzy.

– Trudno powiedzieć – zastanowił się pułkownik. – Ciągle wychodzą jakieś szczegóły, które trzeba sprawdzać, przesłuchiwać świadków. To może potrwać. W każdym razie ja już skończyłem, teraz prokurator.

– Przesłałeś naszym do Wietnamu opisy całej trójki?

– Czwórki – poprawił Zajkowski. – Razem z opisem Willmana.

– W porządku – skinął głową gospodarz. – Będzie wiadomo, jeśli któryś tam się znów pojawi. Tymczasem – uśmiechnął się – to i nasi, i tamci zachowują się jak na wiejskiej zabawie.

– To znaczy? – uśmiechnął się również Zajkowski.

– Siedzą w jedynym klubie, jaki jest do dyspozycji. Jedni pod jedną, drudzy pod drugą ścianą. Popijają i patrzą na siebie spode łba. Oczywiście, poza godzinami pracy.

– Skąd wiesz?

– Nie wiem. Zmyślam. Zastanów się, takie upały. Ale, ale – szef spoważniał nagle.

Wyciągnął błyszczący numer „Newsweeka" i rzucił na biurko.

– Znaleźli sobie sensację.

– Jaką sensację?

– Piszą, że wykryli siatkę komunistyczną w Langley. Nie napisali wprost, że polską, ale łatwo się domyślić. Tym bardziej, że o dwie strony wcześniej jest wielki artykuł o Pawłowskim. Nie muszę ci mówić, co powypisywali. Nie wiadomo, czy śmiać się, czy płakać. Z tego tekstu o „likwidacji przecieków" wynika, że aresztowali parę osób. Między innymi sekretarkę Lunqvista i jej narzeczonego.

– Ale tutaj jest coś znacznie gorszego – rozłożył „Frankfurter Allgemeine Zeitung" i stuknął palcem w niewielką notatkę u dołu trzeciej kolumny. – „W nie wyjaśnionych okolicznościach zmarł właściciel gospodarstwa ogrodniczego pod Hamburgiem. Leżał w piżamie na szosie, gdzie przejechała go ciężarówka. Policja nie wyklucza powiązań denata z niektórymi ośrodkami wywiadu. Śledztwo trwa".

Złożył gazetę.

– Teraz rozumiesz, dlaczego zamilkł? – zapytał po chwili.

W gabinecie zapadła cisza.

★

★ ★

– Panu się wszystko poplątało, Lunqvist – powiedział zimno dyrektor. – W kampanii prasowej potrzebna jest finezja, a w pracy agenturalnej twarda ręka. Pan postąpił na odwrót. No, bo zobaczmy, co spitrasili – dyrektor rozłożył kserokopie gazet na biurku. – Na przykład „Der Spiegel" napisał... gdzie to jest? Aha: „Podpułkownik..." Skąd oni wzięli tego podpułkownika? „Podpułkownik Pawłowski został aresztowany przez tajną policję przy próbie ucieczki w drodze na warszawskie lotnisko Okęcie i po nieudanej próbie samobójstwa przewieziony do szpitala wojskowego..." Wiedeńska „Die Presse" pisze mniej więcej to samo, tylko o szpitalu nie ma mowy. A tu nasłuch z „Fali Niemieckiej". Awansował już na pułkownika. Trzy dni później ta sama rozgłośnia podała, powołując się na Spiegla, że Pawłowski w krytycznym stanie znajduje się w szpitalu więziennym w Modlinie. Tu znowu o największej aferze szpiegowskiej

w Polsce. Ktoś dobrze poinformowany twierdzi, że aresztowano sto dwadzieścia osób i zatrzymania trwają... Tu znowu – przerzucał kartki – mowa już o stu sześćdziesięciu. I tak dalej, i tak dalej... Ale najlepsze zostawiłem na koniec. Oto „Dziennik Polski" z dwudziestego siódmego października. Sam tytuł dużo wart: „Kompromitujące zachowanie reżimu". I dalej o tym, że przy zatrzymaniu w drodze na lotnisko znaleziono przy nim mikrofilmy tajnych wojskowych dokumentów, że pozostawał pod obserwacją przez piętnaście lat, i to nie polską, a KGB, że wykradziono go z RFN, że próbował się otruć, potem powiesić, a na koniec, że jednak zginął na torturach „bezpieki", która z premedytacją połamała mu ręce. O wymysłach pospolitych i inwektywach nie będę już mówił. Co pan nawyczyniał, Lunqvist?

– Jednak zadziałało. Afera zrobiła się międzynarodowa.Tym bardziej, że Polacy ani słowa przez długi czas nie powiedzieli. Można było wypisywać co się chce. Poza tym, że siedziałem każdemu z tych pismaków na karku.

– Nie powiedzieli, bo są ostrożni. Tym bardziej opłacało się robić to delikatnie. Zdajesz sobie sprawę, Lunqvist, co będzie, jeżeli zdecydują się ujawnić całą prawdę?

– Kiedy to będzie? Do tego czasu wszyscy zapomną o co poszło.

– Nie bój się. Jak będzie trzeba, potrafią przypomnieć.

Dyrektor pedantycznie złożył kserokopie i schował do biurka.

– Tak czy owak, nie spisałeś się. Ostrzegałem, że to ostateczna szansa. Nie skorzystałeś z niej. Jedynie przez wzgląd na dawne zasługi nie każę ci pisać podania o zwolnienie bez odszkodowania. Na twoje stanowisko zostaje mianowany Kowalski. Bardzo wyrobił się w Wietnamie. Ty pojedziesz na jego miejsce. Robię to dla ciebie również dlatego, że jednak wykryłeś i zlikwidowałeś przeciek w Centrali. Dlatego wierzę, że do czegoś tam się przydasz. Inaczej... I ostatnia rada. Nie próbuj tam swoich wyrafinowanych sztuczek. Nie patyczkuj się. Jak trzeba, wal siekierą.

– Tak jest – Lunqvist z trudem przełknął ślinę.

Głos miał zachrypnięty, oddychał z trudem. Czuł, że w gardle ktoś rozpala mu wielkie ognisko.

– Będę walił siekierą.

★
★ ★

– Wpadnij do mnie na chwilę – spotkali się na korytarzu koło biura przepustek. Była ósma rano i wartownik ledwie nadążał sprawdzać migoczące w przelocie kartoniki.

Gabinet był jeszcze chłodny, bezosobowy, ze świeższym niż zwykle powietrzem po niezakłóconej nocy.

Stali przed biurkiem. Gospodarz ruszył w kierunku okna, otworzył je szeroko i zaraz, dla równowagi, zapalił papierosa.

– Jest meldunek od „Ogrodnika" – powiedział.

– Trochę to trwało...

– Owszem. Musiał przycupnąć, zanim się nie uspokoili. Uważa, że niebezpieczeństwo minęło.

– Co przekazał? – zainteresował się pułkownik Zajkowski.

– Na razie nic wielkiego – szef Oddziału uśmiechnął się. – Tylko to, że Lunqvist o mało nie wyleciał. Skończyło się na tym, że wysłali go do Wietnamu. Podaje jego nowe nazwisko.

– Mam wrażenie – odparł pułkownik Zajkowski – że wspólne popijanie przejdzie niedługo do historii. Zbliża się okres ciężkiej pracy.

– Lekka nie była nigdy. Właściwie szkoda – zmartwił się – że wymyśliłem sobie to popijanie. A niechby. Teraz nie będą już mieli czasu.

★
★ ★

Minęła wrzawa, sensacja, szok, skończyły się artykuły i komentarze.

Prawie po roku śledztwa odbył się proces.

Szermierczy talent pomógł. Dzięki refleksowi i sprawnemu przeglądowi sytuacji mógł obrać taktykę, która sprawiła, że ma jednak możliwość rozmyślania o swoich błędach, a niewiele brakowało, by tej okazji był pozbawiony.

W uzasadnieniu wyroku podkreślono, że tylko dzięki postawie w czasie śledztwa nie został mu wymierzony najwyższy wymiar kary.

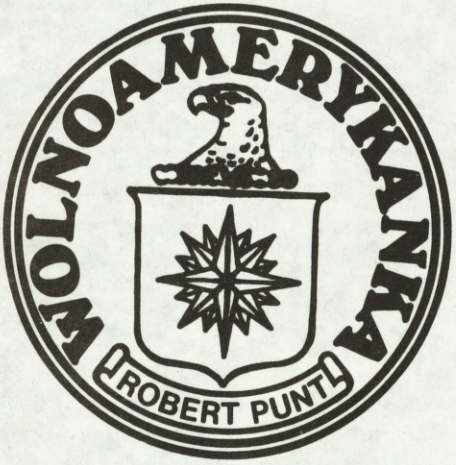
Znajduje się teraz w zakładzie karnym, położonym wśród jezior i lasów. Powoli wchłonęła go rzeka monotonnych dni, z

rzadka przerywana wizytami najbliższych.

Dni tych minęło dużo, ale dopiero przed końcem stulecia, monotonia ta ulegnie przerwaniu.

Otrzymał pozwolenie na uprawianie malarstwa. Stosuje specjalną technikę – miesza akwarele z pastą do zębów, co nadaje obrazkom interesującą fakturę. Próbuje wszystkich tematów oprócz martwej natury. Najwięcej trudności ma z portretem. Namalował i mój. Miał okazję, bo spędziłem z nim na rozmowach prawie sto godzin. Mimo to podobieństwo nie jest uderzające. Może dlatego woli malować pejzaże bez człowieka, pełne światła i przestrzeni...

RUNDA
WSCHODNIA



RUNDA WSCHODNIA

Urodziłem się w Biskupcu w rodzinie robotniczej. Po maturze rozpocząłem służbę wojskową, podczas której zostałem skierowany do szkoły podoficerskiej. Po ukończeniu szkoły w Koszalinie, w specjalności operatora stacji radiolokacyjnej, wstąpiłem do zawodowej służby wojskowej.

Na początku pracowałem w jednostce w Lesznie jako operator stacji radiolokacyjnej, następnie jako dowódca radiostacji, później jako starszy mechanik sprzętu łączności, a ostatnio jako magazynier sprzętu łączności.

Od 1955 roku zajmowałem się krótkofalarstwem, początkowo jako członek klubu LPŻ w Żarach, a od 1970 roku jako indywidualny radioamator, dysponujący własną radiostacją o znaku wywoławczym SP-3-EKV.

W 1959 roku wyjechałem do Związku Radzieckiego, ponieważ tam ćwiczyły nasze jednostki wspólnie z jednostkami radzieckimi, czechosłowackimi i niemieckimi. W tych ćwiczeniach uczestniczyłem około dwóch tygodni – w wozie dowodzenia odbierałem meldunki.

W roku 1973 byłem w NRD przez jeden dzień. Poza tym za granicę nie wyjeżdżałem. Na początku 1974 roku szef łączności jednostki, a później dowódca oświadczyli mi, że Dowództwo Śląskiego Okręgu Wojskowego, a konkretnie szefostwo Wojsk Łączności owego okręgu wytypowało mnie jako kandydata na wyjazd do Wietnamu w charakterze radiotelegrafisty.

Wyraziłem zgodę. Wkrótce też, już w lutym zostałem skierowany do jednostki w Warszawie i tam do maja byłem badany

przez lekarzy. Miałem szczęście, że stan mego zdrowia był bardzo dobry, bo dużo kandydatów z tego powodu odpadło. Zaznajomiono nas z sytuacją w Wietnamie. Przestrzeżono, że w Wietnamie grasują choroby weneryczne i żeby w razie „wpadnięcia" nic się nie bać, tylko od razu iść do lekarza. Zostałem też przeszkolony w sprawach służbowych. Trochę nauczyłem się angielskiego.

Dnia dwudziestego czy dwudziestego pierwszego czerwca 1974 roku wraz z grupą żołnierzy wyjechałem do Sajgonu i po kilku dniach przystąpiłem do pracy w charakterze radiotelegrafisty w Centrum Nadawczo-Odbiorczym przy Międzynarodowej Komisji Kontroli i Nadzoru.

Po przybyciu do Sajgonu zostaliśmy zakwaterowani w bazie Tan Son Nhat (była to baza amerykańska), w domach typu barakowego. Każdy otrzymał oddzielny pokój. Przez dziesięć dni wszyscy radiotelegrafiści byli przygotowywani do pracy. Jeździliśmy autobusem do siedziby Delegacji Polskiej MKKiN w Sajgonie, mieszczącej się w odległości około 5 kilometrów od miejsca naszego zakwaterowania. Tam zawodowi żołnierze – radiotelegrafiści wdrażali nas do przyszłych obowiązków służbowych.

Około pierwszego lipca wraz z drugim podoficerem-radiotelegrafistą przystąpiłem do obsługiwania centrum nadawczo-odbiorczego. Pracowaliśmy na trzy zmiany – na każdej po dwóch. Zmiana trwała 12 godzin, a następnie każdy miał 24 godziny wolne. W czasie wolnym odbywała się nauka języka angielskiego, zebrania itp.

Kasyno obsługiwały Wietnamki – było ich kilkanaście. W pomieszczeniu tym było też coś w rodzaju lokalu dancingowego, w którym grała orkiestra złożona z Wietnamczyków oraz były dziewczęta, które spełniały rolę dam do towarzystwa. Codziennie przychodziło tych młodych kobiet około dwadzieścia, miały przepustki na teren bazy. Jak wiem, zanim mogły pełnić rolę owych dam, były sprawdzane przez policję południowowietnamską. W tym lokalu spędzałem – podobnie jak i inni żołnierze – wszystkie wolne chwile.

Na początku września poznałem bliżej dziewczynę o nazwisku Nguyen Thi Tuoi, która zamieszkiwała w Sajgonie. Miała 26–27 lat i była panną z dzieckiem. Ojcem dziecka, sześcioletniego chłopca, był – jak twierdziła – amerykański pułkownik, którego

nazwiska nie wymieniła. Owa Wietnamka mówiła dość płynnie po angielsku. Zamieszkiwała z rodzicami. Widziałem, że utrzymywał z nią bliższą znajomość nasz kapitan, którego nazwiska sobie nie przypominam. Tuoi mówiła, że z kapitanem utrzymywała stosunki intymne – bywała z nim w hotelu miejskim. Coś tam musiało się między nimi popsuć, bo zerwali. Nastąpiło to na początku września. Mniej więcej w tym czasie zorientowałem się, że Tuoi była gotowa nawiązać stosunki intymne i ze mną. Mój kolega, sierżant Jurek, poderwał drugą Wietnamkę.

Z uwagi na to, że na terenie bazy i naszego zakwaterowania nie było możliwości załatwiania spraw seksualnych, pewnego wieczoru Wietnamki zawiozły nas do hotelu położonego przy bocznej uliczce, gdzie wynajęliśmy pokoje i spędziliśmy dwie godziny.

Później korzystaliśmy już z pokoju – wynajętego przez Tuoi niedaleko bazy – za który płaciłem razem z kolegą, każdy po 7500 piastrów, czyli 11–12 dolarów miesięcznie. Ów pokój użytkowaliśmy aż do wyjazdu do kraju, czyli do 20 marca 1975 roku, z tym że ja tylko do grudnia 1974 roku, następnie moje miejsce zajął inny kolega, ponieważ miałem być przeniesiony.

Do czasu wyjazdu do Da Nangu, z pokoju tego korzystałem często, kilka razy w tygodniu. Czasami spędzałem tam noc, oczywiście nie sam, a z Tuoi. Z tą dziewczyną rozmawiałem o sytuacji swojej rodziny, o ustroju naszym i wietnamskim, a także o innych rzeczach. Wiedziała, że jestem wojskowym, bo widziała mnie w mundurze na terenie bazy. Od czasu do czasu płaciłem Tuoi nie tyle za miłość, ile za tańce, bowiem ci, którzy zapraszali dziewczęta do tańca musieli płacić „przeoryszy", która pilnowała tych spraw. Wieczór przetańczony z dziewczyną kosztował 2000 piastrów, czyli około 3 dolarów.

Moje częste kontakty z Tuoi zwróciły uwagę przełożonych, a przede wszystkim szefa łączności. Mówiono mi (zresztą nie raz, a kilka razy) abym ich zaniechał.

Starałem się dostosować do tych uwag, lecz nie bardzo to wychodziło. Ten fakt spowodował, że przełożeni postanowili przenieść mnie do innej miejscowości. Decyzję zakomunikowano mi w grudniu 1974 roku, z tym że – za zgodą przełożonych, a radą Tuoi – wybrałem Da Nang, ponieważ tam miała mieszkać jej siostra. Na początku grudnia 1974 roku poleciałem tam samolotem amerykańskim.

Zostałem zakwaterowany w hotelu „Hongkong", który mieścił się przy ulicy Pasteura. Mieszkali tam członkowie naszej i węgierskiej delegacji. Zajmowałem pokój z łazienką. W Da Nangu wykonywałem nieco inne obowiązki niż w Sajgonie. Konkretnie, obsługiwałem radiostację R-118, na której pracowałem wyłącznie w określonych godzinach: 10–14, 16–20, z tym że przekazywałem lub odbierałem meldunki i informacje wyłącznie z Sajgonu oraz z grup lokalnych.

Radiostacja była ulokowana w budynku, w którym urzędowały nasze delegacje. Odległość od hotelu, w którym mieszkałem wynosiła około 4 kilometrów. W radiostacji były dokumenty: schematy, instrukcje obsługi i instrukcje naprawy. Oba dokumenty są tajne.

Przed świętami Bożego Narodzenia Tuoi przyjechała do Da Nangu. O tym przyjeździe poinformowała mnie uprzednio listem dostarczonym mi przez siostrę Tuoi [...]

★

Tajne

Da Nang, dnia 06.01.1975 roku
Nr 044/BCH/KI/DB/SCT/G 621/M

Do Głównego Komendanta Policji Państwowej
Biuro Zastępcy Głównego Komendanta
Szefa Pionu Specjalnego

Z szacunkiem melduję:

Dnia 07.12.1974 roku nasze E. DB I Okręgu wykryło, że Nguyen Thi Tot, zamieszkała przy ulicy Gia Long nr 37 w Da Nangu, zaniosła list od swej starszej siostry Nguyen Thi Tuoi, nadesłany z Sajgonu z prośbą o przekazanie go polskiemu sierżantowi-radziście Celegratowi zamieszkałemu w hotelu w Da Nangu. Po dokonaniu kontroli zapoznano się z treścią listu. Thi Tuoi wyrażała w nim podziękowanie dla sierżanta-radzisty Zenka za nadesłane pieniądze na opłacenie komornego. Fakt ten stał się dla E. DB I Okręgu podstawą do podjęcia rozpoznania działalności wyżej wymienionego sierżanta-radzisty. Dzięki temu ustalono, że Nguyen Thi Tuoi urodzona 11.12.1944 w Luong Hoa, Cho Lan, córka Nguyen Thai Con'a i Nguyen Thi Nhon, dowód tożsamości nr 034611343 wydany 19.10.1970 roku w 5 Rejonie Sajgonu, jest obecnie pracownicą firmy „In-

dex" zatrudnioną w klubie MKKiN (na lotnisku) Tan Son Nhat w Sajgonie. Zamieszkuje pod adresem: 58A/22 ulica Pham The Hien, Sajgon 8.

Thi Tuoi jest dziewczyną sierżanta-radzisty Celegrata Zenka od sierpnia 1974 roku po dzień dzisiejszy. 31.12.1974 Thi Tuoi przyjechała z Sajgonu do Da Nangu w odwiedziny do swego ukochanego, tj. Celegrata.

Poznawszy powyższe fakty nasze E. DB I Okręgu poleciło pracownikowi prowadzącemu agenturę, podległemu F.62 dać instrukcję agentce C/y 92, by ściśle inwigilowała codzienne życie pary Celegrat – Nguyen Thi Tuoi (jako, że C/y 92 jest prostytutką utrzymującą od dawna kontakty z członkami delegacji polskiej i węgierskiej w hotelu „Hongkong" w Da Nangu, a którą nasze E. DB już dawniej pozyskało).

Wieczorem 01.01.1975 roku agentka C/y 92 wstąpiła z wizytą do domu pani Nguyen Thi Tot przy ulicy Gia Long 37. Tam spotkała panią Nguyen Thi Tuoi (starszą siostrę Thi Tot), która dopiero co przyjechała do Da Nangu z Sajgonu. Podczas tego spotkania Nguyen Thi Tuoi wyjawiła C/y 92, że jest obecnie ukochaną polskiego sierżanta-radzisty o nazwisku Celegrat. Ponieważ związał się on z Thi Tuoi i okazał jawnie miłość do niej, zaczął być źle traktowany przez zwierzchników i został przeniesiony do Da Nangu. Przed wyjazdem z Sajgonu do Da Nangu polski sierżant-radzista powiedział Thi Tuoi, że uda się do ambasady amerykańskiej, by prosić o azyl polityczny, jeżeli jego zwierzchnicy będą w dalszym ciągu źle się z nim obchodzić. Ponadto wyżej wymieniony sierżant-radzista w rozmowach z Thi Tuoi wykazywał proamerykański stosunek i krytykował polskie władze.

Niniejszym przedstawiam powyższą sprawę władzom zwierzchnim, jednocześnie prosząc o zgodę na skontaktowanie się z Nguyen Thi Tuoi w domu jej siostry Nguyen Thi Tot w celu sprawdzenia wyżej wymienionych informacji, by ustalić plan pozyskania wyżej wymienionego polskiego sierżanta-radzisty na agenta działającego na rzecz Republiki Wietnamu czy też sprowokowania go do dezercji za pośrednictwem Thi Tuoi. Zwracam się do władz zwierzchnich z prośbą o wydanie mi odpowiednich instrukcji.

Prowadzący agenturę – My Thanh

Do kierującego pracą:

Przedstawić pokrótce zaistniałe fakty władzom zwierzchnim. Powiadomić Biuro Łączności. Do prowadzącego agenturę: na razie nie należy się kontaktować z Thi Tuoi, a jedynie pouczyć C/y 92, by w swych dalszych kontaktach z Tuoi wysondowała sprawę niezadowolenia Celegrata. Podsunąć myśl, że jeżeli chce on wystąpić o azyl polityczny u Amerykanów, to ona (Tuoi) poprosi kogoś pracującego w Generalnym Konsulacie USA o pomoc. Pilnie meldować o reakcji Celegrata.

★

[...] Siostra Tuoi zajmowała wraz z jakimś Chińczykiem, prawdopodobnie z jej mężem, dwie izby w domku jednorodzinnym. Siostra Tuoi, o imieniu, o ile pamiętam, Tot, czy Tuon była poinformowana, zapewne przez Tuoi, o naszej wizycie. Mówiła po angielsku. Rozmawialiśmy krótko, bo tylko chodziło o grzecznościową wizytę. Po dwóch dniach odwiozłem Tuoi samolotem, który był do dyspozycji delegacji, do Sajgonu.

W styczniu 1975 roku Tuoi, którą zaprosiłem listownie, przyjechała ponownie do Da Nangu do swej siostry. Udałem się po nią i przywiozłem do swego hotelu. Cywilny wartownik nie robił mi przeszkód. Tuoi została na noc [...].

★

Do Głównego Komendanta Policji Państwowej
Zastępca Szefa Pionu Specjalnego

Z szacunkiem melduję:

Dnia 03.01.1975 roku C/y 92 poinformowała, że Nguyen Thi Tuoi ujawniła wobec niej, że sierżant-radzista Celegrat, jej ukochany, ma zamiar poszukać kontaktu z jakimś kompetentnym pracownikiem Generalnego Konsulatu USA, by prosić o azyl polityczny, ponieważ nie jest w stanie żyć w Polsce, w komunistycznym ustroju.

Dlatego też, zgodnie z instrukcją, nasze E.DB I Okręgu odbyło wiele spotkań z siostrami Nguyen Thi Tuoi i Nguyen Thi Tot w domu Thi Tot przy ulicy Gia Long nr 37 w Da Nangu, w celu uzmysłowienia im korzyści, jakie będzie miała Thi Tuoi jeśli przystanie na współpracę z naszą instytucją, by pomóc swemu partnerowi wymknąć się spod komunistycznego reżimu. Jeżeli Celegrat będzie żył w wolnym świecie, to Thi Tuoi będzie mogła żyć razem z nim. Po uzyskaniu aprobaty Thi Tuoi

jej siostry został przeprowadzony plan nawiązania kontaktu.

Nguyen Thi Tot na pożegnanie wyjeżdżającej 6 stycznia do Sajgonu siostry ma wydać w domu przy ulicy Gia Long 37 w Da Nangu małe przyjęcie dla siostry i przyszłego szwagra, tj. Celegrata, na którym będzie też obecna zaprzyjaźniona z Thi Tot para małżeńska [...].

★

[...] Bodajże w drugim dniu, a Tuoi była wówczas około tygodnia, podczas pobytu w restauracji powiedziała mi, abyśmy spożyli kolację w mieszkaniu jej siostry, bowiem ta miała taką kolację przygotować. Zgodziłem się na tę propozycję [...].

★

[...] Rano 5.01.1975 roku o godzinie 8.00 Thi Tot z siostrą poinformowały, że Celegrat z radością i bez zastrzeżeń zgodził się uczestniczyć w małym przyjęciu pod wyżej wymienionym adresem, wieczorem 5.01.1975 roku.

E. DB I Okręgu natychmiast poinformowało o tym Biuro Łączności i pan Haefner, zgodnie z planem, w towarzystwie wietnamskiej przyjaciółki, przynosząc ze sobą butelkę alkoholu oraz wiktuały zakupione z funduszy amerykańskiego Biura Łączności przyszedł na wyżej wymienione przyjęcie o 20.30 tegoż dnia, dokładnie tak jak to zostało ustalone [...].

★

[...] U siostry Tuoi zastaliśmy poza nią Chińczyka, jakąś starszą Wietnamkę, którą przedstawiono mi jako nauczycielkę oraz faktycznego czy rzekomego przyjaciela owej nauczycielki, białego, który przedstawiając się bąknął coś, co zrozumiałem jako niemieckie nazwisko.

Wszyscy siedzieli przy stole, z wyjątkiem Chińczyka, który chodził. W czasie kolacji ów Niemiec, który okazał się Amerykaninem wypytywał mnie o to, gdzie się urodziłem, gdzie pracuję itp., a ja mu wyjaśniałem te kwestie. Powiedziałem, że jestem żołnierzem, że obsługuję radiostację. W czasie tej rozmowy założyliśmy się, że ja rozciągnę sprężynę więcej razy niż on, o 10 dolarów USA.

Po kolacji ów Amerykanin wręczył mi swoją wizytówkę i poprosił o zatelefonowanie do niego w sprawie zakładu. Z wizytówki dowiedziałem się, że nazywa się Haefner i że jest pracownikiem konsulatu amerykańskiego w Da Nangu [...]

★

Dnia 6.01.1975 o godzinie 13.00 prowadzący agenturę pracownik My Thanh udał się do domu Nguyen Thi Tot przy ulicy Gia Long 37 w Da Nangu na spotkanie z Nguyen Thi Tuoi, uzyskując w rezultacie poniższe informacje:

Według tego, co ujawniła Thi Tuoi, wyżej wymienione spotkanie Haefnera z Celegratem przebiegało w wesołej i przyjaznej atmosferze i zakończyło się dopiero o 23.00 5.01.1975 r. i nie wywołało u Celegrata żadnej reakcji ani też nie wzbudziło żadnych podejrzeń. Spotkawszy tego Amerykanina Celegrat wydawał się nawet być ucieszony. Powiedział on Thi Tuoi, że będzie bywał w jakimś klubie, by tam spotykać się na co dzień z tym Amerykaninem, wykazując się przed nim swymi umiejętnościami w podnoszeniu ciężarów, przeciąganiu liny itp. Celegrat powiedział także Thi Tuoi, że ów Amerykanin obiecał się spotkać z nim tego wieczoru dla wspólnej rozrywki, ale ponieważ przyjeżdża do Sajgonu polski pułkownik – w związku z czym ma się odbyć przyjęcie i zebranie – nie wie, czy będzie mógł spotkać się z Amerykaninem, czy nie. Thi Tuoi radziła mu, spotkać się z Amerykaninem i zamienić z nim parę słów, by nie urazić przyjaciela. Celegrat przyrzekł, że postara się z nim spotkać.

Thi Tuoi poinformowała ponadto, że Celegrat ostatnio smuci się, bez przerwy płacząc w związku z jej powrotem do Sajgonu. Powiedział jej, że będzie się starał wpaść do Sajgonu, aby się z nią spotkać, a jeżeli to się nie uda, to najpóźniej do 15 lutego Thi Tuoi ma przyjechać do Da Nangu odwiedzić go. Spotkanie kontaktowe skończyło się o godz. 13.30 [...].

★

[...] Podejrzewając, że ta kolacja była zaaranżowana, otrzymaną wizytówkę wraz z pisemnym oświadczeniem o okolicznościach spotkania przekazałem zastępcy dowódcy Regionu naszej delegacji w Da Nangu, komandorowi podporucznikowi Jerzemu Maleckiemu. Uczyniłem to, bo było służbowe polecenie, aby o wszystkich kontaktach z Amerykanami meldować. Komandor kazał mi wstrzymać się z telefonowaniem do owego Amerykanina, zaś po upływie około tygodnia oświadczył mi, żebym nie telefonował, bo ów Amerykanin to stara wyga wywiadu amerykańskiego i mógłby owinąć mnie dookoła swego palca. Tuoi oraz jej siostra wyjechały wcześniej do Sajgonu. Obie odwiozłem samochodem na lotnisko [...].

★

[...] O godzinie 14.15 pracownik prowadzący agenturę zobaczył, jak samochód MKKiN prowadzony przez wietnamskiego kierowcę, wiozący dwóch Polaków, Wietnamkę (o nieznanym nazwisku) i Celegrata, zajechał przed dom nr 37 przy ulicy Gia Long i zabierając Nguyen Thi Tuoi odjechał w stronę lotniska w Da Nangu. Pracownik prowadzący agenturę pojechał za wyżej wymienionym wozem do skrzyżowania ulic Doc Lap i Phan Thanh Gian, gdzie stracił ich z oczu, ponieważ jego samochód niespodziewanie zepsuł się.

Co z szacunkiem przedkłada władzom zwierzchnim
Prowadzący agenturę – My Thanh

★

[...] Do Tuoi nie miałem pretensji o zaaranżowanie spotkania z Amerykaninem, gdyż podejrzewałem o to jej siostrę. Ta ostatnia, jak wiem, zamknęła mieszkanie w Da Nangu na kłódkę i chyba więcej tam nie wróciła, gdyż już jej potem nie widziałem ani tam, ani w Sajgonie [...].

★

Uprzejmie informuję, że Amerykańskie Biuro Łączności wystąpiło do naszego E. DB/BCH/KI z życzeniem przejęcia przez nich wszelkich praw odnośnie decyzji w powyższej sprawie.

Co niniejszym z szacunkiem przedstawia Generałowi Brygady – Głównemu Komendantowi Policji Państwowej
Zastępca do spraw specjalnych – mjr Le Xuan Nhuan
Kopie otrzymuje:
Główna Komendantura Policji Państwowej (K. DB + E3)

Przekazać Amerykanom – udzielić
pomocy operacyjnej wg żądań
Szef F.62

★

[...] Około połowy lutego, jak wiele razy pod nieobecność Tuoi, sam udałem się do baru „Barbecue", położonego w pobliżu hotelu, tj. przy ulicy Pasteura. Przed wejściem spotkałem Amerykanina, którego znałem z widzenia i rozmów w klubie amerykańskim – chodziliśmy tam po papierosy, piwo itp., a nazywanego przez nas „okularnikiem", jako że nosił on okulary. Amerykanin zaprosił mnie na rozmowę do barku, na piwo – jak sądziłem. Gdy weszliśmy i usiedli w pobliżu sali bilardowej, ów Amerykanin zamówił dla siebie piwo w kuflu, na którym było

jego nazwisko – Richard Hoychurst – a dla mnie również piwo, lecz w butelce. W czasie rozmowy poprosił mnie o pomoc i zaczął wypytywać, czy jestem żołnierzem, w jakiej jednostce i w jakiej miejscowości pełnię służbę wojskową, gdzie mieszkam itp. Zorientowałem się, że jest on pracownikiem wywiadu i chciałem wyjść, wstając od stolika.

Amerykanin położył mi rękę na ramieniu i kazał usiąść. Gdy to uczyniłem, wyjął z kieszeni około 10 fotografii czarno-białych i kolorowych, które mi pokazał. Po widocznych fragmentach łóżka i szafy zorientowałem się, że pokazują wnętrze wynajmowanego przez nas pokoju. Zobaczyłem na nich siebie oraz moją dziewczynę Tuoi w różnych nietypowych pozach stosunków seksualnych. Przestraszyłem się. Amerykanin wyznaczył mi spotkanie w dniu następnym na ulicy, w odległości około 150 metrów od hotelu, w którym mieszkałem. Oznaczył dokładnie miejsce.

Na spotkanie wyznaczone mi o godzinie 18.00 przyjechał samochodem marki „Toyota", którym zawiózł mnie w pobliże konsulatu amerykańskiego. Zatrzymaliśmy się przed budynkiem nie mającym żadnego oznaczenia, żadnego szyldu, ale był on strzeżony przez wartownika – uzbrojonego Wietnamczyka.

W pokoju, do którego zostałem zaprowadzony, nie było okien. Amerykanin zapalił światło, poczęstował szklanką wódki, zaznaczając, że słyszał, iż Polacy dużo piją i dlatego nalał mi pełną szklankę. Gdy poprosiłem, by odlał część tej wódki, zapytał mnie czy będę odpowiadał na jego pytania, a gdy potwierdziłem zaznaczył, że w takim razie fotografie nikomu nie będą przesłane, a miały być skierowane do żony i do jednostki.

Następnie zaczął mnie wypytywać o jednostkę, a gdy próbowałem udawać, że nie wiem o co chodzi, zezłościł się, zaczął mi grozić, że jednak te fotografie wyśle i pokazał mi kartkę z tekstem dalekopisowym, gdzie w pierwszej linijce była pełna nazwa mojej jednostki.

Zaczął znów zadawać pytania, a ja na jego żądanie pisałem odpowiedzi na kartkach białego papieru formatu A4.

Podałem między innymi, że jednostka posiada artylerię klasyczną (lufową, kaliber dział 57 mm). To spotkanie trwało około trzech godzin.

Nauczył mnie wtedy, jak się z nim kontaktować. Wyjął koper-

tę, z której wyrzucił papier, następnie kopertę rozkleił, wziął żelazko, którym po nagrzaniu kazał mi wyprasować kopertę po stronie wewnętrznej. Gdy to uczyniłem, na kopercie ujawnił się tekst drukiem w języku angielskim.

Nauczył mnie też sporządzania tajnopisów. W tym celu wziął kartkę papieru, położył ją na stole, po czym zaczął ją pocierać czymś w rodzaju tamponu z waty – czynił to we wszystkich kierunkach, obracając przy tym kartkę o 90°, czyli zrobił nią pełne koło. Kartkę odwrócił na drugą stronę i powtórzył tę czynność. Następnie wziął kalkę, położył na kartkę. Złożył dwa razy, a następnie wyjął kalkę, rozprostował kartkę papieru i położył na innej czystej kartce, pod którą był blok papierowy, napisał coś długopisem, kartkę wyprasował i w efekcie ujawnił się tekst przed chwilą napisany. Do odczytania treści zapisu Amerykanin użył jakiegoś płynu w aerozolu.

Z kolei, według wskazówek Amerykanina, ja dwukrotnie wykonywałem podobne czynności i w efekcie nauczyłem się sporządzania tajnopisów.

Od Amerykanina otrzymałem adres prywatny w USA – chyba w New Jersey – pod który miałem pisać listy-tajnopisy. Oznaczył mi też miejsce, w którym miałem się z nim spotykać. Było to skrzyżowanie ulic w pobliżu szpitala francuskiego – nazwy ulic nie pamiętam.

Otrzymałem też numer telefonu w Da Nangu, na który miałem zatelefonować dzień przed odlotem do Sajgonu. Miałem polecenie przedstawienia się jako Jones i poprosić o rozmowę z panem Smithem. Otrzymałem też numer w Sajgonie, gdzie miałem zadzwonić w pierwszą środę po przyjeździe. Amerykanin pokazał mi też trzy fotografie, na których były: deska na ścianie w toalecie baru „Barbecue" i dwa takie same urządzenia klimatyzacyjne w korytarzu klubu amerykańskiego. Każde urządzenie było oznaczone innym kolorem. Wyjaśnił mi, że te urządzenia będą stanowić nasze martwe skrzynki (skrytki kontaktowe). Tam kazał mi składać zebrane materiały. Otrzymałem trzy różnokolorowe taśmy o wymiarach około 1,5 x 1 cm, które przyklejone w tych miejscach na zewnątrz miały oznaczać, że materiały w danej skrzynce zostały złożone przeze mnie. Przyklejenie takiej taśmy przez Amerykanina było dla mnie sygnałem i informacją, że odebrał list ode mnie i czeka na kolejne materiały.

Otrzymałem ołówek oraz kalki do tajnopisów, trzy kasety po

20 klatek do aparatu „Petri". Ja taki aparat miałem, kupiłem go w Sajgonie za 40 000 piastrów. Amerykanin polecił mi sfotografować instrukcje, którymi posługiwałem się w służbie oraz zrobić zdjęcia wszystkich kolegów i całej naszej grupy w Da Nangu, i złożyć je partiami w skrzynkach kontaktowych. W ostatnią, trzecią kopertę miałem też włożyć kalkę do tajnopisów. Na tym pierwsze spotkanie się zakończyło.

Wykonałem 40 fotografii poszczególnych stron instrukcji do radiostacji R-118 oraz na 10–12 kadrach fotografie żołnierzy i innych osób z naszej delegacji na rejon Da Nangu. Osoby te nie podejrzewały, w jakim celu są fotografowane.

W tym też mniej więcej czasie doszły mnie słuchy, że mam być odesłany do kraju z powodu nie przerwania mojej znajomości z Tuoi. Ponieważ wiedziałem, że nic w tej sprawie nie wskóram u przełożonych, napisałem do Tuoi, żeby przyjechała jeszcze raz do Da Nangu, żebyśmy mogli być jak najdłużej razem przed moim odlotem. Tuoi przyleciała 23 lutego [...].

★

23.02.1975 r.

Tajne

Główna Komendantura Policji Państwowej
I Okręg
E. SPEC.

RAPORT

Dotyczy: obserwacji podjętej dla ustalenia, czy i o której godzinie Nguyen Thi Tuoi, dziewczyna polskiego sierżanta-radzisty Celegrata, przybyła do Da Nangu (na życzenie Sojuszniczego Biura Łączności).

Z szacunkiem melduję:

Na rozkaz władz zwierzchnich dnia 23.02.1975 roku o godzinie 8.00 rano pracownik prowadzący agenturę wraz z pracownikiem obserwacji udał się na lotnisko w Da Nangu, by być w gotowości do śledzenia Thi Tuoi.

O godzinie 16.45 na danangskim lotnisku wylądował samolot Caravelle nr 8523. Wśród pasażerów opuszczających jego pokład pracownik prowadzący agenturę rozpoznał informatorkę Nguyen Thi Tuoi i Nguyen Thi Tot, które powyższym rejsem przyleciały z Sajgonu. Nie widząc, by Celegrat przybył je powi-

tać, pracownik prowadzący agenturę niezwłocznie ujawnił się, witając informatorkę i jej siostrę, przy czym został przez Thi Tuoi powiadomiony, iż przybyła ona do Da Nangu w odwiedziny do Celegrata. Pracownik umówił się z informatorką, że podczas jej pobytu u Celegrata w Da Nangu, każdego dnia ma się ona spotykać z pracownikiem o godzinie 9.00, w domu Thi Tot, by informować o przebiegu kontaktów między nią a Celegratem. Nguyen Thi Tuoi oznajmiła, że następnego dnia (tj. 24.02.1975) Celegrat ma wolny dzień i z pewnością nie da jej wyjść z domu, prosi więc, by tego dnia umówili się na dwunastą, natomiast w zwykłe dni mogą spotkać się rano.

Co niniejszym z szacunkiem przedstawia władzom zwierzchnim

Prowadzący agenturę – My Thanh

★

[...] Tuoi zamieszkała u mnie w hotelu, na co nikt z hotelowego personelu nie zwracał uwagi. W tym też czasie wykonane przeze mnie zdjęcia instrukcji i kolegów złożyłem w skrzynce i za pomocą kolorowej taśmy zasygnalizowałem ten fakt. Za złożone materiały podjąłem przesyłkę w barze „Barbecue" (zza deski w toalecie). Było tam 110 000 piastrów oraz pokwitowanie na tę sumę. Pokwitowanie podpisałem i złożyłem w skrzynce.

Pieniądze wydatkowałem na alkohol i zabawę z Tuoi.

Wtedy wezwał mnie mój przełożony i zakomunikował, że 7 marca odlecę do Sajgonu, a stamtąd do kraju. Postanowiłem więc wcześniej wysłać do Sajgonu Tuoi, żeby mogła tam przygotować wszystko na ostatni wspólny pobyt [...].

★

Da Nang, dnia 04.03.1975 r.

Główna Komendantura Policji Państwowej
I Okręg
E. SPEC.

RAPORT

Dotyczy: wyniku obserwacji prowadzonej wobec Celegrata, Nguyen Thi Tuoi i Nguyen Thi Tot od ulicy Gia Long nr 37 do danangskiego lotniska, dnia 03.03.1975 r.

Z szacunkiem melduję:

Wypełniając polecenie władz zwierzchnich, dnia 03.03.1975 roku o godzinie 8.00 pracownik prowadzący agenturę i pracow-

nik wspomagający udali się na ulicę Gia Long w Da Nangu do restauracji „Da Huong" i kawiarni naprzeciw domu Nguyen Thi Tot, gdzie jedli che i pili kawę, by w zakonspirowany sposób prowadzić obserwację, której rezultaty w skrócie przedstawiają się następująco:

– Dnia 03.03.1975 r. o godzinie 13.25 samochód turystyczny MKKiN nr 18071 przywiózł Celegrata i Nguyen Thi Tuoi przed dom nr 37 przy ulicy Gia Long. Celegrat i Thi Tuoi wnieśli do domu Nguyen Thi Tot walizki, o 13.35 Celegrat wyszedł i wrócił samochodem do hotelu „Hongkong" w Da Nangu.

– O godzinie 14.40 Nguyen Thi Tuoi i Nguyen Thi Tot, wioząc ze sobą bagaże, udały się rikszą do biura podróży wietnamskich linii lotniczych przy ulicy Doc Lap w Da Nangu.

– O godzinie 15.10 Celegrat przyjechał samochodem MKKiN marki Ford, bez numeru, przed kasy biletowe biura wietnamskich linii lotniczych przy ulicy Doc Lap i zabrał Nguyen Thi Tuoi oraz Nguyen Thi Tot prosto na lotnisko Air VN w Da Nangu. Celegrat przywiózł Thi Tuoi i jej siostrę na lotnisko o godzinie 15.20, posiedział z nimi rozmawiając do godziny 15.40 w poczekalni lotniska Air VN, kiedy to wyszedł do samochodu, by wrócić do hotelu „Hongkong".

Pracownik prowadzący agenturę poprosił wspomagającego go pracownika o pilnowanie Celegrata, by móc jawnie skontaktować się z Nguyen Thi Tuoi. Zaprosił on Thi Tuoi i jej siostrę na spotkanie do klubu Air VN, na którym to spotkaniu Thi Tuoi poinformowała go o poniższych sprawach:

a) – Celegrat uda się do Sajgonu 10.03.1975 roku, by 18 lub 19 powrócić do kraju. Jeśli natomiast w ciągu wyżej wymienionych dni nie będzie środka transportu, to wyjedzie dopiero do Polski 07.04.1975 roku.

b) – W ciągu ostatnich dni Celegrat ciągle wypłakiwał, mówił Thi Tuoi, że nie rozumie dlaczego chcą, by wrócił do Polski i nie dają mu pozostać w Wietnamie.

c) – Wieczorem 02.03.1975 roku Celegrat i jego kolega zwany Witkiem (Vi Phech) poszli się napić z Amerykaninem imieniem Dick do restauracji „Quoc Te" przy ulicy Pasteura nr 1 w Da Nangu.

– O godzinie 17.00 samolot Caravelle nr B 2503 wylądował na lotnisku w Da Nangu i o 17.25 Thi Tuoi i jej siostra weszły na jego pokład. Na tym zakończyła się obserwacja.

Wydatki poniesione podczas prowadzenia obserwacji:

- 6 litrów benzyny do 2 motocykli marki Honda (prowadzącego agenturę i wspomagającego) 1428
- kawa i che (potrawa wietnamska) dla pracownika prowadzącego agenturę i pracownika obserwacji 690
- obiad na miejscu dla pracownika prowadzącego agenturę i pracownika obserwacji 600
- napoje dla Thi Tuoi, jej siostry i pracownika prowadzącego agenturę w klubie na lotnisku Air VN 750
- paczka papierosów 350

Razem piastrów 3818

Co niniejszym z szacunkiem przedstawia władzom zwierzchnim

Pracownik prowadzący agenturę – My Thanh

ad. pkt.

c) „Witek" – nie ma takiego imienia w spisie. Opisać jak wygląda.

G.622

Poinformować natychmiast Biuro Łączności.

F.62

★

[...] Przed 8 marca 1975 roku opuściłem Da Nang udając się do Sajgonu. Przed opuszczeniem Da Nangu, zgodnie z żądaniem Amerykanina zatelefonowałem pod wskazany numer, przedstawiając się jako Jones. Telefon odebrała kobieta, której powiedziałem, że chcę mówić ze Smithem. Gdy zgłosił się mężczyzna powiedziałem mu, kiedy odlatuję do Sajgonu. Ów mężczyzna przyjął to do wiadomości. Następnego dnia po telefonie udałem się na lotnisko, by polecieć do Sajgonu [...].

★

B. pilne
Tajne

TBV+DTV(NHT) 05 egzempl.
Godz. 8.00, dn. 10.03.75

DEPESZA URZĘDOWA
(Szyfr specjalny)

NADAWCA: Komendantura Policji Państwowej (E. DB) I Okręg

ADRESAT: Główna Komendantura Policji Państwowej (K. DB) E3 w Sajgonie

Tekst nr: 1676/BCH/KI/DB/F. 62/G. 621/M z dnia 10/03/75

Polski sierżant-radzista z drugiej danangskiej grupy regionalnej nazwiskiem Celegrat opuścił Da Nang, udając się do Sajgonu o godzinie 14.30 dnia 07.03.1975, by przygotować się do powrotu do kraju. Pomoc dla Sojuszniczego Biura Łączności w sprawie Celegrata na tym zakończono. Koniec.

mjr Le Xuan Nhuan

Kopie otrzymują:
Biuro Łączności z adnotacją: „Do wglądu"
Jednostki G. 622/F. 62 z adnotacją „Do zapoznania się"

★

[...] W Sajgonie, w środę zatelefonowałem pod wskazany numer telefonu, zaś mężczyzna, z którym rozmawiałem, kazał mi się zgłosić w umówionym miejscu o godzinie 15.00.

Taksówką pojechałem w rejon kina „Rex", skąd pieszo doszedłem na miejsce spotkania. Tam podjechał samochód marki „Volkswagen", do którego wsiadłem. Samochód prowadził kierowca mówiący po polsku, zaś z tyłu siedział „okularnik". Ten ostatni przedstawił mi kierowcę jako Teda. Zostałem zawieziony do jakiegoś niedużego budynku, wokół którego nie widziałem żadnego wartownika, pamiętam tylko, że drzwi otwierała jakaś Wietnamka. Weszliśmy na pierwsze piętro, potem przez jakiś pokój do innego pomieszczenia. Tam Ted oświadczył mi, że przystąpią do szkolenia. Zaznaczył, żebym się o kompromitujące fotografie nie martwił, bo skoro z nimi współpracuję, to nie będą wykorzystane.

Pokazał mi potem trzy tajnopisy, które wysłałem z Da Nangu, po czym wskazał wadę w wykonaniu jednego z nich. Zabrał mi adres otrzymany w Da Nangu, a na to miejsce dał inny adres w USA, zaznaczając, że po powrocie do kraju, powinienem odczekać dwa miesiące po czym dopiero wysłać list. Adres ten zapisałem w swoim notesie. Z kolei na podsuniętej mi przez Teda kartce papieru sporządziłem szkic położenia jednostki, do której należałem służbowo, tj. w Lesznie. Zaznaczyłem budynki koszarowe przy bramie głównej, plac zbiórek, park artyleryjski oraz trzy budynki, w których mieścił się sztab jednostki. Szkic ten podpisałem nazwiskiem, po czym zabrał go Ted.

W pewnej chwili przyniósł on radioodbiornik bateryjny, po czym kazał wyszukać w określonej częstotliwości sygnał – numer trzycyfrowy. Następnie, po wyszukaniu, kazał mi odnotować go mówiąc, że w taki sposób będę odbierał ich radiogramy

w kraju. Ted powiedział mi, że tylko radiogramy zaczynające się od cyfr 1, 3, 6, 7, 8 będą przeznaczone dla mnie. Jeżeli w haśle wywoławczym nie wystąpiła żadna z tych cyfr, to nie musiałem odbierać nadawanego radiogramu. Teraz Ted na próbę dał mi tekst do rozszyfrowania. Składał się on z grup pięcioliterowych. Przy pomocy tabeli szyfrowej odczytałem go. Tekst sprowadzał się do życzeń, a konkretnie brzmiał: „życzymy panu wszystkiego najlepszego". Wyjaśniono mi, że jeżeli usłyszę w radio liczbę 238, to znaczy, że nie ma dla mnie żadnego polecenia.

Obecny przez cały czas przy tym szkoleniu „okularnik" wyjął w pewnej chwili fotografie instrukcji, które ja wykonałem i pokazał na nich wady wykonania. Kazał mi przynieść na następne spotkanie aparat, którym robiłem zdjęcia, aby mogli sprawdzić, czy jest dobry.

Ted okazał wykonane przeze mnie zdjęcia kolegów żądając, bym podał jakie funkcje pełni w delegacji każda z tych osób. Wyjaśniłem więc te kwestie, podając kto był dowódcą w regionie, jaki posiadał stopień, kto jest zastępcą itp.

Następnie Ted wypytywał mnie, czy wiem, gdzie w Warszawie jest położony stadion klubu sportowego „Warszawianka". Chodziło o to, żebym zorientował się, w jakim rejonie będę odbierał przesyłki od nich.

Na zakończenie tego szkolenia „okularnik" podsunął mi do podpisu pismo w 6 egzemplarzach, sporządzone w języku angielskim i polskim, które było zobowiązaniem do współpracy z rządem USA i jego służbami specjalnymi. Była tam klauzula, że w wypadku niedotrzymania umowy poniosę wszelkie konsekwencje z tego wynikające. Złożyłem podpis. „Okularnik" po zapytaniu mnie, czy wiem, gdzie jest ulica Rakowiecka w Warszawie i co się przy niej znajduje – ja powiedziałem, że nie wiem – zagroził mi, że gdybym ujawnił fakt współpracy z nimi, to oni pierwsi będą wiedzieli o tym, bo wszędzie mają swoich ludzi.

Ted powiedział, że taka współpraca z wywiadem to zawód, a więc trzeba brać pieniądze z tego tytułu. Podał mi kopertę, w której były pieniądze, a mianowicie 600 dolarów USA i 240 000 piastrów. Ted kazał mi z tych pieniędzy kupić radio z zakresem 5750 kHz i 3808 kHz, bo na tych częstotliwościach będę odbierał w kraju radiogramy.

Kazali przynieść rachunek za to radio na następne spotkanie za tydzień.

Cały ten czas spędzałem z Tuoi. Dowiedziałem się, że do kraju odlecę w czwartek, tuż po spotkaniu z Amerykanami, i że nie będę miał wtedy już okazji do pożegnania z Tuoi. Dlatego pożegnaliśmy się we wtorek wieczorem. Dałem jej 600 dolarów i 120 000 piastrów z tych pieniędzy, które dostałem od Amerykanów. Pieniądze dałem jej, bo sądziłem, że nie miała na życie. Pracę w „Indexie" miała przecież niedługo zakończyć z powodu wiosennej ofensywy Viet-congu i wyzwolenia Sajgonu.

Nie wierzę, że Tuoi była współpracownikiem wywiadu amerykańskiego. To raczej jej siostrę podejrzewałem o to, gdy aranżowała u siebie to pierwsze spotkanie z Haefnerem. Wiem, że Tuoi mnie kochała i nie mogła tego zrobić. Ostatni raz widziałem Tuoi w środę nad ranem, gdy odprowadzałem ją z mojego hotelu w pobliże domu, gdzie mieszkała z rodzicami. Pożegnaliśmy się, obiecując pisać listy i wróciłem do hotelu. Nadchodziła pora spotkania z Amerykanami.

Odbyło się ono tak samo jak pierwsze. Pokazałem Tedowi rachunek za japońskie radio „Nivico", które kupiłem zgodnie z poleceniem. Obejrzał go i oddał. Pokazałem też aparat „Petri", który Ted sprawdzał, robiąc mi fotografie, a następnie demonstrując, pouczał mnie jak mam posługiwać się nim w przyszłości. Na zakończenie powiedział, że gdybym po dziesięciu latach zdecydował się rzucić służbę, to mogą mi stworzyć możliwości wyjazdu do USA, gdzie zyskałbym dzięki nim dobrą pracę. Na tym rozstaliśmy się. Po spotkaniu wróciłem do miejsca zakwaterowania. Więcej z Amerykanami nie spotkałem się, bowiem następnego dnia odleciałem do kraju. Było to 18 marca 1975 roku [...].

★

30 kwietnia 1975 roku wiosenna ofensywa Viet-congu zakończyła się generalnym zwycięstwem. Sajgon został zdobyty. Reżim południowowietnamski przestał istnieć. Jak podają korespondenci zachodni, znaczna część notabli zdołała opuścić Sajgon. Urzędnicy niższego szczebla obalonych władz stają przed specjalnymi komisjami, które decydują o ich dalszym losie. Szczególnie zajadłych obrońców starego reżimu czekają procesy karne, pozostali, głównie wykonawcy poleceń, kierowani są do specjalnych obozów reedukacyjnych, utworzonych na całym terenie zjednoczonego obecnie Wietnamu.

Nowe władze przemianowały Sajgon na miasto Ho Chi Minh.

★

SOCJALISTYCZNA REPUBLIKA WIETNAMU
Niepodległość – Wolność – Szczęście

Protokół z przesłuchania winnego

Ja, Phu Nghia, stanowisko – zastępca naczelnika wydziału w obecności Nguyen Van Sanh, stanowisko – pracownik śledczy, przeprowadzam przesłuchanie winnego:
Nazwisko i imię: Nguyen Thi Tuoi
Data urodzenia: 11.12.1944
Miejsce urodzenia: gmina Luon Hoa, powiat Ben Luc, Long An.
Miejsce zamieszkania: ulica Pham The Wien 68B/16.

Pytania i odpowiedzi

Pytanie: Proszę powiedzieć, od kiedy do kiedy pracowała pani dla amerykańskiego wywiadu, który Amerykanin bezpośrednio panią kierował, jakie były kierunki działania i jakie rezultaty?

Odpowiedź: Było to pod koniec grudnia 1974 lub na początku stycznia 1975. W parę dni po powrocie do Sajgonu z Da Nangu, gdzie byłam z wizytą u pana Zenka, w środku nocy, kiedy spałam, przyszło trzech policjantów zrewidować dom. Spytali mnie, czy jestem Tuoi, a po co byłam w Da Nangu, to oni już wiedzą. Wręczyli mi wezwanie majora policji Tran Van Bi do stawienia się następnego dnia rano na rozmowę w Komendzie Głównej Policji.

Przyszłam, zaprowadzono mnie do pokoju, gdzie siedział major. Spytał mnie: „Jak się pani nazywa, gdzie pani pracuje, kogo pani zna?" Odpowiedziałam: „Pracuję w klubie międzynarodowej komisji na lotnisku Tan Son Nhat, znam pana Zenka, członka polskiej delegacji. Ja i pan Zenek pokochaliśmy się". Major zapytał, dlaczego nie zaznajomiłam się z Indonezyjczykiem czy Irańczykiem. Odpowiedziałam: „Utrzymuję znajomość z tym, kto jest sympatyczny i kto mi odpowiada". Major stwierdził, że taka miłość jest przewinieniem i spytał: „Czy mocno zawładnęła pani uczuciami pana Zenka?" Odparłam: „Wiem, że bardzo mnie kocha". Major oznajmił, że mam mu pomóc w jednej sprawie: „Postara się pani, by ten Polak zechciał współpracować z nami".

Potem major zaprowadził mnie na ulicę Gia Long 23 na spotkanie z pewnym Amerykaninem, który przedstawił się jako

Jim. Powiedział: „Pomoże pani, by ten Polak pracował z nami, dobrze?" Skinęłam potakująco głową. Jim ustalił termin spotkania w następnym tygodniu, a major kazał mnie odwieźć do domu.

Zgodnie z umową poszłam sama na ulicę Gia Long po raz drugi na spotkanie z Jimem. Przywitał mnie i poprosił, bym usiadła. Spytał: „Czy Polak przysyła pani listy z Da Nangu?" Powiedziałam, że tak. Wręczył mi plik fotografii, mówiąc: „Są to zdjęcia Polaków i Węgrów. Proszę zobaczyc, czy kogoś z nich pani zna". Po obejrzeniu powiedziałam, że nikogo nie znam. Polecił mi, bym następnym razem przyniosła i pożyczyła mu list od Polaka. Następne spotkanie Jim wyznaczył w domu nr 83 przy ulicy Phan Ke Binh.

Przyszedłszy na ulicę Phan Ke Binh 83 przyniosłam Jimowi list od pana Zenka, który Jim zatrzymał i już mi nie oddał. Spytał: „Gdzie pani zazwyczaj spotyka się z panem Zenkiem?" Powiedziałam, że wynajmujemy mieszkanie przy ulicy Cach Mang i podałam mu dokładny adres, bo domagał się tego. Powiedziałam też, że wkrótce jadę do Da Nangu, ponieważ już dawno nie widziałam się z panem Zenkiem, który tęskni i polecił mi przyjechać, a ja obiecałam, że przyjadę go odwiedzić. Jim umówił się ze mną na spotkanie po powrocie z Da Nangu.

Wróciłam z Da Nangu po pięciu dniach. Zgodnie z umową poszłam na spotkanie z Jimem. Jim spytał mnie: „Czy podróż do Da Nangu była przyjemna? Gdzie bywał z panią pan Zenek?" Powiedziałam: „Było bardzo przyjemnie, chodziliśmy nad morze, jeden raz byłam u niego w pracy". Jim spytał: „Czy Polak był zadowolony? Co było w jego pokoju?" Odpowiedziałam: „W jego pokoju był jakiś aparat, nie orientuję się jaki. W miejscu pracy były wyłącznie same aparaty, a co do pana Zenka to zawsze jest w dobrym nastroju". Jim zapytał: „Czy członkowie delegacji polskiej i węgierskiej często tańczą w klubie międzynarodowej komisji? Czy zauważyła pani, by hołdowali swobodzie obyczajów?" Odpowiedziałam: „Tańczą często i według moich spostrzeżeń odpowiada im swoboda obyczajów". Potem Jim odwiózł mnie do przystanku autobusowego opodal siedziby towarzystwa wietnamsko-amerykańskiego. W czasie jazdy powiedziałam: „Nie będę już więcej wykonywać tej pracy dla pana". Spytał dlaczego. Odparłam, że nie chcę. Jim powiedział: „Jeśli nie będzie pani tego robiła, policja wsadzi

panią do więzienia". Bałam się więzienia, więc musiałam dalej pracować dla niego.

Pytanie: Co nastąpiło po wyjeździe pana Zenka do Polski?

Odpowiedź: Po wyjeździe pana Zenka do kraju znów poszłam na spotkanie z Jimem w domu nr 83 przy ulicy Phan Ke Binh. Jim zapytał: „Czy Polak wyjechał już do kraju?" Powiedziałam, że już pojechał. Spytał: „Czy dał coś pani?" Odpowiedziałam, że dał mi złotą bransoletkę i 100 000 piastrów. Jim zapytał: „Czy coś obiecywał?" Powiedziałam: „Obiecał przysyłać do mnie listy". Jim spytał: „Czy pan Zenek mówił, jak daleko posunęła się ofensywa wyzwoleńcza?" Odpowiedziałam, iż mówił, że ofensywa dotarła już do Ban Thuat Pleiku. Jim wyjaśnił, że nie ma co się bać, komuniści nigdy do Sajgonu nie wejdą, a tamte tereny należało oddać, bo nie było sensu ich bronić, bo jest tam mało mieszkańców, a obszar bardzo rozległy. Potem Jim zapytał mnie: „Czy pani chce wyprawić dziecko do Ameryki i czy ma pani tam kogoś z rodziny?" Odpowiedziałam: „Chcę, mam tam ciotkę, Huynh Thi Biet. Boję się, że kiedyś może mi nie starczyć sił na zapewnienie mu utrzymania i wykształcenia".

Zanim wyszłam Jim wręczył mi 40 000 piastrów mówiąc: „Jest to pani wynagrodzenie". Spytał mnie: „Zenek wrócił do kraju. Może pani zna jeszcze kogoś?" Odparłam, że nie.

Dwa tygodnie później, 20 kwietnia, gdy tańczyłam w klubie komisji zadzwonił do mnie telefon. Usłyszałam w słuchawce głos jakiegoś Amerykanina. Spytał mnie, czy jestem Tuoi. Odpowiedziałam, że tak i spytałam: „Kim pan jest? Nie znam pana". Na to Amerykanin: „Czy pamięta pani jeszcze Jima?" Powiedziałam: „Pamiętam, gdzie on jest? Umawialiśmy się na spotkanie i on nie przyszedł". Amerykanin odrzekł: „Jim wrócił już do kraju. Jestem jego kolegą i na mnie spadła sprawa wyprawienia pani i dziecka za granicę". Umówił się na spotkanie następnego dnia w domu nr 83 przy ulicy Phan Ke Binh.

Kolegę Jima spotkałam przed wejściem. Poprosił mnie do wozu, zawiózł na ulicę Dinh Tien Hoang nr 72 i zaprowadził do jakiegoś pokoju na pierwszym piętrze. Spytał mnie: „Pani dalej pracuje, prawda? Czy ma pani przyjaciela?" Odpowiedziałam, że pracuję nadal i nie mam przyjaciela. On na to: „Taka ładna dziewczyna, a nie ma przyjaciela?" Odparłam, iż po wyjeździe pana Zenka do kraju już z nikim więcej się nie zaznajomiłam.

Powiedział: „Jim przed powrotem do kraju przekazał mi pani sprawy, więc moim obowiązkiem jest wysłać panią i pani dziecko za granicę. Papiery potrzebne do wyjazdu pani do Stanów zostały już przygotowane. Wróciwszy do domu zajmie się pani przygotowaniem rzeczy". Spytał mnie jeszcze: „Czy Polak pisał do pani?" Odparłam, że tak i wyszłam.

Dnia 24 kwietnia kolega Jima znów do mnie zatelefonował, polecając być w domu gotowa do wyjazdu, gdyż wstąpi zabrać mnie. Nie poszłam więc do pracy, siedziałam w domu czekając na niego. Nadszedł dzień 29 kwietnia i wciąż nikt nie przychodził. Pomyślałam sobie: „Ta banda oszukała mnie – wycisnąwszy cytrynę, wyrzuca się skórkę".

A 30 kwietnia 1975 roku Sajgon został wyzwolony [...].

★

★ ★

[...] Około 20 marca 1975 roku wróciłem do kraju, do Leszna, do żony i jednostki. Po urlopie wypoczynkowym podjąłem normalną służbę. W miarę upływu czasu wciągałem się w codzienny rytm życia i służby. Okres pobytu w Wietnamie powoli zacierał się w pamięci. Traktowałem go jako epizod niezwykły, bujny i barwny, ale jednak epizod, po którym wraca się do zwykłego, szarego życia.

Od czasu do czasu myślałem o Tuoi, jak jej się powodzi, co robi, ale myśli te z natury rzeczy były coraz rzadsze. Czas robił swoje. Mijały miesiące, a Amerykanie nie odzywali się, więc zacząłem mieć nadzieję, że cała sprawa rozejdzie się po kościach. Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej nie byłem pewien, czy to w końcu nie był tylko sen, i że nic się nie wydarzyło.

Liczyłem też, że może moje zobowiązanie do współpracy zostało zniszczone lub zgubione, a to w związku z zajęciem Sajgonu przez siły narodowowyzwoleńcze i ucieczkę Amerykanów, co zawsze powoduje chaos i zamieszanie.

Po ośmiu miesiącach od chwili powrotu z Wietnamu, w grudniu 1975 roku, dostałem list z Warszawy. Informowały o tym stemple urzędu pocztowego i inicjały nadawcy „BS Warszawa". List otworzyła żona, która powiedziała mi, że pisze do mnie jakiś kolega Bogdan o zawieraniu przez niego związku małżeńskiego [...].

Nie znałem żadnego Bogdana, co nasunęło mi podejrzenie, że jest to list od wywiadu amerykańskiego. Zgodnie więc z otrzymaną instrukcją w Da Nangu przeprasowałem gorącym żelazkiem kopertę i wówczas ujawnił się tajnopis [...].

★

★ ★

Mijały dwa lata mojej działalności szpiegowskiej w kraju. W tym czasie odbywałem służbę w swojej jednostce. Byłem jakieś cztery razy w Warszawie, w sprawach osobistych i służbowych. Poza tym nie ruszałem się z Leszna. Wolny czas najczęściej spędzałem zajmując się moim ulubionym hobby, tj. krótkofalarstwem. Całymi wieczorami siedziałem ze słuchawkami na uszach i nasłuchiwałem głosów ze świata.

Tydzień poprzedzający mój kolejny wyjazd do Warszawy spędziłem w domu malując mieszkanie i przygotowując się do egzaminów na Wieczorowym Uniwersytecie Marksizmu-Leninizmu. W tych dniach, tj. od 3 do 8 kwietnia miałem urlop szkoleniowy. W dniu 8 kwietnia wyjechałem około godziny 11.00 z Leszna pociągiem i po przesiadce w Poznaniu około godziny 17.00 dojechałem do Warszawy. Wyjeżdżając z Leszna zabrałem ze sobą torbę podróżną, taką małą puszkę szczelnie zamkniętą z napisem „Marago", kawałek białej kredy, butelkę koniaku „Grandial", dwa plany Warszawy, a przed wyjazdem na dworcu w Lesznie kupiłem na drogę dwie gazety: „Życie Warszawy" i „Kurier Polski".

Wyjeżdżając miałem przy sobie tysiąc złotych pieniędzy służbowych, które dostałem od szefa łączności na zakup materiałów konserwacyjnych do sprzętu łączności. Po przyjeździe do Warszawy na Dworzec Gdański udałem się tramwajem na plac Unii Lubelskiej. Wysiadłem dwa przystanki za tym placem, jeszcze przed ulicą Dolną. Ponieważ miałem mnóstwo czasu poszedłem do kawiarni przy ulicy Puławskiej, gdzie siedziałem około 20 minut, pijąc kawę, jedząc ciastka.

W kawiarni tej kupiłem dwie butelki „Coca-Coli" dla syna, który ją bardzo lubi, a w Lesznie nie zawsze można ją dostać. Syn, który jest ciężko chory na hemofilię, cieszył się z moich wyjazdów do Warszawy, bo wiedział, że zawsze mu coś przywiozę. W sklepie obok kawiarni kupiłem dla syna jeszcze cztery

czekolady i jedną bombonierkę.

Spacerem dotarłem do rogu ulic Woronicza i Puławskiej. Przeszedłem przez znajdujący się tam skwerek i znalazłem się na ulicy Wielickiej. Następnie ulicą Wielicką dotarłem do ulicy Orkana – nie wchodząc w nią – zauważyłem z odległości około trzydziestu metrów kamień między trzecim, czyli ostatnim drzewem a murem mleczarni. Było już szaro, opodal kręcili się ludzie. Poszedłem dalej ulicą Wielicką, tuż za mleczarnią skręciłem w bramę i między budynkami doszedłem do ulicy Puławskiej. Cofnąłem się, doszedłem do ulicy Ksawerów i tą ulicą ponownie do Orkana. Wyszedłem akurat na wprost miejsca, gdzie po drugiej stronie ulicy leżał kamień. Podszedłem, podniosłem go i szybko schowałem do torby.

Teraz miałem dotrzeć do rogu ulic Płyćwiańskiej i Idźkowskiego. Musiałem więc przejść około 600 metrów. Przełożyłem kawałek kredy z torby do kieszeni i ruszyłem w kierunku ulicy Wielickiej. Po skręceniu w lewo z ulicy Orkana i po przejściu około 40 metrów zostałem zatrzymany przez funkcjonariuszy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a następnie dowieziony do gmachu MSW.

★

Warszawa, dnia 8 kwietnia 1978 r.

TAJNE
Egz. nr 1

Notatka Urzędowa

Służba Bezpieczeństwa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych uzyskała wiarygodną informację, że pracownik kadrowy Centralnej Agencji Wywiadowczej Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej w dniu 6 kwietnia 1978 roku w wyznaczonym miejscu złożył pojemnik z wyposażeniem szpiegowskim, przeznaczony dla nie znanego nam agenta wywiadu amerykańskiego, działającego na terenie Polski. Pojemnik ten miał kształt niewielkiej bryły upodobnionej do kamienia.

Rejon, w którym złożony został pojemnik poddano kontroli w celu ustalenia nieznanego agenta wywiadu amerykańskiego, który go podejmie.

W dniu 8 kwietnia 1978 roku o godzinie 20.20 do wspomnianego pojemnika zbliżył się nieznany mężczyzna, podjął go i włożył do torby ze skaju koloru brązowego, którą zapiął na zamek błyskawiczny i usiłował się oddalić.

Mężczyznę tego zatrzymano i przewieziono do gmachu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Na podstawie dowodu osobistego nr DT 1981409, wydanego przez byłą komendę powiatową Milicji Obywatelskiej w Lesznie ustalono, że mężczyzną tym jest Zenon Celegrat, syn Jana i Zofii, urodzony 21 stycznia 1937 roku w Biskupcu, zamieszkały w miejscowości Leszno, ulica Sikorskiego numer 115 mieszkanie 23.

Starszy Inspektor Operacyjny
Ministerstwa Spraw Wewnętrznych
Ppłk Jerzy Twardowski

★

Protokół przesłuchania podejrzanego

Warszawa, dnia 8.04.1978 r. o godz. 22.00

Kpt. Jerzy Garlicki z Biura Śledczego MSW z udziałem por. Adama Janowskiego, działając na podstawie art. 267 kpk w związku z art. 276 przesłuchał niżej wymienionego w charakterze podejrzanego, którego tożsamość stwierdzono na podstawie dowodu osobistego.

Zenon Celegrat, s. Jana i Zofii z d. Lis, ur. 21.01.1937 r. w Biskupcu, zamieszkały na pobyt stały – Leszno, ul. Sikorskiego 115 m. 23, obywatelstwo – polskie, narodowość – polska, pochodzenie społeczne – robotnicze, wykształcenie – średnie ogólne plus podoficerska szkoła radiolokacji w Koszalinie, stan cywilny – żonaty, jedno dziecko lat 14. Zawód wyuczony – żołnierz zawodowy. Zatrudniony – jednostka wojskowa w Lesznie, w charakterze magazyniera. Uposażenie miesięczne brutto ok. 5500 zł. Stan zdrowia dobry.

Podejrzanego pouczono, iż pozostaje pod zarzutem współpracy z wywiadem Stanów Zjednoczonych AP, przekazywania temu wywiadowi wiadomości oraz gromadzenia ich w celu przekazania, tj. o przestępstwa z art. 124 § 1 i 2 Kodeksu Karnego.

„Treść zarzutu jest dla mnie zrozumiała i do zarzutu tego przyznaję się".

W tym miejscu podejrzanemu okazano bryłę w formie kamienia zakwestionowaną przy nim podczas przeszukania w dniu 8.04.1978 r. Podejrzany wyjaśnia, co następuje:

„Po wzięciu do ręki bryły oświadczam, że jest to ta sama bryła, którą zgodnie z poleceniem ośrodka wywiadu USA podjąłem na ulicy Orkana. Punkt ten miał kryptonim «Mleko». Wszyst-

kie punkty i kryptonimy opiszę podczas dalszych przesłuchań".

Na zadane pytanie, w jaki sposób otwierał przesyłki, podejrzany wyjaśnia: „uderzałem bryłą o jakieś twarde podłoże".

Na kolejne zadane pytanie, czy podjęta w dniu 8.04.1978 roku „przesyłka" różniła się czymkolwiek od uprzednio otrzymanych, podejrzany wyjaśnia: „jest wykonana z tego samego tworzywa, z którego wykonane były poprzednie przesyłki, różni się jedynie kształtem, ale kształty wszystkich przesyłek nie były jednakowe. Natomiast cechą wspólną jest to, że waga jej nie odpowiada wadze kamienia o podobnej wielkości. Przesyłka jest o wiele lżejsza". Podejrzany wyjaśnia, że według otrzymanych instrukcji należało bryłę uderzyć w jej płaską stronę. W tym miejscu, zgodnie ze wskazówkami podejrzanego, uderzono o tzw. dziurkacz biurowy płaską stroną bryły. [...] Stwierdza się, że bryła „otworzyła się" i w jej wnętrzu znajdowało się, co następuje: pakiet z folii ściśniętej gumką koloru jasnobeżowego, dwa pudełeczka z masy plastycznej koloru czarnego, z napisem „Minox Made in Germany" zabezpieczone taśmą samoklejącą. Wewnątrz pojemnika, na jego górnej i dolnej części wypisana jest odręcznie cyfra „9". W pakiecie, w woreczku plastikowym spiętym gumką, znajdują się banknoty zrolowane oraz maszynopis na dwóch kartkach papieru zaczynający się od słów: „Drogi przyjacielu. Pańską lutową paczkę podjęliśmy z powodzeniem [...]" i kończący się na pierwszej stronie słowami: „ [...] i będziemy skłonni dostarczać [...]". Na drugiej stronie zaś zaczynający się słowami: „ [...] dodatkowe ograniczone fundusze [...]" i kończący się: „[...] najlepsze pozdrowienia. Przyjaciele".

★

POSTANOWIENIE

o wszczęciu śledztwa

Znak akt V Pnśl. 278 Warszawa, dnia 10 kwietnia 1978 r.

Wiceprokurator Naczelnej Prokuratury Wojskowej – płk mgr Józef Kaszowski – po rozpatrzeniu materiałów w sprawie przeciwko sierżantowi szt. Zenonowi Celegratowi podejrzanemu o przestępstwo z art. 124 § 1

postanowił

wszcząć śledztwo przeciwko sierż. szt. Zenonowi Celegratowi, a na zasadzie art. 264 § 2 pkt. 1 kpk – powierzyć śledztwo Biuru Śledczemu MSW.

Uzasadnienie

Organa MSW przedstawiły materiały, z których wynika, że sierż. szt. Zenon Celegrat w okresie od 1975 do kwietnia 1978 roku uprawiał działalność szpiegowską na rzecz wywiadu USA – w związku z tym należało postanowić jak w konkluzji.

★

NAKAZ PRZYJĘCIA

Do Naczelnika
Wojewódzkiego Aresztu Śledczego
Warszawa-Mokotów

Nazwisko i imię: Celegrat Władysław Zenon.
Imiona rodziców i nazwisko rodowe matki: Jan i Zofia Lis.
Miejsce urodzenia i data: Biskupice, 21.01.1937 rok.
Zawód: żołnierz zawodowy.
Stopień wojsk., przynależność służbowa: sierżant sztabowy, Leszno.

★

POKWITOWANIE PRZYJĘCIA
tymczasowo aresztowanych i skazanych

Dnia 10.04.1978 r., o godzinie 18.00 przyjęto do aresztu śledczego tymczasowo aresztowanego: Celegrata Zenona s. Jana.

Kierownik Działu

★

Z protokółu przesłuchania podejrzanego:

[...] W grudniu 1975 r. na adres domowy w Lesznie otrzymałem list nadany w Warszawie przez jakiegoś Bogdana o niezrozumiałej dla mnie treści, co nasunęło mi podejrzenie, że jest to list od wywiadu amerykańskiego. Zgodnie więc z otrzymaną instrukcją w Da Nangu przeprasowałem gorącym żelazkiem wewnętrzną stronę koperty i wówczas ujawnił się tajnopis. Był sporządzony na maszynie, a z jego treści wynikało, że nadawcy przypominają mi co nakazali w Wietnamie. Podane były częstotliwości na falach krótkich 3808 kHz i 5750 kHz, na których miałem słuchać ich audycji podawanych szyfrem o godzinie 17.00 czasu GMT w każdą sobotę i powtarzanych we wtorek o tej samej godzinie. Jednocześnie poinstruowany zostałem, że klucz do rozszyfrowania tych audycji znajdować się będzie w paczce, którą miałem podjąć w Warszawie.

Paczka ta zakamuflowana w formie kawałka kamienia miała

być złożona na rogu ulicy Imielińskiej i Idźkowskiego pomiędzy betonowym słupem telefonicznym a siatką ogrodzenia. Paczkę tę miałem podjąć 19 maja roku następnego, to znaczy 1976.

Na posiadanym przeze mnie planie Warszawy wyszukałem ulicę, na której miałem odebrać przesyłkę. Tak się złożyło, że do Warszawy udawał się służbowo po sprzęt kolega z jednostki, sierżant sztabowy Czesław Grandys. Uzyskałem więc zwolnienie od zajęć, po czym wspólnie z sierżantem Grandysem w godzinach rannych pojechaliśmy do Warszawy. Grandys pojechał z Warszawy do Kobyłki załatwić sprzęt, ja zaś odczekałem trochę, a wieczorem autobusem linii bodajże 116 udałem się w wyznaczone miejsce, na którym miałem być o godzinie 22.00. Odszukałem kamień, który włożyłem do torby. Na ulicy Sobieskiego rozbiłem go. Wewnątrz było 510 dolarów, 50 000 złotych w banknotach tysiącztotowych, dwie książeczki z literowymi grupami szyfrowymi, trzy tabele do rozszyfrowania – dwie z cienkiego kartonu, jedna z celuloidu, tabletki do wywoływania tajnopisów, trzy nowe adresy prywatne w USA oraz instrukcje. Skorupę kamienia wrzuciłem do znajdującej się w pobliżu wody.

W instrukcji podano mi, żebym swoje przesyłki z materiałami składał w pobliżu stadionu „Warszawianki", a mianowicie pod czwartym słupem betonowym płotu, idąc od ulicy Piaseczyńskiej. Obok jest kort tenisowy.

Poza tym w instrukcji pytano mnie i żądano odpowiedzi, czy mam dostęp do materiałów tajnych i jakich, czy i jak często pracuję na radiostacji w służbie, jakie telegramy są nadawane, czy przy użyciu liczb lub liter, jak odróżnić telegramy fałszywe od prawdziwych, jaki jest system rozszyfrowywania telegramów oraz jak są szyfrowane, czy mam dostęp do szyfrów, jaki jest ich układ, a ponadto polecono mi podać kiedy będę miał urlop i w jakich terminach mógłbym udać się do Warszawy.

W instrukcji była informacja, co robić, aby użyć tabletek do sporządzenia roztworu i wywoływania tajnopisów. Mianowicie należało jedną z tabletek rozpuścić w 5 gramach wódki, po czym uzyskanym roztworem należało smarować papier po tej stronie, po której był tekst otwarty. W ten sposób ujawniał się tajnopis po drugiej stronie kartki [...].

[...] Mając tabele szyfrowe zacząłem słuchać komunikatów. W najbliższą sobotę, 22 maja 1976 roku uruchomiłem swój ra-

dioodbiornik „Nivico" i zorientowałem się, że był do mnie radiogram, który odebrałem. Był bardzo długi, bo zawierał 310 grup pięcioliterowych. Przy pomocy tabeli odczytałem uzyskany radiogram. Była w nim informacja, że następne przesyłki będę odbierał na cmentarzu żołnierzy radzieckich przy ulicy Żwirki i Wigury, przy czym był podany szczegółowo sposób dojścia do martwej skrzynki i sposób oznaczenia faktu podjęcia przesyłki.

Od tego czasu systematycznie, tj. w każdą sobotę i wtorek słuchałem komunikatów radiowych i jeśli radiogramy były przeznaczone dla mnie, odbierałem je i odczytywałem, po czym wykonywałem polecenia.

W radiogramie kolejnym podano mi termin, w którym w październiku 1976 roku powinienem złożyć materiały w Warszawie.

Wykorzystując dzień wolny za służbę pomocnika oficera dyżurnego jednostki wyjechałem do stolicy i złożyłem swoją przesyłkę, w której na kilku kartkach tajnopisów informowałem wywiad amerykański o tym, że miałem ograniczony dostęp do materiałów, że nie pracowałem wówczas na radiostacji, bo byłem zatrudniony w warsztacie, że telegramy są nadawane lub odbierane przez jednostkę różnymi tekstami, a więc literowymi i cyfrowymi. Wyjaśniłem, że nadający lub odbierający nie może wiedzieć, czy telegram jest prawdziwy czy fałszywy, bo ktoś inny zajmuje się szyfrowaniem, zaś dostęp do szyfrów jest ściśle określony.

Gdy wróciłem do Leszna, wkrótce otrzymałem radiogram, który rozszyfrowałem i dowiedziałem się z jego treści, że moja przesyłka została podjęta. Zadano mi w nim kolejne pytania: Ile armat jest na wyposażeniu jednostki? Jaki jest stan osobowy jednostki? Jak często i kiedy obowiązuje cisza radiowa? Czy nadszedł do jednostki nowy sprzęt? Poza tym polecono mi nawiązać kontakt z tymi kolegami, którzy byli ze mną w Wietnamie, aby od nich uzyskać ważne wiadomości – wszystkie bez względu na zagadnienie.

Po złożeniu przesyłki z odpowiedziami na te pytania otrzymałem inny radiogram, 19 listopada 1976 roku. Pytano mnie w nim, z jakich materiałów tajnych korzystam w warsztacie, czy w jednostce jest tajna biblioteka, czy mogę z niej korzystać i zalecono mi pisanie tajnopisów drobniejszym pismem [...].

[...] Kolejny raz pojechałem do Warszawy podjąć przesyłkę. Na cmentarzu żołnierzy radzieckich odszukałem kamień, rozbijając go w pobliżu. Było w nim 2000 DM, 1000 dolarów, osiem nowych książeczek szyfrowych i instrukcja. Było w niej szereg pytań, np. czy nasza jednostka współpracuje z Armią Radziecką? Jakie jednostki tej armii znam, gdzie one stacjonują? Czy w okolicach Leszna budowane są jakieś obiekty wojskowe? Żądano, abym podał źródła uzyskanych informacji. Powiadomiono, że co miesiąc na moje konto wywiad wpłaca 250 dolarów, że stan konta wynosi teraz 3000 dolarów, ale nie podali mi gdzie, w jakim kraju owe konto się znajduje.

Zapytano też, czy znam tabele „Wisła" i „5843" – służyły one oficerowi operacyjnemu do dowodzenia służbą operacyjną, a także informowały o wprowadzeniu określonego systemu alarmowania. Pytano czy mam możliwość sfotografowania tych tabel [...].

[...] W pierwszej przesyłce – oprócz tego co poprzednio zeznałem – była informacja o wyznaczonych mi dwóch punktach w Warszawie, w których miałem składać lub podejmować przesyłki. Jeden punkt zlokalizowano na Cmentarzu-Mauzoleum Żołnierzy Radzieckich przy Żwirki i Wigury, w pobliżu pierwszej ławki, na prawo za obeliskiem. Obok ławki rośnie krzak jodły. Punkt znajdował się pod tym krzakiem. Nadano mu kryptonim „Ławka" [...].

★

PROTOKÓŁ OGLĘDZIN
miejsca usytuowania punktu kontaktowego oznaczonego kryptonimem „ŁAWKA"

Warszawa, dnia 17 kwietnia 1978 r.

Kpt. Marian Kwieciński, inspektor Biura Śledczego MSW w Warszawie, działając na podstawie art. 185 § 1 w związku z art. 129 § 1 pkt 4 kpk dokonał oględzin terenu od strony południowej pomnika na Cmentarzu-Mauzoleum Żołnierzy Radzieckich w Warszawie przy ul. Żwirki i Wigury.

W wyniku przeprowadzonych oględzin stwierdziłem, że po prawej stronie alejki prowadzącej do pomnika z kierunku południowego, w odległości około 20 metrów od schodów znajduje się lampa oświetleniowa (zdjęcie nr 1). Obok lampy w alejce stoi ławka. W odległości 1 metra od ławki rośnie szeroki

iglasty krzak, którego gałęzie rozłożone przy samej ziemi zajmują obszar o średnicy około 2,5 metra (zdjęcie nr 2 i 3). Krzak ten znajduje się pod koronami kilku iglastych drzew.

Na tym protokół zakończono dnia 17 kwietnia 1978 r. o godzinie 14.00.

Do protokółu załącza się 3 zdjęcia.
Oględzin dokonał – kpt. M. Kwieciński

★

[...] Pouczono mnie, że po podjęciu przesyłki mam narysować kredą na skrzynce metalowej umieszczonej na budynku, znajdującym się na rogu ulic Żwirki i Wigury oraz Ks. Trojdena tuż za kioskiem „Ruchu" poziomą kreskę długości około 8 cm. Punkt potwierdzenia odbioru nazwany został kryptonimem „Skrzynka" [...].

★

Z protokółu oględzin:

[...] Przy skrzyżowaniu ulic Ks. Trojdena z ulicą Żwirki i Wigury znajduje się czterokondygnacyjny budynek mieszkalny oznaczony numerem 59 i postawiony frontem do ul. Żwirki i Wigury.

Przy szczycie tego budynku od strony ulicy Ks. Trojdena, w odległości 3 metrów od ściany znajduje się kiosk „Ruchu". Bezpośrednio przy ścianie szczytowej budynku – na betonowym fundamencie – postawiona jest skrzynka telefoniczna koloru szarego o wymiarach 1,5×1,5 m i głębokości 39 cm, posiadająca dwudzielne drzwi na całej swojej szerokości. Skrzynka usytuowana jest stroną czołową równolegle do ulicy Ks. Trojdena [...].

★

[...] Drugi punkt składania przesyłek znajdował się w pobliżu ul. Piaseczyńskiej przy ścieżce prowadzącej do kortów tenisowych klubu sportowego „Warszawianka", przy czwartym słupku licząc od ul. Piaseczyńskiej i nosił kryptonim „Kort" [...].

★

Z protokółu oględzin:

[...] Idąc ulicą Piaseczyńską w kierunku do ulicy Dolnej do ogródków działkowych, w odległości około 100 metrów od skrzyżowania ulic Konduktorskiej i Piaseczyńskiej odchodzi w prawo ścieżka prowadząca do kortów tenisowych. Po lewej stronie ścieżki rosną topole, a za nimi w odległości około 3 metrów znajduje się płot z zardzewiałej siatki, posiadający be-

tonowe słupki (zdjęcie nr 1). Czwarty słupek znajduje się w odległości około 20 metrów od ulicy Piaseczyńskiej [...].

★

[...] Informację o złożeniu przesyłki w punkcie „Kort" miałem umieścić w postaci poziomej kreski sporządzonej białą kredą na skrzynce metalowej przy ulicy Dolnej w odległości 15–20 metrów od Piaseczyńskiej, w pobliżu punktu „Ruchu". Ten punkt sygnałowy określono kryptonimem „Ruch" [...].

★

Z protokołu oględzin:

[...] Przy skrzyżowaniu ulicy Dolnej z ulicą Piaseczyńską znajduje się budynek mieszkalny oznaczony numerem 59 (zdjęcie nr 1). W odległości około 2,5 m od rogu budynku, patrząc z ulicy Dolnej w kierunku Puławskiej, znajdują się drzwi wejściowe do punktu „Ruchu" usytuowane wewnątrz budynku (zdjęcie nr 2). Idąc dalej wzdłuż budynku w kierunku Puławskiej, w odległości około 8 metrów od drzwi punktu „Ruchu" znajduje się umocowana bezpośrednio przy ścianie metalowa skrzynka telefoniczna koloru szarego o wymiarach 2 x 1 m i głębokości 30 cm posiadająca na całej swej długości jednoramienne drzwi (zdjęcie nr 2 i 3).

★

[...] Przed świętami lub w pierwszych dniach po świętach Bożego Narodzenia 1976 r. pojechałem do Warszawy. W punkcie „Ławka" podjąłem przesyłkę. Odbiór potwierdziłem sygnałem na punkcie „Skrzynka". Z zawartością przesyłki zapoznałem się na cmentarzu w miejscu oddalonym o około 100 m od punktu „Ławka". Materiały znajdowały się w dwóch lub trzech oddzielnych woreczkach z folii, które dodatkowo były zabezpieczone ligniną. Z materiałami zapoznałem się w toalecie pociągu podczas drogi powrotnej do Leszna. Przesyłka zawierała miniaturowy aparat fotograficzny marki „Minox" wraz ze światłomierzem i instrukcją posługiwania się nim. Jednocześnie anulowano punkty „Ławka", „Skrzynka", wyznaczając nowy punkt odbioru o kryptonimie „Mleko", a potwierdzać odbiór przesyłek miałem kryptonimem „Jeziorko" [...].

★

Z protokołu oględzin:

[...] Ulica Orkana położona jest prostopadle do ulicy Wielickiej i łączy się z nią na wprost jednopiętrowego budynku mie-

szkalnego oznaczonego numerem 37, znajdującego się przy ulicy Wielickiej. Po prawej stronie ulicy Orkana, patrząc od ulicy Wielickiej, znajduje się mleczarnia, która ogrodzona jest murowanym płotem o wysokości ponad 2 metry.

Wzdłuż tego płotu rosną trzy wysokie drzewa, z których jedno – trzecie od strony ulicy Wielickiej i najbardziej wysunięte na wschód, posiada rozwidlenie na wysokości kończącego się muru (zdjęcie nr 1). Pomiędzy tym drzewem rosnącym w odległości około 40 metrów od ulicy Wielickiej, a murowanym płotem mleczarni znajduje się przestrzeń wielkości około 20 cm (zdjęcie nr 2) [...].

[...] Przy ulicy Idzikowskiego w Warszawie w odległości około 10 metrów od skrzyżowania z ulicą Płyćwiańską, po lewej stronie, patrząc w kierunku Puławskiej, znajduje się podstacja elektryczna o wymiarach 6 x 6 m, wykonana z betonowych ścian, mająca około 2,5 m wysokości. Przy ścianie tego budynku od ulicy Idzikowskiego w odległości 5 metrów od chodnika postawiona jest metalowa skrzynka o wymiarach 1,5 x 1,5 m i głębokości 45 cm (zdjęcie nr 1). Skrzynka posiada dwudzielne drzwi na całej swojej szerokości. Na prawym skrzydle drzwi znajduje się biała tablica z napisem „Uwaga wysokie napięcie". Pod tą tablicą na wysokości około jednego metra nad ziemią widnieją dwie równoległe kreski wykonane białą kredą.

Po przeciwnej stronie ulicy Idzikowskiego, na wysokości podstacji znajduje się staw usytuowany w odległości około 50 metrów od ulicy [...].

★

[...] W połowie 1977 roku otrzymałem kolejną paczkę od wywiadu USA, w której były pieniądze oraz aparat fotograficzny marki „Petri", taki sam jaki kupiłem sobie w Sajgonie. W tajnopisie, jaki wysłałem 8 października, oprócz odpowiedzi na liczne szczegółowe pytania ośrodka była zawarta informacja, że aparat ten jest uszkodzony, że nie mam go gdzie naprawić i że nie mogę przechowywać dwóch takich samych aparatów. Oprócz uszkodzeń wewnętrznych, przysłany aparat miał identyczne wgniecenie na obudowie i obiektywie jak ten, który oglądali Amerykanie w Sajgonie. Postanowiłem więc, by nie budzić podejrzeń u żony i syna, pozbyć się aparatu otrzymanego z ośrodka wywiadu. Wymontowałem z niego wszystkie możliwe części, które mógłbym wykorzystać do swego aparatu. Które-

goś dnia we wrześniu pojechałem umyć samochód nad jezioro w okolicy miejscowości Osieczna, położonej w odległości około 10 kilometrów od Leszna. Wracając stamtąd zatrzymałem się nad innym pobliskim jeziorem, do którego wrzuciłem obudowę aparatu. Miejsce to określę szczegółowo w oparciu o plan okolic Leszna [...].

★

Notatka urzędowa

[...] W związku z wyżej przedstawionymi faktami udałem się do miejscowości Osieczna i w oparciu o sporządzony przez Z. Celegrata szkic odszukałem nad Jeziorem Grodziskim miejsce wrzucenia obudowy aparatu fotograficznego. Stwierdziłem, że jezioro to wzdłuż całego brzegu po stronie wskazanej przez podejrzanego zarośnięte jest sitowiem, a w miejscach wolnych od sitowia dno jeziora zalega widoczna gołym okiem gruba warstwa mułu. W tej sytuacji odstąpiono od przeszukania dna jeziora, uznając, że wszelkie próby odszukania i wydobycia obudowy aparatu fotograficznego „Petri" skazane są z góry na niepowodzenie [...].

★

[...] W dniu 11 lutego 1978 roku złożyłem przedostatnią paczkę dla ośrodka wywiadu USA. Znajdowały się w niej dwie kasety ze zdjęciami oraz kilka kartek tajnopisu. W kasetach znajdowało się 180 kadrów instrukcji artylerii przeciwlotniczej [...]. W paczce tej podałem, że magazyn, w którym pracuję ulegnie wkrótce likwidacji i w związku z tym muszę zmienić stanowisko. Podałem też, że prawdopodobnie obejmę stanowisko szefa garnizonowego węzła łączności, że jest to stanowisko wyższe i dostęp do tajnych materiałów będzie większy [...]. Zapytałem też ośrodek wywiadu USA: „Jak to się dzieje, że mimo ostrożności, jaką zachowujecie dbając o bezpieczeństwo agentów, wpadają agenci wasi i waszych sojuszników? I tak jest już od bardzo wielu lat." [...].

W dniu 1 kwietnia w sobotę o godz. 17.00, a więc jak zwykle w porze, w której nasłuchiwałem poleceń ośrodka wywiadu otrzymałem radiogram skierowany do mnie. Jego treść sprowadzała się do wyrażenia zadowolenia, że przejdę na wyższe stanowisko, że w związku z tym rozważają możliwość podniesienia mi wynagrodzenia, że agenci wpadają głównie z powodu szastania pieniędzmi, co zwraca uwagę, żebym się o siebie nie

martwił, bo jestem bezpieczny dopóty, dopóki nie wydaję za dużo [...].

Na zakończenie polecono podjąć 8 kwietnia w Warszawie kolejną paczkę na punkcie „Mleko". Pojechałem do Warszawy we wskazanym terminie. W oznaczonym miejscu natychmiast rozpoznałem paczkę. Podniosłem ją i po przejściu nie więcej niż 50 metrów zostałem zatrzymany, przewieziony do gmachu MSW, tam przeszukany i przesłuchany [...].

[...] Według moich obliczeń otrzymałem od ośrodka wywiadu USA podczas całej mojej działalności, to jest od 19 maja 1976 do 8 kwietnia 1978 roku, około 9000 dolarów USA, wliczając w tę kwotę wszystkie otrzymane w Polsce pieniądze, dolary,marki RFN i złotówki [...].

[...] Podsumowując swoją współpracę z wywiadem USA wyjaśniłem, iż w tym czasie wysłałem łącznie dziewięć meldunków, w tym pięć sporządzonych w formie tajnopisu i wysłanych listownie oraz cztery złożone w formie paczek. Z ośrodka wywiadu odebrałem drogą radiową 21 lub 22 radiogramy, zawierające instrukcje, zadania i potwierdzenia odbioru moich meldunków. Otrzymałem też cztery przesyłki w postaci kamieni, które odbierałem w uzgodnionych miejscach w maju 1976, w grudniu 1976, w październiku 1977 i ostatnią dnia 8 kwietnia 1978 roku [...].

★

TAJNE

NOTATKA

Zakwestionowane w wyniku przeszukań u podejrzanego Zenona Celegrata cztery egzemplarze kalki sympatycznej, trzy adresy kontaktowe na terenie USA oraz tabela i grupy szyfrowe zezwoliły na podjęcie sprawdzenia wyjaśnień złożonych przez podejrzanego w przedmiocie sposobu utrzymywania łączności agenta z ośrodkiem wywiadu.

W tym celu – przy udziale Z. Celegrata – wykorzystując kalkę sporządzono fikcyjne tajnopisy, które wysłano na adresy kontaktowe.

Otrzymano odpowiedź ośrodka wywiadu USA skierowaną do Z. Celegrata drogą radiową, którą rozszyfrowano przy pomocy odnalezionych u podejrzanego tabel szyfrowych. Wynika z tego, że wywiad USA nie orientuje się, że agent Celegrat został już unieszkodliwiony.

Czynności te, poza celem wyżej wskazanym, nie miały innego znaczenia w sprawie.

St. Inspektor Biura Śledczego MSW
ppłk mgr Stanisław Trapczyński

★

Poznań, dnia 23 stycznia 1979 r.

Do
Obywatela Prokuratora
Naczelnej Prokuratury Wojskowej
ul. Nowowiejska 26b
Warszawa

Na mocy załączonego pełnomocnictwa żony podejrzanego zgłaszam się jako obrońca sierż. sztabowego Zenona Władysława Celegrata.

Jednocześnie proszę o powiadomienie mnie o zamknięciu śledztwa, kwalifikacji prawnej czynu oraz podanie do jakiego Sądu sprawa została skierowana.

Jan Turski
adwokat i obrońca wojskowy

★

Warszawa, dn. 21 maja 1979 r.

Postanowienie
o zamknięciu śledztwa

Wiceprokurator Naczelnej Prokuratury Wojskowej, płk J. Kaszowski, po zapoznaniu się z aktami śledztwa w sprawie sierż. szt. Zenona Władysława Celegrata, podejrzanego o przestępstwo z art. 122 kk zważywszy, iż śledztwo dostarczyło podstaw do wniesienia aktu oskarżenia, że podejrzany został zaznajomiony w dniu 16.05.79 z aktami sprawy na 2262 kartach i że nie zachodzi konieczność uzupełnienia postępowania na zasadzie art. 278 kpk postanowił śledztwo w niniejszej sprawie zamknąć.

NACZELNA
PROKURATURA WOJSKOWA

AKT OSKARŻENIA

przeciwko sierż. szt. Zenonowi Władysławowi CELEGRATOWI podejrzanemu o przestępstwo z art. 122 kk;

Oskarżam

Zenona Władysława Celegrata [...] o to, że jako obywatel Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej dopuścił się zdrady Ojczyzny, w ten sposób, że będąc w roku 1974 delegowany do Wietnamu Południowego i przydzielony do obsługi radiostacji w centrum nadawczo-odbiorczym Delegacji Polskiej w Międzynarodowej Komisji Kontroli i Nadzoru w Sajgonie i w Da Nangu, na początku stycznia 1975 r. podjął współpracę z wywiadem Stanów Zjednoczonych i do 20 marca w Wietnamie, a od połowy 1976 do 8 kwietnia 1978 r. w kraju, za około 9000 dolarów USA, pracownikom tegoż wywiadu w osobach: Francisa Haefnera, Richarda Hayhursta, Edwarda Smitha i innych, jak też poprzez wysłane na służące wywiadowi adresy oraz złożone w martwych skrzynkach kontaktowych na terenie Warszawy tajnopisy, mikrofilmy itp. przekazał informacje o stanie sił i środków, parametrach taktyczno-technicznych urządzeń i sprzętu, systemach alarmowania, podporządkowaniu służbowym, rodzajach uzbrojenia i wyposażenia technicznego, personaliach osób funkcyjnych i zajmowanych przez nie stanowiskach służbowych, treści tajnych lub poufnych dokumentów zarówno w odniesieniu do jednostki macierzystej, jak i szeregu innych jednostek wojskowych, podając także ich dyslokację, przez co godził w podstawy obronności i bezpieczeństwa PRL – czyli o popełnienie zbrodni określonej w art. 122 kk.

Na zasadzie art. 570 i 572 § 1 i 2 kpk sprawa niniejsza podlega rozpoznaniu przez Sąd Wojsk Lotniczych w Poznaniu.

Wnoszę również o rozpoznanie niniejszej sprawy z wykluczeniem jawności, bowiem ważny interes państwa wymaga, aby okoliczności tej sprawy zostały zachowane w tajemnicy.

Uzasadnienie

Dnia 8 kwietnia 1978 roku, około godziny 20.20 na ulicy Orkana w Warszawie, organa służby bezpieczeństwa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych zatrzymały będącego w stroju cywilnym,

sierżanta sztabowego Zenona Celegrata w chwili, gdy podjął z ziemi i schował do torby podróżnej pojemnik przypominający swym wyglądem i kształtem szary kamień [...].

★

Warszawa, dnia 22 maja 1979 r.
Naczelna Prokuratura Wojskowa

SĄD WOJSK LOTNICZYCH
w Poznaniu

PRZESŁANIE AKTU OSKARŻENIA

W myśl art. 297 § 1 i art. 588 § 2 kpk przesyłam akt oskarżenia w sprawie sierżanta szt. Zenona Celegrata o przestępstwo z art. 122 kk.

Informuję, że dowody rzeczowe wyszczególnione w spisie dowodów aktu oskarżenia znajdują się w Biurze Śledczym MSW.

Oskarżony znajduje się w Okręgowym Areszcie Śledczym w Warszawie (ul. Rakowiecka 37) i z dniem dzisiejszym przekazałem go do dyspozycji tamtejszego Sądu.

Jednocześnie wnoszę o rozpoznanie sprawy z wykluczeniem jawności oraz na sesji wyjazdowej w Warszawie, bowiem taka potrzeba zachodzi z uwagi na ekonomikę procesową i względy szkoleniowe.

Szef Oddziału
Naczelnej Prokuratury Wojskowej
(Za zwrotnym poświadczeniem odbioru)

★

Sąd Wojsk Lotniczych
nr S. lot. 48/79

Adw. Jan Turski
Zespół Adwokacki nr 1
Poznań

Zawiadamiam Obywatela, jako obrońcę z wyboru w sprawie sierż. szt. Zenona Celegrata, że termin rozprawy przeciwko wyżej wymienionemu został wyznaczony w dniach od 2 do 7 lipca 1979 r. o godz. 9.00 w gmachu Sądu Warszawskiego Okręgu Wojskowego w Warszawie, ul. Nowowiejska 26a.

Szef Sądu Wojsk Lotniczych

★

Sąd Wojsk Lotniczych

PROTOKÓŁ ROZPRAWY GŁÓWNEJ
w sprawie karnej Zenona–Władysława Celegrata, syna Jana.

Skład sądu. Przewodniczący: płk Jan Maciejko
ławnicy: por. Wiesław Maciak
mjr Janusz Teleszyński
kpt. Stanisław Wojciechowski
kpt. Stanisław Bury
protokólant: sekr. sąd. Krystyna Makulec

W dniu rozprawy, 2.7.1979 r., jawią się:
oskarżyciel wojskowy płk Józef Kaszowski
oskarżony sierżant sztabowy Zenon Celegrat (doprowadzony przez eskortę)
jego obrońca adw. Jan Turski – z wyboru

Po przeprowadzeniu postępowania dowodowego na pytanie w myśl art. 351 kpk strony oświadczają: „Nie żądamy uzupełnienia postępowania dowodowego".
Przewodniczący ogłasza zamknięcie przewodu sądowego i udziela głosu stronom.
O s k a r ż y c i e l : Prokurator wnosi o wymierzenie kary śmierci, pozbawienie praw publicznych na zawsze i konfiskatę mienia w całości.
O b r o ń c a : Obrońca wnosi o wymierzenie kary w granicach pozbawienia wolności.
O s k a r ż o n y : „Zrozumiałem całą swoją winę przebywając w areszcie, przebywając tu na tej sali. Wiem, że Ojczyźnie wyrządziłem dużą krzywdę. Proszę Wysoki Sąd o umożliwienie mi wykazania, że to była największa pomyłka w moim życiu. Proszę o umożliwienie mi powrotu do rodziny i społeczeństwa".

Sąd udaje się na naradę przed wyrokiem. Przewodniczący zapowiada w myśl art. 358 § 1 i 3 kpk, że z powodu późnej pory i zawiłości sprawy postanowił odroczyć wydanie wyroku do dnia 7 lipca 1979 r. godz. 13.30. Ogłoszenie jego nastąpi w gmachu Sądu Warszawskiego Okręgu Wojskowego w Warszawie.

Na tym protokół zakończono 4 lipca 1979 r., o godz. 17.00.

★

Warszawa, dnia 7 lipca 1979 r.

WYROK

w imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej

Sąd Wojsk Lotniczych w Poznaniu, na sesji wyjazdowej w Warszawie w składzie [...] rozpoznawszy sprawę Zenona Celegrata [...] oskarżonego o to, że jako obywatel Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej dopuścił się zdrady Ojczyzny [...]. Kierując się przepisami art. art. 4 § 1, 357, 360, 372 i 590 § 1 kpk uznał sierż. sztabowego Zenona Władysława Celegrata s. Jana za winnego [...] i za to

skazał go:

na karę 25 (dwudziestu pięciu) lat pozbawienia wolności, 10 lat pozbawienia praw publicznych i konfiskatę mienia w całości. [...]

★

Warszawa, dnia 13 lipca 1979 r.

SĄD NAJWYŻSZY
IZBA WOJSKOWA
w Warszawie

Przez
SĄD WOJSK LOTNICZYCH
w Poznaniu

REWIZJA

Prokuratura Naczelnej Prokuratury Wojskowej od wyroku Sądu Wojsk Lotniczych w Poznaniu z dnia 7 lipca 1979 r.

na niekorzyść

sierż. szt. Zenona Władysława Celegrata s. Jana, skazanego za zbrodnie z art. 124 § 1 kk na 25 lat pozbawienia wolności [...].

Na zasadzie art. 392 składam od przytoczonego wyżej wyroku rewizję i [...] zarzucam temuż wyrokowi błąd w ustaleniach faktycznych polegających na błędnej interpretacji [...] oraz wymierzenie rażąco łagodnej kary [...]. Podnosząc te zarzuty, na zasadzie art. 386 § 1 i 2 kpk wnoszę o zmianę zaskarżonego wyroku przez [...] wymierzenie kary śmierci [...].

★

Celegrat Zenon s. Jana
Areszt Śledczy W-wa Mokotów
ul. Rakowiecka 37

Sąd Najwyższy
Izba Wojskowa

Nr sprawy Rs 5/79
Przeciwko Zenonowi Celegratowi

W związku z rewizją wniesioną przez Obywatela Prokuratora żądającego dla mnie najwyższego wymiaru kary [...] proszę Najwyższy Sąd o wzięcie pod uwagę mojej postawy podczas śledztwa.

Pragnąc jak najszybciej naprawić wyrządzone szkody przyjąłem od początku śledztwa aktywną postawę [...]. Niemal całość trzynastotomowego materiału była uprzednio nie znana organom ścigania [...]. Obywatel Prokurator i oficerowie śledczy przez cały czas zapewniali mnie solennie, że tylko taka postawa, którą w porę zająłem, ujawniając wszystkie szczegóły, bez zatajania czegokolwiek, wpłynie na wzięcie pod uwagę przez Wysoki Sąd [...], a w efekcie spowoduje znaczne złagodzenie kary.

Wniosek Obywatela Prokuratora wraz z wniesioną przez niego rewizją [...] wskazuje na to, że mojej postawy z okresu śledztwa nie wzięto pod uwagę [...].

Proszę Najwyższy Sąd o uwzględnienie tych okoliczności i złagodzenie wymierzonej mi kary.

Zenon Celegrat

★

Warszawa. dnia 10 grudnia 1979 r.

WYROK
W IMIENIU POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ

Sąd Najwyższy – Izba Wojskowa [...] przy udziale prokuratora Naczelnej Prokuratury Wojskowej płk. Józefa Kaszowskiego oraz adw. Jana Turskiego, po rozpoznaniu w dniu 6 grudnia 1979 r. na rozprawie sprawy sierż. sztab. Zenona Celegrata, skazanego nieprawomocnie za przestępstwo z art. 124 § 1 kk na karę 25 lat pozbawienia wolności [...] z powodu rewizji wniesionej przez prokuratora na niekorzyść oskarżonego, kierując się przepisami art. 386 i 387 kpk.

orzekł

[...] w częściowym uwzględnieniu rewizji prokuratora zaskarżony wyrok w sprawie sierż. szt. Zenona Celegrata zmienić przez [...]

b) poprawienie wadliwej kwalifikacji prawnej tego czynu z art. 124 § kk na właściwą z art. 122 kk i z tymi zmianami wyrok ten w pozostałych częściach utrzymać w mocy [...].

Wyrok ten uprawomocnił się z dniem 24 grudnia 1979 r. [...].

★

Z opinii specjalnej wystawionej przez jednostkę macierzystą Zenona Celegrata dla potrzeb prokuratury:

[...] Był energiczny, rzutki i pełen inicjatywy [...]. Posiadał wymagane kwalifikacje i wykazywał duże wiadomości i umiejętności techniczne [...].

Słabymi stronami opiniowanego, które zauważyłem, była duża nerwowość, nieopanowane wybuchy gniewu, a nade wszystko, co dało się zauważyć w ostatnim okresie, to wręcz zadziwiające przecenianie własnych zalet umysłowych i możliwości. [...]

★

Areszt Śledczy
Warszawa Mokotów
Dział Ewidencji i Zatrudnienia

Do Sądu Wojsk Lotniczych
w Poznaniu

Komunikuję, że skazany: Celegrat Zenon s. Jana, urodzony dnia 21.01.1937 r., doprowadzony w dniu 10.04.1978 r. o godz. 18.00 do tutejszego aresztu śledczego rozpoczął odbywanie kary pozbawienia wolności w wymiarze 25 lat. Początek kary 8.04.1978 r. godz. 18.00. Koniec kary 8.04.2003 r. godz. 18.00.

Proszę o potwierdzenie zgodności obliczeń kary.

Kierownik Działu

EPILOG

Całą noc padał deszcz, a i teraz, o świcie, krótkotrwałe mżawki odświeżały powietrze. Nieliczni o tej porze przechodnie nie zwrócili uwagi na dwa szybko jadące samochody. W pierwszym – kremowym fiacie 125p, jechało czterech mężczyzn. Siedzący obok kierowcy starszy mężczyzna, z ledwie widoczną blizną na czole, trzymał na kolanach teczkę – dyplomatkę, mającą dwa cyfrowe zamki.

Pasażerów drugiego samochodu nie było widać, bo zielona karoseria stara nie miała okien. Samochody wjechały w ulicę Żwirki i Wigury. Ledwo jednak znalazły się na szerokiej arterii, prowadzącej do Międzynarodowego Portu Lotniczego Okęcie, zwolniły i po chwili skręciły w wąską jezdnię. Po kilku minutach zatrzymały się przed masywną, kutą w żelazie bramą z godłem państwowym. Za bramą miarowym krokiem przechadzał się żołnierz. Nieśpiesznym krokiem podszedł do samochodu, rzucił okiem na przystawiony do przedniej szyby fiata dokument, po czym udał się do wartowni i podniósł słuchawkę. Minutę później popchnął obydwa skrzydła bramy. Oba wozy jechały już asfaltową alejką, kończącą się niewielkim parkingiem, położonym na skraju lotniska. Stały tu trzy średniej wielkości odrzutowe samoloty pasażerskie typu Jak-40, z szachownicami polskich wojsk lotniczych. Przy jednym z nich kręciło się paru ludzi w granatowych kombinezonach. Oba samochody wjechały na płytę i zatrzymały się bezpośrednio przed spuszczonym wejściem do samolotu. Czterej pasażerowie fiata wysiedli. Podeszli do więźniarki i znikli w jej blaszanym wnętrzu. Po chwili drzwi się otworzyły i pojawili się ponownie, ale już w większym towarzystwie. Ruszyli do samolotu.

Przejście między fotelami w kabinie samolotu było wąskie, więc dopiero po dobrej chwili wszyscy zajęli miejsca, wówczas z niewielkiego baraczku, położonego obok parkingu ruszyli kolejni podróżni. Gdy usiedli na wolnych miejscach w tyle samolotu, ku wyjściu udał się mocno opalony, wysoki mężczyzna, siedzący dotychczas na jednym z przednich foteli. Jego przenikliwe oczy lustrowały wnętrze kabiny, podczas gdy usta mamrotały coś do radiotelefonu.

Cichy szczęk oznajmił o zamknięciu schodni i zaraz dał się słyszeć rosnący ryk silników. Samolot ruszył w kierunku pasa startowego.

Poszatkowany asfaltowymi liniami beton pasa stał się jednolitą smugą uciekającą w tył, aż nagle samolot wyprysnął w zachmurzone niebo.

Sześćdziesiąt minut później samolot zaczął zmniejszać szybkość i dał nurka w ciemniejące chmury. Okrągłe iluminatory pokryły się kropelkami deszczu. Samolot wykonał ostry skręt i na horyzoncie zamajaczyła wyspa zabudowań dużego miasta. Pod srebrzystym kadłubem pojawił się szeroki pas betonu upstrzony fioletowymi lampami i zaraz potem niewielki wstrząs oznajmił o nawiązaniu kontaktu z ziemią.

– Twardo usiadł – oznajmił opalony mężczyzna, do którego mówiono „majorze". Sięgnął on po swój radiotelefon i kiedy samolot kołował rozpoczął na nowo szeptać coś do mikrofonu. Maszyna zatrzymała się niedaleko jakichś baraczków, pilot wyłączył silniki i zapadła cisza. Przestała działać klimatyzacja, w kabinie zaczynało się robić gorąco. Po kilkunastu minutach zza baraczków wyjechał fiat 125p z rejestracją NRD i sunął w kierunku samolotu. Major bez słowa zniknął w ogonie samolotu. Po chwili stał obok samochodu pogrążony w rozmowie. Minutę później na płytę lotniska wjechały dwa szare mikrobusy marki „Volkswagen" pilotowane przez żółtą tadę. Major przerwał rozmowę i wrócił do samolotu. Wydawał ostatnie polecenia. Dziesięciu mężczyzn z ostatnich foteli podniosło się i ruszyło ku wyjściu. Po chwili opuścili samolot pozostali. Gdy wszyscy oni zajęli miejsca w samochodach, kawalkada wozów ruszyła.

Minęli posterunek z uniesionym szlabanem i wyjechali z terenu lotniska. Dojechawszy do Schönefeldu, skręcili na drogę, która olbrzymim łukiem okrążała Berlin Zachodni. Wkrótce samochody jechały przez Poczdam, zanurzając się w labirynt małych uliczek. Dojeżdżali do kanału stanowiącego granicę podzielonego Berlina. Za otwartą przestrzenią ujrzeli most, a przed nim dwa posterunki graniczne. Szlaban był opuszczony. Samochody zatrzymały się w odległości czterdziestu metrów od obu wartowni. Kierowcy przekręcili kluczyki w stacyjkach i zapadła cisza. Czterech mężczyzn, którzy na Okęcie przybyli w więźniarce nie odrywało wzroku od zabudowań po drugiej stronie kanału. Piąty pasażer więźniarki, siwiejący blondyn przyglądał się kanałowi, po którym właśnie płynęła barka.

Zbliżało się południe, ale wokół nic się nie działo. Jeden z pasażerów najwyraźniej się niecierpliwił.

– Na co czekamy? – zapytał w przestrzeń, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Kwadrans później major otworzył teczkę.

– Oto panów paszporty – powiedział wręczając je całej piątce.

– Jeszcze musimy trochę poczekać...

Sięgnęli skwapliwie po dokumenty. Od dłuższego czasu żadnego dowodu tożsamości nie mieli w rękach.

Na plac przed przejściem granicznym zajechał prawie pełny autokar.

Z autobusu wysiadła starsza kobieta o autorytatywnym wyglądzie i ruszyła w stronę volkswagena. Obok niej szedł mężczyzna z niewielką aktówką w dłoni. Gdy podeszli do mikrobusu, mężczyzna otworzył drzwi i oboje zajrzeli do środka.

– Dzień dobry – powiedziała pani, gdy zlustrowała wnętrze. – Odbędzie się to tak. Za chwilę pojawią się Amerykanie. W ich obecności każdy ma złożyć deklarację, co do swych zamiarów. Niezależnie od decyzji mają panowie od dziś czternaście dni na jej zmianę. Zgodnie z osiągniętym porozumieniem rządy zainteresowanych krajów mają obowiązek ją respektować. W przypadku opuszczenia kraju nastąpi połączenie z rodzinami w ciągu następnych dwóch tygodni. Teraz zaś, ten kto podejmie decyzję o wyjeździe i zgłosi ją amerykańskim przedstawicielom, przechodzi do autokaru, który odjedzie do Berlina Zachodniego. Są pytania?

W zapadłej ciszy wyraźnie było słychać wielojęzyczny gwar dochodzący z autobusu. Na placu pojawiły się dwa wielkie, czarne mercedesy z rejestracją dyplomatyczną Berlina Zachodniego. Po chwili trzech pasażerów mercedesa podeszło do ich mikrobusu. Jeden z nich przedstawił się jako zachodnioniemiecki prawnik powołany do czuwania nad prawną stroną przedsięwzięcia.

– Mam doświadczenie – zapewnił – prowadziłem wymianę Abla za Powersa. Poinformuję panów o ich sytuacji prawnej. A więc...

Słuchali uważnie. Zgadzało się to z tym, co już wiedzieli wcześniej.

Nadchodził decydujący moment. Po krótkiej ciszy jeden z mężczyzn powiedział, że jest przedstawicielem Departamentu Stanu.

– Czekam na waszą decyzję.

Kolejno odpowiadali:

– Przechodzę.

Tylko siwiejący blondyn powiedział:

– Zostaję.

Był to Jerzy Pawłowski.

Wszystkie oczy skierowały się na niego. Zaskoczeni przedstawiciele Departamentu Stanu spojrzeli po sobie.

– Czy możemy z panem Pawłowskim porozmawiać na osobności?

Czterej zapytywani przed chwilą mężczyźni ruszyli w kierunku autokaru. Wokół autobusu krążyła jakaś młoda kobieta z chusteczką przy zaczerwienionych oczach. Czterech agentów minęło ją i wsiadło do środka. Pozostali pasażerowie opuścili mikrobus, a ostatni, zamykając drzwi, usłyszał jak Amerykanin zaczął mówić:

– Panie Pawłowski, odszkodowanie...

Drzwi zatrzasnęły się i końca zdania już nie usłyszał. Piętnaście minut trwała rozmowa. Przez szyby samochodu było widać ich sylwet-

ki. Jerzy Pawłowski mówił najmniej, od czasu do czasu kręcąc głową. W końcu Amerykanie opuścili volkswagena i przeszli do autokaru. Kierowca uruchomił silnik i ruszył w kierunku przejścia granicznego. Szlaban uniósł się, samochód wjechał na most i po chwili znikł wśród zabudowań. Do mikrobusu przyniesiono termos z herbatą i kanapki. Pawłowski dopiero wtedy poczuł, jak jest głodny.

Placyk, na którym jeszcze nie tak dawno było rojno opustoszał i tylko flagi furkotaniem wypełniały ciszę.

★

Był już wieczór, kiedy z powrotem znaleźli się na pokładzie Jaka-40. Jerzy Pawłowski siedział zatopiony w rozmowie z żoną, a pułkownik Zajkowski odłożywszy swą teczkę na wolny fotel wyciągnął się i zamknął oczy. Pozostali siedzieli swobodnie i żartowali. Była to normalna reakcja na napięcie, które trwało nie od dzisiaj. Dzień ten, był kulminacją paromiesięcznych przygotowań.

Gdy samolot kołował na lotnisku Okęcie w Warszawie, czekały już na nich dwa polonezy i fiat. W jednym z nich usiedli Pawłowscy, pułkownik Zajkowski i ja. Fiat ruszył nie czekając na resztę wozów. Był teraz normalnym samochodem rozwożącym późną porą ludzi do domów. Kiedy wysiedli Pawłowscy w pustej bramie wielkiej kamienicy nie było nikogo. Przeszli w kierunku klatki schodowej, mijając umieszczoną za szkłem listę lokatorów. Pod numerem dziesiątym przez te dziesięć lat widniało nazwisko: Jerzy Pawłowski. Dzisiaj wieczorem tabliczka ta nabrała z powrotem sensu.

Był wtorek, 11 czerwca 1985 roku.

★

Dwa dni później gazety zamieściły następujący komunikat PAP-u:

Wymiana agentów wywiadu

11 bm. w rezultacie przeprowadzonej w Berlinie wymiany schwytanych w Polsce szpiegów CIA, władze Stanów Zjednoczonych uwolniły, skazanego w USA w 1981 r. na karę dożywotniego więzienia oficera polskiego wywiadu resortu spraw wewnętrznych, kapitana Mariana Zacharskiego (...).

W drodze wymiany strona polska przekazała 5 szpiegów amerykańskich (...). Uwolnienie nastąpiło w ramach wielostronnej akcji wymiennej.

Jerzy Pawłowski w trakcie wymiany, pomimo nacisków funkcjonariuszy USA, odmówił oddania się w ręce władz amerykańskich i zdecydował się na powrót do kraju. Rada Państwa PRL zastosowała wobec Jerzego Pawłowskiego akt łaski polegający na darowaniu mu reszty kary.

koniec

77189

Spis treści

Runda Zachodnia 3
Runda Wschodnia 161
Epilog 205

BIBLIOTEKA
ASG
NAUKOWA
33472

– Trwało to długo, ale w końcu doczekaliśmy się – powiedział Zajkowski do szefa.

Położył na biurku dwie błyszczące fotografie. Na pierwszej widać było mężczyznę przechadzającego się przed wejściem do hotelu „President" w Brukseli. Na drugim witał się on z Pawłowskim.

– Ten sam agent co w Nowym Jorku. Tylko zapuścił brodę. Nagraliśmy ich rozmowę.

– W hotelu?

– Skorzystaliśmy z urządzeń zainstalowanych przez naszych, jakby to powiedzieć... kolegów po fachu z Zachodu – uśmiechnął się nieznacznie.

– Nie żartuj, tylko puść taśmę.

Pułkownik wcisnął klawisz...

ISBN 83-03-01172-3